ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVI.

ROK XII.

TOM II. — ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Maja 1887 r.



KIERUNKI NASZYCH CZASÓW.

(Dokończenie).

KIERUNKI POLITYCZNE.

1. **Militaryzm**.

Pogrom Napoleoński wywołał w Prusach organizacyą ogólnéj służby wojskowéj, zbudowaną na zasadzie tego pojęcia, że tam, gdzie narodowi a właściwie państwu grozi z zewnątrz niebezpieczeństwo, tam wszyscy do tego zdolni powinni stanąć pod bronią, do czego od młodu powinni być uzdalniani. Napoleon III, ująwszy władzę we Francyi, zapragnął utrwalić swoje panowanie przez czyny wojenne, podnoszące blask jego imienia, a schlebiające dumie narodowéj Francuzów, przedewszystkiém zaś przez podźwignięcie Włoch z rozbicia politycznego, w jakiém od wieków dawnych pozostawały. Aby cele te urzeczywistnić, dążył on do podniesienia i wzmocnienia potęgi militarnéj we Francyi; w tym téż kierunku w widokach własnego bezpieczeństwa inne państwa pójść za nim były zniewolone. Powodzenia Napoleona III-go w pierwszéj połowie jego panowania i ostrożne stanowisko Prus, przez długi czas przysłaniały ich potęgę; tymczasem wyborna organizacya wojskowa, zaprowadzona w Prusach za radą Scharnhornsta, trafiając na grunt przychylny, od wieków militaryzmem przesiąkły, zdołała wyrobić siłę, która w zdumiewająco krótkim czasie wyparła Austryą z Niemiec, sprawiła Francyi niebywały pogrom i stworzyła cesarstwo Niemieckie. Ponieważ utrzymanie rzeczy już utworzonéj jest trudne a może i trudniejsze od samego utworzenia, przeto Niemcy, którym się udało dojść do celów, wytężyć musieli wszystkie usiłowania, aby zabezpieczyć się od napaści. „*Si vis pacem, para bellum*“ stało się hasłem Europy, gdyż nikt nie może patrzéć bezbronnie na uzbrojonego sąsiada. Obowiązek służby wojskowéj za przykładem Prus, stał się powszechnym. Militaryzm zapanował w Europie wszechwładnie.

Od czasów Buckle'a, któremu się zdawało, że świat cywilizowany już wkroczył w epokę produkcyi ekonomicznéj, a epokę militarną przebył, jakże się wszystko zmieniło. Wytężenie wszelkich sił państwowych dla wytworzenia jaknajwiększéj potęgi militarnéj, jakże wpłynęło na stosunki. Niepodobna przecież stać z bronią u nogi, odbywać musztry i uciążliwe manewry, całe bogactwo narodowe topić w armii i marynarce i żywić przytém same pokojowe myśli. Niedość na chęci ubezpieczenia się stanowczego od napaści, niedość na palącém pragnieniu odwetowania krzywd doznanych, ale nieustająca chęć rozszerzania się i zdobyczy jest nierównie więcéj skutkiem aniżeli przyczyną militaryzmu.

Ponieważ utrzymanie niezmiernych armii nie może być nigdzie pokryte z dochodów państwowych, zaciągają się więc na ten przedmiot pożyczki; ponieważ znów na opłacenie kuponów od pożyczek nie wystarczają dochody, konieczność więc skłania po części do ustanawiania nowych podatków, po części do zaciągania nowych pożyczek. Stopniowo zdolności podatkowe krajów, jakkolwiek rozprężliwe, okazują niepokonany opór. Mianowicie zaś podatki bezpośrednie, doszedłszy do stopnia wytężenia, odpowiedniego warunkom ekonomicznym kraju, odmawiają dalszych usług, i rządy, aby nie tamować produkcyi, zatrzymują opodatkowanie bezpośrednie na pewnym punkcie. Wtedy przychodzi koléj na podatki pośrednie, te bowiem dają rezultat większy, gdyż składają się na nie miliony, nie zaś tysiące ludności, a zatamowanie produkcyi, jakie sprawiają, mniéj jest widoczne. Powoli podatki pośrednie zaczynają okazywać brak prężności, gdyż płatnicy, zamiast kupować opodatkowane przedmioty, zmuszeni są odmawiać ich sobie zupełnie — zjawia się niedokonsumcya, często mylnie brana za nadprodukcyą, niedokonsumcya przewyższająca niesłychanie tę nadprodukcyą, jakąby wytworzyły armie, obrócone do fabryk i warsztatów. Wtedy nie pozostaje nic innego, jak zaciągać pożyczkę na opłatę kuponu od dawnych pożyczek, a w naturalnym rzeczy porządku zjawią się pożyczki na opłatę procentu, od procentu zamienionego na pożyczkę. Żadne z państw europejskich nie jest do tyla ślepe na własne finanse, aby nie pojmowało następstw takiego gospodarstwa dla przyszłych pokoleń. Cóż bowiem poczną one, jeżeli zarody waśni, których wyrazem jest militaryzm, trwać będą w przyszłości. Pojmują te państwa, że dla żyjącego pokolenia militaryzm, wzbogacający tylko wielkich przedsiębiorców, uboży jednocześnie klasy zarobkujące, przez podatki pośrednie, które wydobywają kupon z potu, męczarni i abnegacyi ludzkich. Pojmują téż, jakie skutki prowadzi za sobą wypuszczanie papierów procentowych w ogromnéj ilości, uwalniając

klasy zamożne od potrzeby rzucania się na ryzykowne, ale pożyteczne dla klas zarobkujących przedsiębierstwa. Wszystko to pojmują i doskonale widzą wzmagające się przez militaryzm bogactwo bogatych, ubóstwo ubogich i nie mogą temu zapobiedz. Wszystkie względy słusznie muszą ustąpić tam, gdzie idzie o samo nawet istnienie.

Wiecznie takie położenie trwać nie może, nadejdzie bowiem chwila, kiedy siły kredytowe państw najzamożniejszych poczną odmawiać usług. Ten fakt jest tajemnicą publiczną, wszystkim wiadomą.

Położenie to jednak dopiéro wtedy zmieni się stanowczo, kiedy przejdzie w ogólne przekonanie państw i narodów, albo że przedmiot, o który się ubiegają, nie wynagrodzi nigdy pokładanych zachodów, albo że załatwienie spornego punktu na drodze sprawiedliwości najczystszéj, z obsłon fałszu i omamień uwolnionéj, jak pomiędzy pojedynczymi ludźmi tak i pomiędzy państwami jest jedyną drogą wyjścia, bezpieczną od groźby dalszych niezgód. Niepodobna mniemać, aby ludzkość cywilizowana nie umiała dojść nigdy do pojęcia tak elementarnego,—ale téż niepodobna przypuścić wobec dzisiejszych wyobrażeń, aby bez walk olbrzymich, bez klęsk nieprzeliczonych, zasady moralności, obowiązujące ludzi w stosunkach prywatnych, mogły być przyjęte przez tychże samych ludzi w stosunkach międzynarodowych.

Obecnie więc, jakaś olbrzymia walka państw i narodów wisi w powietrzu. Wszyscy czują potrzebę wyjścia z nieznośnego położenia, z téj duszącéj atmosfery pokoju na ustach, a wojny w myślach, gniotącéj pierś i suszącéj mózgi, a wszyscy obawiają się wojny. Wszyscy bowiem przewidują niepodobieństwo poprzestania na połowiczném załatwieniu kwestyi, a ostatecznego załatwienia, które może być dla każdego straszliwém, nikt ani przewidzieć, ani obrachować nie jest w stanie. Jest mądre zdanie: *„si vis pacem, para bellum“*, mądrzejsze jeszcze: *„si vis pacem para concordiam.“* Dopóki *to* przeświadczenie w krew i sumienie narodów nie przejdzie, dopóty wszelkie społeczne prace chybione będą w samej podstawie.

2. **Polityka celna.**

Szkoła Adama Smitha, opierając się na wypowiedzianéj przez niego doktrynie wolnego handlu, była i jest przeciwniczką wszelkiéj protekcyi handlowéj. *„Laissez faire, laissez passer“* jest jéj godłem. Oparta na czystéj abstrakcyi, na pojęciu, że egoizm jest główną, niemal jedyną sprężyną ekonomicznéj działalności, przedstawia ona

swoje stąd wyprowadzone wnioski w tém znaczeniu, jak gdyby przysługiwała im niewzruszona moc praw natury. Przeciw takiemu poglądowi, przy którym najgłówniejsze istniejące stosunki prawa publicznego przyjęte były za niezmienne, wystąpili pisarze socyalistyczni, twierdząc, że oprócz egoizmu są jeszcze inne pierwiastki natury ludzkiéj zarówno potrzebujące uwzględnienia, że prawo publiczne na wielu punktach potrzebuje zmiany i że zadaniem państwa jest regulowanie produkcyi przy odpowiedniéj zmianie stosunków prawnych. Ponieważ krytyka ekonomii klasycznéj, przez socyalistów podjęta, na wielu punktach była przekonywającą, a ostateczny rezultat samejże teoryi socyalistycznéj w oczach większości uczonych i profanów nosił w sobie zarody większych klęsk, niż te, którym zaradzić pragnął, utworzyła się przeto stopniowo, przeważnie w Niemczech, trzecia szkoła ekonomiczna, historyczno etyczna, pragnąca pogodzić obie wyżéj pomienione szkoły, w tém, co każda z nich ma w sobie słusznego i praktyką życia sprawdzonego.

Na tym punkcie powstała przedewszystkiém szkoła *narodowa* ekonomii politycznéj, główne zasady któréj postawił Fryderyk List, w końcu pierwszéj połowy bieżącego wieku. Podług jego pojęcia, które dla wielkiéj jego doniosłości przywodzę w streszczeniu, „pomiędzy człowiekiem a ludzkością stoi narodowość z jéj językiem, przeszłością historyczną, zwyczajami, obyczajami, urządzeniami, pragnieniami istnienia i postępu, jako całość ożywiona duchem pełnym i samoistnym. Pierwszém założeniem rządu być winno zatém wykształcenie narodowości, a założeniu temu podlegać ma też ekonomiczne życie narodu, tak dalece, iż wszelki interes prywatny ustępować winien przed politycznymi celami narodu.

Koniecznem jest wzajemne oddziaływanie pomiędzy ekonomią, a duchową i polityczną cywilizacyą. Za rozwojem ekonomii idzie rozwój cywilizacyi i potęgi, i nawzajem. Bogactwo narodowe polega na wielostronności sił wytwórczych, ich natężeniu i równowadze. W szczególności powinny być równomiernie rozwinięte trzy główne siły produkcyjne narodu: siła rolnictwa, przemysłu i handlu. Z nich siła przemysłu wywiéra wpływ najmocniejszy na cały rozwój narodu. Nietylko podnosi ona inne siły produkcyjne, ale też skuteczniéj od nich popiéra nauki, wolność i oświatę, i nadaje narodom ekonomiczną i polityczną niezależność od państw innych. Państwo rolnicze jest najzależniejszém, gdy nie ono nadaje kierunek, ile i co ma produkować, ale stosować się musi do tego, ile czego od niego chcą kupić.

Narody stref umiarkowanych przechodzą przez cztery ekonomiczne stadya. W pierwszém podnosi się rolnictwo przez przywóz obcych wyrobów i wywóz surowych materyałów i produktów rol-

nictwa. Następnie podnosi się przemysł krajowy, obok przywozu wyrobów zagranicznych. Dalej przemysł krajowy wypiéra z wewnętrznego rynku wyroby zagraniczne. W ostatnim nareszcie, czwartym peryodzie, rozpoczyna się wywóz krajowych fabrykatów obok przywozu zagranicznych surowych materyałów i produktów rolnictwa. Każde przejście z danego stopnia na wyższy związane jest z pewnemi warunkami i zastrzeżeniami. *Rzeczą jest państwa* warunki te wytworzyć, i tym sposobem doprowadzić wychowanie ekonomiczne narodu do najwyższego stopnia, za którym idzie wprowadzenie narodu do przyszłego społeczeństwa wszechświatowego. Im więcéj wykształca się ekonomia narodu, tém bardziéj musi wysuwać się naprzód władza prawodawcza i administracyjna państwa. Nauka ekonomii narodowéj ma wskazać środki, za pomocą których dokonywa się wykształcenie ekonomiczne. Poucza ona z dziejów i rozumowania, że każdy naród zaczynać musi od wolnego handlu, aby przez stosunki z bogatemi, cywilizowanemi i przemysłowemi krajami dojść do ugruntowania własnéj siły przemysłowéj. Od chwili, gdy możliwym się staje przemysł fabryczny samoistny, następuje potrzeba ceł ochronnych, aby doprowadzić przemysł krajowy do zupełnego rozwoju. Skoro to urzeczywistni się tak dalece, że przemysł krajowy przewyższy obce, to wraca potrzeba wolnego handlu. Zdaniem Lista, cła ochronne podnoszą na czas pewien ceny wyrobów krajowych, zapewniają jednakże na przyszłość tém niższe ich ceny w skutek wewnętrznéj konkurencyi. To, co naród straci na wartościach przez cła ochronne, to odzyskuje na siłach produkcyjnych, stawiających go w możności produkować na wieczne czasy nieobliczoną ilość wartości. Jednakże cła ochronne nie powinny odosabniać narodu i nie powinny wyłączać naraz obcéj konkurencyi, ale powinny być wzmacniane stopniowo w miarę wzrostu materyalnych i duchowych kapitałów, technicznego uzdolnienia i ducha przedsiębierczego narodu“ (1).

Już przed Listem i po nim tworzyła się i doskonaliła w Niemczech szkoła ekonomiczno-historyczna, która zamierzyła zastosować zasady ekonomiczne, oparte na czystéj abstrakcyi, do stosunków realnych przez dzieje wytworzonych. Na czele jéj stoi znakomity i nader zasłużony Roscher. Szkoła ta uwydatniła do oczywistości wpływy terytoryalne, klimatyczne, narodowo-etniczne, cywilizacyjne i historyczne, pod działaniem których kształtuje się życie ekonomiczne

---

(1) Pojęcia Lista przedstawione są z dzieła Moritza Meyera „Die Neuere Nationalökonomik“ pag. 183, według Bruno Hildebranda.

narodu, i ujawniła potrzebę stosowania zasad oderwanych do potrzeb miejsca i czasu.

Na gruncie szkół: narodowéj i historycznéj powstała szkoła socyalizmu doktoralnego (*Kathedersocialismus*) i wreszcie, ostatni jéj wykwit, socyalizm państwowy (*Staatssocialismus*), reprezentowany przez Schäffle'go i Wagnera. Wychodzi ta szkoła ekonomiczna z pojęcia, że gospodarstwo narodowe nie jest sumą pojedynczych gospodarstw, ale jest organizmem w sobie skończonym. Państwo w rzędzie najgłówniejszych społecznych organizacyi, jakiemi są rodzina, gmina, kościół, jest organizacyą najważniejszą, a jako wyższa potęga, stojąca po nad interesem prywatnym, jest powołane do wdania się w walkę interesów prywatnych, skoro tylko interesy społeczności są zagrożone. Byłoby omamieniem wierzyć w uporządkowaną harmonią interesów bez władzy państwowéj w ekonomicznéj sferze. Wdanie się działalności państwowéj usprawiedliwione jest wszędzie, gdzie państwo zaspakaja potrzeby społeczeństwa najgospodarniéj, lub przynajmniéj gospodarniéj od prywatnych, témbardziéj zaś tam, gdzie tylko państwo samo potrzeby te zaspokoić jest w stanie. Państwo działa przez przymus. Przez politykę celną i prawodawstwo państwo wpływa na podział bogactw, nie pozostawiając tegoż samemu działaniu wolnéj konkurencyi. Wpływ państwa na podział bogactw uważany być winien jako zasada fundamentalna wszelkiéj polityki społecznéj (1).

Kierunek narodowy a właściwie państwowy w ekonomii, popierany przez rządy, coraz silniejsze zaczyna zajmować stanowisko. W stosunkach międzynarodowych objawił on się mocnym zwrotem protekcyjno-celnym. Czas nie wykazał jeszcze dostatecznie, ani rozmiaru polepszenia dawnych stosunków, ani ich pogorszenia w skutek doktryn nowych i nowych poglądów. Wprawdzie poważni ekonomiści zaznaczają, że położenie robotników w Niemczech w skutek ceł zbożowych znacznie się pogorszyło, a chociaż cła jednocześnie nałożone na wyroby przemysłu podniosły ich cenę, to jednak płaca robotnicza wcale się nie podniosla, tak że podrożenie żywności jest czystą stratą dla klasy roboczéj. Zawsze jednak doświadczenie zbyt jeszcze jest krótkiém i ostateczny rezultat niewiadomy. Tyle tylko jest pewném, że w zaostrzaniu antagonizmu międzynarodowego, kierunek ten niepoślednie zajmuje miejsce, prowadzi bowiem coraz bardziéj do izolowania się państw, zamykania się przed obcemi murem nieprzebytym, czego właśnie unikać zalecał List.

---

(1) Poczerpnięte z Meyera (loc. cit. pag. 198 passim).

IV. ZAKOŃCZENIE.

Wiek XVIII był wiekiem czystéj abstrakcyi. Zakładając protest przeciwko sponiewieraniu praw człowieka na praw tych podstawie zbudować pragnął przyszłość. Kulminacyjnym punktem abstrakcyi była szkoła filozoficzna niemiecka w początkach naszego stulecia. Niezmierny postęp nauk przyrodniczych, olbrzymi rozrost bogactwa i ścisłe badania, poprowadzone w celach naukowych i ekonomicznych na wszelkich polach myśli i działalności ludzkiéj w wieku XIX, sprowadziły myśl ludzką na drogę doświadczenia i przyjęcia stosunków jedynie realnych za podstawę filozofii i prawa. Tak powstała szkoła pozytywna myślenia i działania, która doprowadziła w rezultacie do uwielbienia siły.

Jeżeli w wieku XVIII wszystkie stosunki zdawały się prostemi, gdyż według panujących wyobrażeń wynikały z kilku zasad przyjętych za niewzruszone pewniki, to w naszém stuleciu ogrom i różnorodność zjawisk już zbadanych, stanowiących konieczną podstawę do ścisłego sądu o rzeczach, sprawia, że wszystko wydaje się trudném, do rozwikłania niemal niepodobném i do ziszczenia dalekiém. Źródła téj przecudnéj poezyi, która uwieńczyła koniec XVIII i początek XIX wieku aureolą niespożytego blasku, dziś wyschły — to co się tworzy w naszych czasach jest odbiciem chwili, jest wymęczone, niepewne i zamiast uspokojenia i siły, wlewa zwątpienie.

Jeżeli jednak rozejrzymy się uważniéj, to dostrzeżemy na wielu, wielu punktach źródła lepszéj nadziei, źródła wiary w przyszłość.

Zmiany gwałtowne, jakie wprowadził wiek XVIII, potrzebowały czasu, aby wykazać swoje dobre i złe strony i zdaje się jakby nadeszła pora, kiedy możliwém staje się oznaczyć granice, w których zmiany te wywierają działanie dobroczynne, i te znowu, w których są one szkodliwe.

Uszczypliwa krytyka religii i religijności XVIII wieku ustępuje dziś coraz bardziéj przed wzrastającą potrzebą przyjęcia idealnych wyższych pierwiastków w życiu ludzkości, a lekceważone dawniéj pojęcia religijne przychodzą do należnéj im powagi i uznania, gdyż ogólnie zrozumiano, że zastosowanie do społeczeństwa ducha braterstwa i miłości chrześciańskiéj, jest jedyną bronią przeciwko sfinksowi naszych czasów.

Pojęcie o wszechludzkiém społeczeństwie, grożące przerodzeniem się w kosmopolityzm, nabrało pełności przez wprowadzenie pomiędzy rodzinę, a ludzkość ogniwa narodowości, przez coraz mocniejsze przeświadczenie, że narodowość ta nie jest zbiorem ludności terytoryalnie, lub téż samém tylko pochodzeniem zbliżonéj, ale fizyczną i duchową osobistością o rysach odrębnych i stałych skłonnościach,

Ideał polityczny pierwszéj połowy naszego stulecia, polegający na parlamentaryzmie, stracił bezwzględny urok, jakim samo jego imię było otoczone. Dziś dla ogółu sama forma parlamentarna nie pokrywa braków treści, a w treści wymaganą jest kontrola z charakterem ciągłości nad zmiennemi kierunkami przemijających większości (1). Natomiast właściwe ustosunkowanie pomiędzy centralizacyą, a decentralizacyą rządu, uważane jest za czynnik polityczny pierwszorzędnego znaczenia.

Pojęcie *ekonomiczne* o wolném współzawodnictwie z nieobliczonemi jego następstwami, mające na celu *wytwarzanie* bogactw, uznawane i dzisiaj za uprawnione i w zasadzie słuszne, znalazło sobie konieczne dopełnienie w pojęciach *społecznych*, dążących do umożliwienia takiego *podziału* bogactw, aby suma dobrobytu w narodzie była jaknajszerzéj rozlaną. Według ogólnie już dzisiaj przyjętych wyobrażeń, żadne wielkie zadanie narodowe i państwowe nie może być sądzone z samego tylko punktu widzenia *ekonomicznego*. Punkt widzenia *społeczny* nabył równouprawnienia.

Utożsamienie narodowości panującéj z państwem, a państwa z pojęciem siły zaciemnia pogląd na przyszłość i odsuwa na czas pewien uprawnione praktyczne wnioski z dzisiejszych zasadniczych pojęć; niebezpieczeństwa wyradzające się z socyalizmu anarchicznego, tudzież gnębiące skutki militaryzmu nakazują przypuszczać, że pod ciśnieniem potrzeby znajdzie się rozsądne wyjście z położenia.

Niebezpieczeństwo, jakie przedstawia światu cywilizowanemu kierunek wywrotowy, i konieczność zaradzenia złemu położeniu społecznemu trwać będą dopóty, dopóki trwać będą stosunki, powołujące pod broń kwiat ludności europejskiéj.

Gdyby socyalizm wszelkiéj barwy był przemijającą chorobą, wypadkiem saméj tylko próżniaczéj pożądliwości klas zarobkujących, lub zubożonych, inaczéj należałoby się zapatrywać na jego doniosłość i same środki represyjne może byłyby wystarczające. Jednakże fatalny bieg stosunków ekonomicznych, przez jednostronne pojęcie i stosowanie praw o wytwarzaniu bogactwa wywołany, nie może trwać wiecznie: na to się wszyscy zgadzają i nikt zapewne z pomiędzy kapitalistów nie marzy o tém, aby ostać się mogło społeczeństwo, złożone z samych już nie milionerów, ale miliarderów i proletaryuszów, jednych i drugich kosmopolitów od stóp do głowy. Do tego jednak doprowadziłyby nieubłaganie naturalnym swoim biegiem dzisiejsze stosunki ekonomiczne, te więc potrzebują zmiany. Jaka ma być ta zmiana, w jakim kierunku i rozmiarze ma się odby-

(1) Kontrolę taką wykonywają w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj senat i najwyższa izba sądowa, rozstrzygająca wątpliwości konstytucyjne.

wać, tego nie wié i przepowiedzićć nie może nikt, patrzący na rzeczy bez uprzedzenia. Tyle tylko z góry powiedzićć można, że zachowanie w narodzie żywotności klas pośrednich i podniesienie dobrobytu klas pracujących, a więc złagodzenie temi drogami zbyt rażących przeciwieństw, przy utrzymaniu tła istniejących porządków, powinno towarzyszyć zmianie. Sami jedni najskrajniejsi socyaliści pewni są posiadania programatu przyszłości jasnego i prostego, aby zburzyć wszystko co istnieje, i ten to jest powód, który nadaje im względem mas pociągającą siłę. Masy potrzebują bowiem wyraźnego sztandaru, kompromisy są dla nich niezrozumiałe i pachną im oszukaństwem. Więc każdy, komu są drogie nietylko interesy materyalne, ale co stokroć większa, każdy kto oprócz tych interesów inne, świętsze ukochał, dbać powinien o to, aby zmiany w dzisiejszym ustroju społecznym nieuniknione odbyły się spokojnie, bez wstrząśnień, z odpowiednim zasobem czasu na przetrawienie każdéj reformy. Idea narodowości jest tą właśnie jedyną siłą, która przez swoje natężenie, liczbę stronników i wciąż odświeżającą się żywotność, mogłaby w danych warunkach dać odpór nawale, powstrzymując chwilowe zapędy i dając czas rządom i społeczeństwom na stopniowe przeprowadzenie zmian, niezbędnych dla poprawy stosunków.

Fakty dowodzą, że stosunek uczucia narodowości do socyalizmu coraz lepiéj jest rozumiany. Wzmacnianém więc jest wszędzie to uczucie, a wszystkie rządy i społeczeństwa pracują gorliwie innemi jeszcze drogami nad poprawą stosunków społecznych. Jednakże namiętności natury politycznéj na każdym kroku stawiają przeszkody pomyślnemu biegowi reformy, gdyż wyradzają potrzeby, których zaspokojenie pochłaniać musi wszystko, co skądinąd zostało uzyskane. Dopóki namiętności te nie zostaną zaspokojone na gruncie czystéj sprawiedliwości, która daje podjętym przeobrażeniom największą, a może nawet jedyną rękojmię trwałości dopóty niepodobną jest skuteczna poprawa stosunków ekonomicznych i społecznych. Ponieważ sprawiedliwość w znaczeniu politycznem ziścić się może tylko na gruncie narodowym, a postępy, dokonane w tym kierunku wśród narodów europejskich od lat trzydziestu, są już niezmierne, przeto mniemam, że tak jak uszanowanie dla ludzkiéj godności i osoby, w każdym stanie i położeniu, było jedną z najgłówniejszych zdobyczy moralnych XVIII wieku, tak samo zupełnie: uszanowanie dla godności i majestatu osobistości zbiorowéj, jaką jest wszelka narodowość historyczna, będzie zdobyczą i koroną naszego XIX wieku.

Józef Jeziorański.

FAUST,

TRAGEDYA GOETHE'GO.

Przelożył LUDWIK JENIKE. (1)

PRACOWNIA.

Faust (*wchodzi z pudlem*).

Łąki, pola legły zdala,
Osłonięte nocy cieniem;
Ona duszę nam okala
Tajemniczém swojém tchnieniem.
Już uśpione żądz popędy,
Które światło dnia w nas budzi;
W piersiach naszych włada wszędy
Miłość Boga, miłość ludzi.
A zasię pudlu! Czego chce to psisko
I co tam wietrzy koło drzwi?
Za piecem twoje legowisko,
Tam na poduszce usiądź mi!
Jeżeliś w polu, na rozłogach,
Zabawiał nas, biegając tu i tam,
To zato teraz w moich progach
Gościnność chętnie tobie dam.

O! gdy w zacisznéj mojéj celi
Zapłonie lampa znów wieczorem,
To serce czegoś się weseli,
To myśl spokojnym bieży torem.
Przemawia rozum, przytłumiany długo,
Nadzieja kwitnie pośród znojów
I dusza tęskni znów za życia strugą,
Do życia się wydziéra zdrojów.

---

1) Ob. „Ateneum“ zesz. kwietniowy r. b. str. 53—83.

Nie warcz mi, pudlu! Do tych świętych głosów,
Co teraz mą istotę ogarniają,
Te wrzaski twoje źle się dostrajają.
Że ludzie tam nie szczędzą szyderstw ciosów,
Gdzie sami czego pojąć nie są zdolni,
To rzecz zwyczajna: zawsze oni mruczą,
Nim rzeczy dobréj dobrze się nauczą;
Lecz ty od warczeń swoich mnie uwolnij!

Ach, już nie czuję, mimo szczéréj chęci,
Że z piersi méj zadowolenie tryska.
Dlaczego nowe mnie pragnienie nęci?
Dlaczego zdrój wysycha u źródliska?
Lecz brak ten łatwo powetować sobie.
Gdy rzecz nadziemską umysł nasz ocenia,
Gdy dusza pragnie objawienia,
To nigdzie wzniośléj ono nie zapłonie
I nigdzie piękniéj, niż w Nowym zakonie.
Zajrzyjmy tam w téj uroczystéj dobie!
Niech świętych jego słów osnowę
Przełożę na ojczystą mowę.
(*Otwiéra biblią i pisze*).
„Na początku było *słowo.*"
Otóż trudność mam gotową;
Nie mogę *słowa* cenić tak wysoko.
Jeżeli dobrze widzi ducha oko,
To na początku prędzéj była *myśl*!
Więc daléj pióro, pisz a kreśl!...
Czy *myśl* istotnie wszystko tworzy?
Nie, raczéj na początku była *siła.*
Lecz może tekstu treść zawiła
Na inne jeszcze brzmienie mi się złoży;
Czy nie pochwycę prawdziwego wątku?
Ha! mam go: *czyn* był na początku.
(*Przekréśla i pisze*).
Ależ pudlu ty przeklęty,
Czego szczekasz jak najęty?
Jeżeli chcesz tu zemną być,
To przedewszystkiém przestań wyć.
Wrzaskliwy bardzo z ciebie gość,
A ja hałasu znieść nie mogę;
No, bądź-że cicho, dość już, dość!
Lub nie, to wolną masz ztąd drogę.

Lecz co się dzieje? czy to czary?
Czy śnię, czy widzę to na jawie?
Toć psisko wszérz i wzdłuż bez miary
Urosło już w dwójnasób prawie.
Potężnie ono się rozdyma,
To nie jest zwykła postać psa;
Z roziskrzonemi już oczyma
I z groźnie wyszczerzoną szczęką
Piekielnéj mary pozór ma.
Poczekaj, biesie, mam ja tu pod ręką
Wyborny środek, który cię pokona:
Wszechwładny klucz magiczny Salomona.

Duchy (*zewnątrz*). Jeden z naszych złowion tam,
Więc nie wchodźmy do komnaty,
Bo w niéj ugrzązł już zakaty
Stary stróż piekielnych bram.
Baczność wiara! tak się godzi;
Krążmy ciągle tam i sam,
A gdy on się oswobodzi,
Może jeszcze pomódz nam.
Niech zbyt długo tam nie siedzi
Duch, co w więzach swych się biedzi.

Faust. Żeby zetrzéć łeb zwierzęcia,
Cztery różne mam zaklęcia:
Niech Salamandra płonie,
Undyna niech wiruje,
Sylf niechaj się rozwionie,
Gnom niech się namozoli.
Komu są obce
Te elementy
I obcy rozum
W czary zaklęty,
Ten już niesnadnie
Duchy owładnie.
Spełznij w płomieniu,
Giń, Salamandro!
Z szumem w strumieniu
Popłyń Undyno!
Świéć meteorem
Skrzydlaty Sylfie!
W domu bądź wzorem
Dla nas, o Gnomie!
Coś się nie wiedzie moje przedsięwięcie,
Straszydło cicho sobie leży
I groźnie zęby na mnie szczerzy;
Nie dosięgnęło go widać zaklęcie.
Poczekaj, mam ja inne jeszcze
A potężniejsze środki wieszcze.

Jeżeliś z piekła zbieg,
To spojrzyj na to znamię,
Co wam od wieków wiek
Czartowskie skrzydła łamie
I harde karki zgina.
O już, już mu najeża się czupryna.
Poczwaro podła!
Znasz-li te godła?
Niestworzonego,
W niebie czczonego,
Niewysłowionego,
Włócznią przebitego?
W framugę zaklęta,
W kształt słonia wydęta,
Rozsadza już piec;
Znów w mgłę się rozpływa,
Pod strop się wyrywa....
Do nogi mi ledz!
O, ja nie grożę nigdy nadaremnie!
Potężnym żarem cię osmalę!
A więc nie czekaj-że zuchwale,
Aż wezwę tu silniejszą moc odemnie
I spuszczę światło potrójnego blasku!

Mefistofel (*śród mgły opadającéj wychodzi z za pieca, w ubiorze wędrownego scholasty*).
Już jestem, panie! Poco tyle wrzasku?

Faust. Więc takie było pudla jądro!
Scholasta,—śmiéch z tą głową mądrą.

Mefistofel. Powitać was pokornie i przyjaźnie!
No, aleście mi téż sprawili łaźnię!

Faust. Jak się nazywasz?

Mefistofel. To zbyt drobiazgowo
Na tego, co tak mało ceni *słowo*
I co z pozorów złudnych szydzi,
Istotę rzeczy tylko widzi.

Faust. Istota rzeczy nieraz skrycie
Z nazwiskiem samém się kojarzy,
A słusznie przecie wy nosicie
Szalbierzy miano, albo łgarzy.
Więc ktoś ty?

Mefistofel. Cząstka owéj siły mała,
Co złego pragnąc, zawsze dobro zdziała.

Faust. Lecz jakież słowo téj zagadki?

Mefistofel. Jam duchem, który wiecznie przeczy
I mniemam, że to wcale nie od rzeczy,
Bo chyba w świecie traf to rzadki,
By co istnieje, istnieć było warte.
Więc wszystko co na grzechu wsparte,

Co wy zowiecie czynem złym,
To właśnie jest żywiołem mym.

Faust. Tyś cząstką nazwał się, a stoisz cały.

Mefistofel. Istotną prawdę usta me wyznały.
Gdy człowiek swoim zwykle świat nazywa
I całość widzi w nim zarozumiale,
Jam cząstką tylko cząstki jest tworzywa
Ciemności, która światła rodzi fale;
A dumne światło to macierzy-nocy
Przyznawać nie chce dawnych praw i mocy,
Lecz nadaremnie, boć to ziemski pył,
Co przywrzéć musi do cielesnych brył;
Ozdabia ciała, z ciał téż płynie,
Swobodny pochód mu tamują ciała.
I chwila tylko, chwilka mała,
A razem z ciałmi ono zginie.

Faust. Pojmuję teraz liche twe rzemiosło:
Nie umiész niszczyć tego, co jest wielkie,
Więc rzucasz się na drobne twory wszelkie.

Mefistofel. Co prawda, mało ono mi przyniosło.
To, co nicości stawia opór stale,
To *cóś*, ten nędzny ziemi płatek,
Mizerny, nieudolny światek,
Wpływowi memu nie podlega wcale.
Pomimo burze, fale i pożary,
Spokojne zawsze jego są obszary;
A już co ludzie i zwierzęta,
To taka siła w nich przeklęta,
Że ledwie jednych bies pogrzebać zdąży,
Już w innych krew nanowo krąży,
I ciągle tak. Doprawdy, brzydnie życie!
Z powietrza, wody, ziemi w każdéj dobie
Tysiączne siły wciąż kiełkują skrycie,
Na sucho, mokro, w cieple, czy téż w zimnie,
I gdybym ognia nie był zastrzegł sobie,
To nicby już nie pozostało przy mnie.

Faust. Więc przeciwstawiać chcesz, nieborę,
Potędze zbawczéj w każdym tworze
Swą pięść, bezsilnie w kułak zaciśniętą?
W czém inném raczéj doświadcz losu,
Dziwaczny synu ty chaosu!

Mefistofel. No, kiedyindziéj rzecz poczętą

Obszerniéj z sobą obgadamy.
A teraz czy mi wolno odejść, panie?

Faust. Wistocie, nie wiem na co to pytanie.
Ponieważ już się teraz znamy,
Więc mnie odwiédzaj kiedy zechcesz sam.
Wszak drzwi i okno stoją ci otworem,
A nawet komin pod twą władzę dam.

Mefistofel. Przepraszam, wyjście pójdzie mi oporem,
Choć wolna niby dla mnie droga,
Bo więzi mnie ten znaczek tam u proga.

Faust. O, mój pentagram (1) ci zawadza!
Lecz powiédz mi, ty piekła dziecię,
Jak wszedłeś tu, gdy taka jego władza,
I jakeś złapał się w te siecie?

Mefistofel. Spojrzyjcie tylko! Źle jest nakreślony,
Bo tam pozostał otwór z jednéj strony.

Faust. Więc traf posłużył mi niespodziéwanie
I jesteś więźniem mym, kochanie.

Mefistofel. Niebacznie pudel w matnię skoczył,
A teraz, choć niebezpieczeństwo zoczył,
Już, jako diabel, z izby wyjść nie może.

Faust. Lecz ja i okno chętnie ci otworzę.

Mefistofel. Już to jest takie prawo czarcie,
Że kędy wszedł, wyjść musi tędy.

Faust. A więc i czart na prawne baczy względy?
Wybornie! Bo powiadam ci otwarcie,
Że chciałbym z wami zawrzéć pakt.

Mefistofel. Co przyrzekniemy, tego dochowamy,
Umowa, to spełniony fakt;
Lecz spisać jéj nie można na kolanie,
Wszak dosyć jeszcze czasu mamy.
Obecnie proszę uniżenie
O rychłe ztąd na ten raz uwolnienie.

Faust. Poczekaj trochę, mój acanie,
Wprzód dobrą mi oznajmij wieść.

Mefistofel. Wypuśćcie mnie! Ja wkrótce tu się stawię,
By na pytania wam odpowiedź nieść.

Faust. Jam cię nie wzywał, jestem w swojém prawie,
Sam wszedłeś tu, więc czar się ciebie ima.
Kto diabła złowi, niech go dobrze trzyma,
Bo drugi raz nie wlézie mu już w siecie.

---

(1) Figura geometryczna, w kabalistyce używana.

Mefistofel. Co robić? Kiedy tak każecie,
To gotów jestem służyć za kompana,
Lecz pod warunkiem, abym sztuki swemi
Rozerwał godnie łaskawego pana.

Faust. I owszém, wolna tobie wola,
Lecz sztuka niech w ponętę się rozplemi.

Mefistofel. Dla zmysłów więcéj tu znajdziecie pola
Przez pół godziny, niż gdzieindziéj bywa
Przez rok. Gdy zabrzmi duchów gęśl pieściwa,
Nie będzie to ułudy próżnéj czar,
Lecz najprawdziwszy prawdy dar.
Napoją wam i smak, i powonienie,
I czucie wprawią w zachwycenie.
Więc daléj! wszak jesteście tuż,
Pokrewne duchy — zaczynajcie już!

Duchy.

Zwalcie się ciemne,
Mroczne sklepienia!
Niech się błękitu
Blask rozpromienia!
Po za czarnemi
W górze obłoki,
Niechaj się światła
Zleją potoki!
Gwiazdki niech chórem
Ku nam mrugają!
Twory nadziemskie
Niech się zjawiają!
Szaty ich lekkie
Swojemi wstęgi
Kryją przed nami
Góry i łęgi;
Kryją kochanków,
Którzy w ustroni
Toną w zadumie,
Skroń koło skroni.
Bujne winnice,
Z ciężkiemi grony,
Z których tłok sączy
Napój spieniony.
Z hukiem i szumem
Bystre strumienie
Pędzą przez skały,
Tocząc kamienie;
Aż porzuciwszy
Górne krainy,
W szybę jeziora
Stroją doliny.
A rój skrzydlaty
Rozkosz z nich spija
I ku wyżynie
Słońca się wzbija;
Dąży do wysep
Owych kwiecistych,
Co się na falach
Kołyszą czystych.
To zamaszyście
Rej wodzi w chórze,
To nad polami
Pląsa ku górze;
Gubi się w dali,
Pnie się na wzgórza,
Znów się nad jezior
Tonie wynurza;
Wzlata ku życiu,
Wzlata w przestrzenie,
Śledząc gwiazd rzeszy
Błogie istnienie.

Mefistofel. Już śpi! Ha dobrze, wy skrzydlate zuchy
Ukołysałyście go swemi pieśni;
Ja za ten koncert trzymam z wami.
Nie tobie jeszcze, bratku, więzić duchy!
Owiońcie go słodkiemi rojeniami,
Zanurzcie duszę w ułud cieśni!...
Lecz zanim ten przeklęty próg przekroczę,
Potrzeba mi pomocy szczura,
Bo taka czarów jest natura.
Ha, właśnie któryś w kącie się chrobocze,
Przemówię, niechaj mnie posłyszy:
Pan wszelkich stworzeń, szczurów, myszy
Poleca ci, byś wyszedł ze swéj nory
I przegryzł próg oliwą nakropiony.
O, już napoczął kawał spory.
A nuże, gryź z téj jeszcze strony!
Tam jest ów róg, co w więźnia mnie zamienia.
No, Fauście, śpij! Do zobaczenia! (*Znika*).

Faust (*budząc się*). Czyż znowu mam być oszukany?
Czyż złudny mnie ogarnął sen?
I czart okłamał mnie przez swe tumany,
I znikł mi nawet pudel ten.

PRACOWNIA.

FAUST, późniéj MEFISTOFEL.

Faust. Ktoś stuka. Proszę!.... Kto mnie znów nachodzi?

Mefistofel (*za drzwiami*).
To ja!

Faust. Więc proszę!

Mefistofel. Trzykroć rzec się godzi
To słowo.

Faust. Proszę!

Mefistofel (*wchodząc*). Tak, to co innego!
No, zgodzim się, szanowny mój kolego,
Bo chcę ci mówić tylko o zabawie.
Więc po szlachecku tu się stawię:
W czerwonéj szacie, złotem lamowanéj,
W płaszczyku czarnym ze sajety,
Kapelusz z koguciemi pióry,
U boku długa, zaostrzona szpada.

A teraz.... taka moja rada:
Rzuć, bracie, humor swój ponury
I w wykwintnisia strój przybrany,
Z krynicy życia nowe czerp podniety.

Faust. Mnie w każdéj szacie, z każdą chwilką,
We znaki dadzą się zawody.
Zastarym, żeby igrać tylko,
A by nie pragnąć, jam zamłody.
I cóż mi może ofiarować świat,
Prócz utrapienia, klęsk i strat?
„Obywaj się!“—Piosenka ta mnie budzi,
Bo nam ją los przez całe życie
Aż do schrypnięcia wciąż powtarza.
Poranek każdy trwogę tylko stwarza,
Obléwam łzami każdy dzień obficie
I żadne, żadne z życzeń mych gorących
Nie spełnia się. Napróżno świat mnie łudzi,
Przeczucie nawet pragnień wrzących
Przekora jego tłumi wemnie,
Porywy ducha nęcą mnie daremnie.
Gdy noc swym kirem nas ocienia,
Na łoże padam roztęskniony,
Lecz próżno szukam ukojenia,
I tam mnie dręczą dzikich snów demony.
Ten Bóg, co mieszka w piersi mojéj,
Rozburzyć zdoła tylko głębie duszy,
Lecz nic nazewnątrz nie poruszy.
Więc niech cielesna przędza się rozrywa!
Precz z życiem! Śmierć mnie tylko uspokoi!

Mefistofel. A przecież śmierć niemiłym gościem bywa.

Faust. Szczęśliwy, komu ona w zwycięztw chwale
Wawrzynem krwawym wieńczy skronie,
Lub kogo po zawrotnym tańca szale
Zaskoczy, gdy w objęciach lubéj tonie!
O czemuż pośród duchów roju
Nie przyszło ledz mi tu w zachwycie?

Mefistofel. A śmiertelnego jednak ktoś napoju
Niedawno w nocy wypić nie chciał.

Faust. Czyż ty szpiegowaćbyś mnie zechciał?

Mefistofel. Niewszystko wiem, lecz więcéj niż wy wiécie.

Faust. Choć przez straszliwych burz odmęty
Znajomy, słodki odgłos w niebo mknie,

Choć z resztek uczuć mych poczęty,
Oddźwiękiem lepszych czasów ludzi mnie —
Przeklinam jednak wszystko, co mi wolę
W zdradliwe oplątało sieci,
Co na żałoby tym padole
Zwodniczych świateł iskry nieci!
Przeklinam pychę, co nas mami!
Przeklinam blichtr, co nam ogarnia zmysły!
Przeklinam duszę, rozigraną snami,
Przed którą bańki sławy się rozprysły!
Przeklinam to, co nas tumani,
Co w imię żony, dzieci słabość rodzi!
Przeklinam pieniądz, czy nam tani
Przynosi rozgłos, czy też gnuśność płodzi!
Przekleństwo czarze wina po kolei!
Przekleństwo żądzy, co nam w piersiach gości!
Przekleństwo wierze i nadziei!
Lecz przedewszystkiém cierpliwości!

Chór duchów (*niewidzialny*).

Biada ci, biada!
Sameś obalił
Piękny ten świat!
Już się rozpada,
Półbóg go zwalił.
My jego szczęty
Niesiem w zaklęty
Nicości ślad;
Ubolewamy
Nad pustką tą,
Ale wołamy,
Słudzy najszczersi:
We własnéj piersi
Odbuduj ją!
Życia bieg nowy
Rozpocznij śmiało,
By pieśni słowy
Ono rozbrzmiało!

Mefistofel.

To nucą mali
Z mojéj drużyny;
Każdy z nich chwali
Przyszłe twe czyny.
Chcą cię wywabić
W daleki świat,
Nudy twe zabić
Każdy z nich rad.
Naprożno draźnisz cierpień swoich ranę,
Co jako sęp ci życie żre;
Toć towarzystwo, choćby źle dobrane,
Poczucie zawsze w piersi twéj rozbudzi,
Żeś jest człowiekiem pośród ludzi.
Lecz nie sądź z tego, abym kroki twe
Skierować pragnął ku hołocie;

Nie jestem wielki, lecz gdy po ochocie
Pospołu zemną zechcesz iść przez życie,
To już nad tobą czuwać będę skrycie
I pozostanę na pielgrzymkę długą
Twym towarzyszem wiernym, nawet sługą.

Faust. A co ci wzajem mam uczynić zato?

Mefistofel. Ej, nic pilnego, naglić ciebie nie chcę.

Faust. Nie, diabeł zawsze bywa egoistą
I za Bóg zapłać z własną stratą
O czyją korzyść dbać nie zechce.
Mów tedy, jakie jest żądanie twoje?
Bo takich sług się w domu boję.

Mefistofel. Więc *tu* jam sługa twój, Mefisto,
Żądanie twoje każde spełnię wnet,
A *tam* mi kiedyś oddasz wet za wet.

Faust. O jakieś *tam* nie troszczę ja się wcale.
Gdy świat ten zdołasz rozbić w szczęty,
To niech tam sobie inny gdzieś powstaje.
Ta ziemia mi rozkosze daje
I z niéj téż płyną cierpień moich męty;
Jeżeli kiedy w udręczenia szale
Z nią się rozstanę — niech się co chce dzieje.
Nie ziębi mnie to, ani grzeje,
Czy kędyś miłość, czy nienawiść tleje
I czy w przyszłego bytu kole
Jest kto na górze, czy na dole.

Mefistofel. No, skoro tak, to przystąp śmiało
Do paktu zemną. Już w tych dniach niemało
Rozkoszy dadzą ci zaklęcia wieszcze,
Użyjesz, czego nikt nie użył jeszcze.

Faust. I cóż ty nędzny diable masz do dania?
Czyż myśl człowieka, jego wzlot sokoła,
Podobny tobie biédak pojąć zdoła?
Masz pokarm, który głodu nie odgania,
Masz złoto, które się rozpływa w dłoni,
Masz grę, przy któréj grosza nikt nie wygra,
Dziewczynę, co w objęciach moich igra,
A już za innym oczętami goni,
Masz widmo sławy śmiertelnika,
Co jak meteor złudny znika.
Lecz wskaż mi owoc przed zerwaniem zgniły,
Lub drzewa, coby wciąż się zieleniły.

Mefistofel. Żądanie takie wcale mnie nie trwoży,
Skarbami temi mógłbym ci usłużyć;
Lecz, przyjacielu, z czasem tak się złoży,
Że plonów swych spokojnie zechcesz użyć.
Faust. O, jeśli ledz mam w bezczynności, gnuśnie,
Niech raczéj zginę, niech przepadnę marnie!
Jeżeli tak mnie pochlebstw dym ogarnie,
Że w samolubstwie duch mój uśnie,
Jeżeli kiedy rozkosz mnie omami,
Zaświta wtedy mój ostatni dzień.
O zakład!
Mefistofel. Dobrze!
Faust. Zgoda między nami.
Gdy rzeknę kiedy do przelotnéj chwili:
Stań! Piękna jesteś jak ułudy cień!
To już mnie w więzy zakuj swoje
I skończą się twéj służby znoje;
Niech śmierci dzwon zahuczy mi złowrogo,
Niech zégar stanie, życie się przesili,
Niech zatracenia pójdę drogą!
Mefistofel. Pamiętaj, wyrok swój wyrzekłeś sam!
Faust. Na wszystko chętnie prawo tobie dam.
Nie wymówiłem słów tych lekkomyślnie.
Gdy już niewoli ciężar mnie przyciśnie,
Gdy mam służalcem być, to mało dbam,
Czy twoim, czy téż czyim może.
Mefistofel. A więc starania dzisiaj już dołożę,
By ci dogodzić przy doktorskiéj fecie.
Lecz.... na przypadek śmierci przecie
Otrzymać muszę chociaż wiérszy parę.
Faust. Ha, pisma żądasz? Licho ty niezdarne,
Miéj raczéj w słowo moje wiarę!
Czyż niedość, że to słowo marne
Stanowić o mnie ma nazawsze?
Świat pędzi naprzód, wartko, bez wytchnienia;
Dla innych losy są łaskawsze,
A mnie skrępować mają przyrzeczenia?
Szczęśliwy ten, kto w piersi szczérość nosi!
Ofiara mu powieki łzą nie zrosi;
Lecz cyrografów zwój na pergaminie,
To widmo, które każdy rad ominie,
Bo obumiéra władza pióra

Tam, gdzie panują wosk i skóra.
Więc czego chcesz, ty czarci synu?
Marmuru, śpiżu, pergaminu?
Czy dłutem, rylcem, piórem pisać mam?
Zastanów się i wybierz sam.

Mefistofel. Najniepotrzebniéj, bracie, marszczysz brwi;
Tu dosyć świstka i kropelki krwi.

Faust. Więc zgoda, jeśli taka wola twa!

Mefistofel. Krew szczególniejszą siłę ma.

Faust. Nie lękaj się, dochowam wiary,
Bo to przyrzekam, czego pragnę.
Ja wyższéj nie dorastam miary,
Zaledwo się do twojéj nagnę.
Potężny mną pogardził duch,
Przyrody dla mnie zamarł ruch
I potargane myśli motowidło;
Ślęczenie dawno mi już zbrzydło.
Niech w zmysłowości się głębinie
Namiętność wrząca zaspokoi!
W nieprzeniknionéj czaru zbroi
Niech cud wszelaki się rozwinie!
Rzućmy się w czasów głuchy szum;
W zamętu tok, w wypadków tłum
I niechaj rozkosz lub cierpienie,
Zawody albo powodzenie
Mieniają się ze sobą wciąż;
Śród walki tylko żyje mąż.

Mefistofel. Nie myślę ci zakreślać granic.
Gdy zechcesz połasować wszędy,
Coś skubnąć czasem z cudzéj grzędy,
Spożywaj zdrów, nie zważaj na nic,
A nie bądź mi nieśmiały, jakby klecha.

Faust. Wszak słyszysz, nie w tém dla mnie tkwi pociecha.
Zamętu szukam, zamiast ukojenia,
Miłości wstrętnéj, lub krzepiącéj troski.
Gdy zatraciłem wiedzy zapał boski,
Nie zamknę odtąd piersi dla cierpienia.
To, co ludzkości bywa tu udziałem,
Ja zawrzéć pragnę w mém jestestwie całem
I sięgać duchem nizko lub wysoko,
Jéj zła lub dobra w sercu strzedz głęboko
I własne *ja* w istnieniu jéj rozwinąć,
By, tak jak ona, wkońcu w gruzach zginąć.

Mefistofel. O wierzaj mnie, co lat tysiące
Ten pokarm twardy muszę żuć u żłobu,
Że od kołyski aż do grobu
Zakwasu tego żaden z was nie strawi.
Dla Boga tylko wszechistnienie wrzące
W ponętną całość się zestawi.
On w wiekuistém świetle tam króluje
I rządzi światem Jego moc;
Nam żywot się w ciemności snuje,
A wam naprzemian daje dzień i noc.
Faust. Lecz żądam tego!
Mefistofel. Wyśmienicie!
O jedno tylko lękam się potrosze,
Że sztuka długa, krótkie życie.
Potrzeba ci wskazówek, a więc wnoszę:
Zapewnij sobie pomoc wiérszoklety;
On, w rozbujałych myśli wzlocie,
Najszlachetniejsze ci zalety,
Uczucia wzniosłe i nadzieje
Na uwieńczoną głowę zleje.
Więc staniesz się odważny, jako lew
I szybkonogi, jako łania,
Mieć będziesz wrzącą południowca krew,
Z Północy weźmiesz dar wytrwania.
On cię nauczy tajemnicy wielkiéj,
Jak prostoduszność łączyć z lisim sprytem,
Jak z pałającym młodych lat zachwytem
Zakochać się po formie wszelkiéj.
Ja sam takiego radbym poznać zucha
I nazwałbym go mikrokosmem ducha.
Faust. Więc czém ja jestem, jeśli niepodobna
Po człowieczeństwa sięgnąć nam koronę,
Ku któréj zmysły wszystkie są zwrócone?
Mefistofel. Ty jesteś tém, czém jesteś—skierka drobna.
Perukę w milion loczków włóż na głowę,
Pod stopy wsuń napiętki półłokciowe,
A pozostaniesz jednak tém, czémś był.
Faust Spostrzegam, żem gromadził nadaremnie
Zasoby wiedzy, według sił,
Bo gdy ustanę teraz, żaden zemnie
Nie tryśnie nowéj myśli zdrój.
Stracony był wysiłek mój;

Na włosek nie urosłem wyżéj,
Nieskończoności jam nie bliżéj.

Mefistofel. Mój przyjacielu, widzisz życie,
Jak świat je widzi pospolicie;
My urządzimy to rozumniéj nieco,
Nim siły młode nam ulecą.
Zakaty! jeśli głowa, nogi, ręce
Są moje, niechże również będzie mojem
To, co zdobyłem ciężkim nieraz znojem
I co na swój użytek święcę.
Jeżeli mam poszóstny cug,
Czyż nie jest moją siła koni?
Czyż mi niewolno ścigać się w pogoni,
Jak gdybym miał dwadzieścia cztéry nóg?
Więc daléj! Porzuć te chimery
I zdążaj śmiało w ziemskie sfery!
Powiadam ci: kto szpera nazbyt wiele,
Jest jako bydlę, które w błędném kole
Zły duch po wyschłym prowadzi rozdole,
A tam się wokół świéża trawka ściele.

Faust. Więc cóż zrobimy?

Mefistofel. Na przebój iść trzeba;
Bo czyż się godzi dla kawałka chleba
I siebie i tych żaków w bakalarni
Udręczać próżno śród nudów męczarni?
To tak zupełnie, jakbyś młócił słomę.
Najlepszy kąsek tego, coś sam zbadał,
Dla pauprów takich przecie się nie nadał,
Więc po próżnicy budzisz w nich oskomę.....
Lecz jeden, słyszę, tam w przedsionku czeka.

Faust. Ja mówić teraz z nim nie mogę.

Mefistofel. Ten biédny chłopiec dybie dosyć długo
Na ciebie, może przybył tu zdaleka.
Ha! daj mi biret swój i togę,
W tym stroju będę panem, zamiast sługą.

(*Przebiéra się*).

To maskarada w moim guście.
No, bracie, na mój dowcip spuść się.
Kwadransa dosyć mi rozmowy,
A ty do drogi bądź gotowy.

(*Faust wychodzi*).

Mefistofel (*sam, w długiéj todze Fausta*).

Tak, zaprzyj się rozumu i nauki,
Téj najdzielniejszéj ludzkiéj broni,
Wierz w blichtry, w czarnoksięzkie sztuki;
Niech matnią swą duch kłamstwa cię osłoni,
A schwycę cię bezwarunkowo.
W nim mieszka duch nieposkromiony,
Dążenie nierozważne owo,
Co się rozprasza w różne strony.
Lecz ja go w życia szał powlokę,
Przez powszedniości płaskiéj męty;
Niech drga, drętwieje, niech go swemi pęty
Usidli żądza; niechaj każdą zwłokę
Nienasyconość jego odboleje;
Niech pokarm przed chciwemi jego wargi
W ułudne widmo, w marę się rozwieje
I niech napróżno głosi swoje skargi.
Ten człowiek, choćby diabłu się nie oddał,
Zawszeby wkońcu zgubie rad się poddał.

Uczeń (*wchodzi*).

Uczeń. Przybyłem tu przed czasem niezbyt dawnym,
Więc może pozwolicie mi
Zapoznać się z człowiekiem sławnym,
Którego imię każdy czci.
Mefistofel. Ta grzeczność bardzo mnie ujmuje;
Spotykasz we mnie człeka, jakich wielu.
A czyś się tu rozpatrzył, przyjacielu?
Uczeń. Ja właśnie wam się sumituję.
Przynoszę tutaj z sobą zdrowy siew,
Bo trochę grosza i młodzieńczą krew.
Matula ledwo mnie puściła,
Lecz niezwalczona w piersi mojéj siła
Nauki zapragnęła stale.
Mefistofel. A więc trafiłeś doskonale.
Uczeń. Wyznając prawdę, bierze mnie ochota
Uciekać ztąd. Te mury, te sklepienia
Nie budzą wcale mego zachwycenia,
Na wszystkie strony duszna tu ciasnota.
Nie widać nieba, ni zieleni,
A owe ławki w waszéj sali
Aż wzrok, i słuch, i myśli ćmią już z dali.

Mefistofel. To wszystko nawyk łatwo zmieni.
Toć nawet z piersi matki dziecię
Niezaraz pokarm chwyta przecie,
Lecz wkrótce go z lubością ssie.
Tak wy z Mądrości zaczerpniecie piersi,
W pragnieniach szczerzy, coraz szczersi,
Tę rozkosz, co się wiedzą zwie.
Uczeń. Z radością ja u łona jéj zawisnę,
Lecz radźcie mi, jak do niéj się docisnę?
Mefistofel. A zatém, nim pójdziemy daléj,
Potrzeba, byście fakultet obrali.
Uczeń. Ja pragnąłbym uczonym zostać
I poznać co istnieje tu na ziemi,
Co pod stropami niebieskiemi,
Natury całéj i nauki postać.
Mefistofel. Wyborny zamiar, lecz się przy nim godzi
Hulanek i rozrywek zrzec zupełnie.
Uczeń. Co przedsięwziąłem, to i spełnię;
Choć z drugiéj strony wyznać nie zaszkodzi,
Że radbym w święta, za pogody,
Cokolwiek użyć téż swobody.
Mefistofel. Używaj czasu, bo on wnet ucieka!
Porządek zato uczy człeka
Jak czas oszczędzać. Więc marzenia stłum!
Wstąp na *collegium logicum.*
Tam duch twój w więzy będzie skuty
I w ciasne go wsznurują buty,
By odtąd już rozważniéj, ściśléj
Mógł przemknąć się po drodze myśli,
A nie odbiegał tu i tam,
Jak błędny ognik krążąc sam.
Tam cię nauczą, że co snadnie
Rozwijać mogłeś pośród życia gry,
To późniéj robić ci wypadnie
Jak na komendę: raz! dwa! trzy!
Co prawda z tą fabryką ducha,
To tak zupełnie, jak z warsztatem tkacza,
Gdzie jeden ruch w tysiące nitek wkracza,
Czółenka krążą w tę i w owę stronę,
Niteczki płyną niezliczone,
A warsztat cały majstra woli słucha.
Wtém niespodzianie filozof nadchodzi

I nuż dowodzić, że to bywa tak,
Bo piérwsze zwykle drugie płodzi.
A trzecie znowu czwarte.... tak i siak;
Więc gdyby piérwsze z drugiém nie istniało,
Trzeciego z czwartém byłoby zamało.
I niby uczeń to rozumié,
A jednak tkaczem żaden być nie umié.
Kto żywy poznać pragnie cud,
Niech ducha z niego wygna wprzód,
A szkielet będzie miał gotowy,
Lecz spójni zbraknie mu duchowéj.
Enchejresin naturae (1) to nazywa
Nauka, choć się sama tém wydrwiwa.

Uczeń. Niecałkiem jakoś was pojmuję.

Mefistofel. To zczasem jaśniéj się rozsnuje,
Gdy zaczniesz wszystko redukować,
Rozbiérać i klasyfikować.

Uczeń. Tak mi się, mistrzu, robi głupio,
Jak gdyby łeb mi koło młyńskie rwało.

Mefistofel. Gdy już pojęcia twe się skupią,
Do metafizyki się zabierz śmiało
I bacz, byś wniknął do jéj treści.
Co w mózgu ludzkim się nie mieści,
Co tli się w nim, albo-li nie tli,
To szumne słowo niby ci rozświetli.
Lecz przedewszystkiém w tém półroczu
Porządku, bracie, nie trać z oczu!
Masz codzień kursów godzin pięć,
Więc z głosem dzwonka staw się na nie,
A chwile wolne na przygotowanie,
Na paragrafów studja święć,
Byś poznał, że profesor tylko gada,
Co książka ci oddawna rozpowiada.
A jednak pisz, pilnością wskróś przejęty,
Jak gdyby ci dyktował sam Duch święty!

Uczeń. Téj rady nie pominę, panie,
Bo przecież to rozumiem sam,
Że każde takie w seksternach pisanie
Już potém w domu na swą własność mam.

Mefistofel. Więc co wybiérasz?

(1) Enchejresin naturae: owładnięcie przyrody.

Uczeń. Wyznaję w pokorze,
Że do nauki prawa się nie włożę.
Mefistofel. Ja tego za złe ci nie mogę brać,
Bo wiem, co ona zdoła dać.
Wszak nasze prawa i ustawy
Niewiele nam przysporzą sławy;
To niby jakieś dziedziczne cierpienie,
Co z pokolenia idzie w pokolenie,
A w różnych stronach różném świéci licem.
Tu rozum wielkiém głupstwem wierzgnie,
Tam dobrodziejstwo w plagę się przedzierzgnie.
O biada ci, żeś przodków swych dziedzicem!
Bo prawa, które z nami się zrodziły,
Ustąpić muszą wszędzie wobec siły (1).
Uczeń. Więc poco się w tych brudach babrać?
Szczęśliwy kto porady waszéj słucha!
Lecz.... może się do teologji zabrać.
Mefistofel. Nie chciałbym wątlić w tobie ducha,
Lecz co się téj nauki tyczy,
To kto wyłącznie w niéj się ćwiczy,
Ten, obok leków, dużo znajdzie jadu.
Jednego trzymaj się wykładu,
Na profesora pisz się zdanie
I górnobrzmiące wporę rzucaj słowa,
A już széroko ci otworem stanie
Wziętości brama. Wszak to rada zdrowa.
Uczeń. Lecz obok słów, powinno być pojęcie.
Mefistofel. Zapewne; tylko nie męcz się zawzięcie!
Wszak właśnie tam, gdzie pojęć niéma,
Człek w samę porę słów się ima.
Pozorem łatwo manewrować,
Słowami system przygotować,
W retorykę uwierzyć najwygodniéj
I jednéj joty nie odłączyć od niéj.
Uczeń. Darujcie, może memi pytaniami
Zbyt wiele wam kłopotu czynię;
Lecz przecież rozumiécie sami,
Że chciałbym wiedzieć cóś o medycynie.
Trzy lata, to zbyt krótki czas

---

(1) Ustęp to jakby podsłuchany z rozpraw Izby pruskiéj nad ostatniemi ustawami anti-polskiemi.

Na balast, którym męczą nas;
Lecz gdyby człek wskazówkę jaką miał,
To jużby łatwiéj radę sobie dał.

Mefistofel (*na stronie.*)
Już tych morałów suchych dosyć mam,
A teraz folgę znów diabelstwu dam.
(*Głośno.*)
Tło medycyny nie jest różnolitem.
Przestudyujesz wiedzę wielką, małą,
By wkońcu takiém popłynąć korytem,
Jak Bogu się spodobało.
Daremnie myśl się na naukę sili,
Nad możność żaden się nie wzniesie duch;
Lecz kto korzystać umié z chwili,
To człowiek dzielny, to mi zuch!
Wszak zbudowany jesteś jak przystało,
Śmiałości téż zapewne masz niemało,
Więc niech się w tobie ufność zbudzi,
To znajdziesz ją z pewnością i u ludzi.
Szczególniéj jeśli leczyć chcesz kobiety,
Pamiętaj, że ich każde och! i ach!
Uśmierzyć może twój lekarski fach.
Udawaj skromność, a pewnikiem
Rozgłaszać będą twe zalety,
Potrosze także wmawiać w nie potrzeba,
Że sztuka twoja to zesłanka z nieba;
Nakoniec, bracie, bierz się z szykiem
Do rzeczy, które znajdziesz z brzega,
Choć inny o nie wiele lat zabiega.
Za pulsik pochwyć umiejętnie
I w ładny buziak spójrz namiętnie,
A potém się przekonaj zblizka,
Czy czasem gorset bioder nie uciska.

Uczeń. No, to mi rzecz, co każdy ją oceni!

Mefistofel. Teorja zawsze bywa szarą,
A złote drzewo życia się zieleni.

Uczeń. Przysięgam wam, to jakby senna mara!...
Czy pozwolicie wrócić mi tu, panie?
Bo cenię wielce wasze zdanie.

Mefistofel. Co będę mógł, to chętnie zrobię.

Uczeń. A teraz niech pamiętnik swój ozdobię
Nazwiskiem waszém.
(*Podaje mu księgę*).

Mefistofel. O, i owszem. (*Pisze*).
Uczeń (*czyta*). *Eritis sicut Deus, scientes bonum et malum.* (1)
(*Kłania się z uszanowaniem i wychodzi.*)
Mefistofel (*sam.*) Wierz tylko, wierz co kmotr mój wąż
Podstępnie ci podsuwać będzie wciąż,
A podobieństwo z Bogiem ci, kochanie,
Niebawem kością w gardle stanie!
(*Wchodzi Faust*).
Faust. Więc dokąd droga?
Mefistofel. Dokąd zechcesz sam.
Obejrzym mały, potém wielki świat
I ręczę ci, że będziesz rad,
Gdy kurs ten odbyć tobie dam.
Faust. Lecz czy przy mojéj długiéj brodzie
Nie zbraknie mi na szyku i swobodzie?
Do świata nigdy się nie nagnę,
Więc téż nie dopnę tego, czego pragnę.
Przy innych zawsze się maluczkim czuję
I zawszem jest nieśmiały.
Mefistofel. To przeminie!
Zaufaj tylko sobie w każdym czynie,
A reszta sama z siebie się wysnuje.
Faust. Lecz jakże ztąd się wydostaniem?
Gdzie służba twoja, powóz, konie?
Mefistofel. A to nam poco? Gdy ten płaszcz rozsłonię,
To wnet w powietrze z nami wionie,
Jednakże trzeba, mojém zdaniem,
Byś nie brał z sobą ciężkich pak.
Lekkimi bądźmy, to jak ptak
Nad ziemię wzniesiem się odrazu,
Wystarczy na to odrobinka gazu.
A teraz... życzę skrzydeł rozpowicia,
Nowego ci winszując życia.

PIWNICA AUERBACHA W LIPSKU.

Grono wesołych towarzyszów.

Frosch. Czyż żaden nie chce śmiać się, pić?
Ja was oduczę stroić minę łzawą!
Wy dziś jak słoma, co poczyna gnić,

---

(1) Będziecie jako Bóg, znając złe i dobre.

Choć kiedy sucha, pali się jaskrawo.

Brander. To wina twoja; czemu nas nie bawisz,
Ni głupstw, ni błazeństw nam nie prawisz?

Frosch (*wylewa mu szklankę wina na głowę.*)
Masz czegoś chciał!

Brander. Przeklęty ty kiernosiel

Frosch. Żądałeś tego, choć nie jestem w sztosie.

Siebel. Kto tu się kłóci, temu wolna droga.
Niech żyją śpiewy, pijatyka, krzyk!
Hu! ha! Hu! ha!

Altmayer. Na miłość Boga!
Bawełny dajcie! Głuszy mnie ten ryk!

Siebel. W tém właśnie jest potęga basu,
Gdy mury się zatrzęsą od hałasu.

Frosch. Masz słuszność. Kto się dąsa, za drzwi, fora!
Hu! ha! Śpiéwajmy, kiedy pora!
(*Śpiéwa.*)
Święte nasze rzymskie państwo
Wszak się jeszcze trzyma kupy... (1)

Brander. Paskudna pieśń! Wierutne oszukaństwo!
Toć w państwie rzymskiém same tylko trupy.
My, dzięki Bogu, mało dbamy o nie.
Nie chciałbym zasiąść na cesarskim tronie,
Ni być kanclerzem państwa... Ale przecie
I nam potrzebna głowa. A więc daléj!
Zwierzchnika obrać, to się ludziom chwali.
Lecz kogo, bracia, obierzecie?
Ha, jużci tego, co w pijaków rzędzie
Na czele wszystkich tu zasiędzie.

Frosch (*śpiéwa.*) Leć słowiku, leć ptaszyno!
Z lubą spotkaj się dziewczyną!

Siebel. Ten wiecznie tylko za dziewkami goni.

Frosch. Pozdrowić lubéj nikt mi nie zabroni.
(*Śpiéwa.*)
Otwórz, dziéwczę, czas ucieka,
Otwórz, twój kochanek czeka.

Siebel. O śpiéwaj, chwal ją, jak anioła w niebie,
Ja potém się naśmieję z ciebie.
Mnie oszukała, będzie tak i tobie.
Niech czart we własnéj ją osobie

---

(1) Aluzya do ówczesnych stosunków politycznych w Niemczech.

Gdzieś po rozstajnych drogach ma na pieczy,
Lub kozieł, gdy z Łysicy drze galopa,
Niech na dobranoc piosnkę jéj zabeczy;
Lecz poczciwego z krwi i ciała chłopa
Dla takiéj szkoda. Jąby zakuć w dyby,
A w oknach wszystkie powybijać szyby.

Brander (*uderzając w stół.*)
Uciszcie się! Od nieposłuchu wara!
Ponieważ siedzą tutaj zakochani,
Więc dla nich każdy niech się stara
Nieść jaki może haracz w dani.
Ja pieśń im zagrzmię, zamiast mówki,
A wy wtórujcie mi końcówki.
(*Śpiewa.*)
Żył sobie ongi w jamie szczur;
Od tłuszczu i od masła
Brzuszyna mu się spasła,
Z doktora Lutra biorąc wzór.
Kucharka trutkę mu zadała
I wnet go wściekłość opętała,
Jak gdyby się zakochał.

Chór. Jak gdyby się zakochał.

Brander. I jakby weń uderzył grom,
Ze wszystkich pił kałuży;
Choć w biédzie to nie płuży,
Podrapał, pogryzł cały dom.
I wkrótce mu opuchły boki,
Ze strachu jął wyprawiać skoki,
Jak gdyby się zakochał.

Chór. Jak gdyby się zakochał.

Brander. Napróżno się w cierpieniach wił,
Do kuchni wbiegłszy skrycie,
Uchodzi z niego życie.
Przy samym trzonie padł bez sił,
A trucicielka z niego szydzi,
Że piszczy tak i tak się biédzi,
Jak gdyby się zakochał.

Chór. Jak gdyby się zakochał.

Siebel. O jak tych gburów bawią takie hece!
Olbrzymie téż to z tego skutki,
Że szczurom ktoś zadaje trutki!

Brander. Snadź w wielkiéj chowasz je opiece.

Altmayer. Zapewne ten pasibrzuch łysy,
Choć ścieniał trochę w pozyturze,
Upatrzył własne swoje rysy
W opuchłym od trucizny szczurze.
(*Faust i Mefistofel wchodzą*).

Mefistofel. Nasamprzód chciałbym cię koniecznie
W wesołe towarzystwo wszyć,
Byś się przekonał, jak to łatwo żyć.
Dla ludzi takich święta trwają wiecznie.
Z dowcipem małym, ale z miną gęstą,
Obraca się z nich każdy w kółku ciasném,
Jak młode kocię, gdy, co bywa często,
Wiruje, goniąc za ogonem własnym.
Dopóki szynk kredytu nie odmawia,
Z zadowoleniem łyk się tu zabawia.

Brander. To widać jacyś podróżnicy,
Bo usiłują po próżnicy
Ukrywać obce obyczaje.
Nie bawią tu godziny, jak się zdaje.

Frosch. Masz racją. Ja-bo Lipsk nasz chwalę,
On Paryżowi nie ustąpi wcale.

Siebel. Jak myślisz, kim też są ci obcy?

Frosch. Mnie to zostawcie. Zobaczycie, chłopcy,
Że łatwo ich wymacam przy szklenicy
I muszki nawet powykręcam z nosa;
Choć, niby wielcy dostojnicy,
Nadęte jakoś mają twarze,
A na nas patrzą dumnie i zukosa.

Brander. O zakład idźmy! To kuglarze!

Altmayer. Być może.

Frosch. Czekaj, ja ich naśrubuję!

Mefistofel (*do Fausta.*)
Czeladka taka diabła nie przeczuje,
Chociażby stanął już u proga.

Faust. Pozdrawiam was, sławetni ichmościowie!

Siebel. Dziękuję, panie. Wzajem wasze zdrowie!
(*Na stronie, przypatrując się Mefistofelowi.*)
Ten frant kuleje, toż to kuternoga.

Mefistofel. Czy przysiąść się do panów wolno?
Bo choć to wino lurka nieszczególna,
Jednakże miła pogadanka wspólna
Ten brak nagrodzić będzie zdolną.

Altmayer. Wybredny masz jegomość smak.
Frosch. A, bo to pewnie było tak:
Musieliście wieczerzać z Hansem Dudkiem.
Mefistofel. Nie, minąć go wypadło nam ze smutkiem;
Lecz gdyśmy go widzieli raz ostatni,
To kumom swym przesyłał uścisk bratni
I kazał im oświadczyć swe ukłony.
(*Kłania się Froschowi.*)
Altmayer (*na stronie.*)
A to się odciął!
Siebel. Ptaszek to noszony!
Frosch. Czekajcie, puszczę ja go w tany!
Mefistofel. Przed chwilą, jeśli się nie mylę,
Słyszeliśmy tu chór dobrany.
Wistocie, pięknych głosów tyle
Rozbrzmiewać musi cudnie o te ściany.
Frosch. Wirtuozowskie widać w was zalety.
Mefistofel. O nie, chęć jest, lecz siły brak niestety!
Altmayer. Wygłoście pieśń!
Mefistofel. I owszem, ile chcecie.
Siebel. A dajcie cóś nowego przecie!
Mefistofel. Wracamy właśnie z Hiszpanji, z tej ziemi,
Co słynie winem i pieśniami swemi.
(*Śpiewa.*)
Był sobie król przed laty,
Co miał ogromną pchłę...
Frosch. Słuchajcie! Pchłę. A to mi miły gość!
Toż wszędzie i bez tego jest ich dość.
Mefistofel (*powtarza.*)
Był sobie król przed laty,
Co miał ogromną pchłę;
Pokochał ją zakaty,
Jak własne dziecię swe.
Więc kazał przyjść krawcowi
I krawiec zjawił się:
Weź miarę paniczowi
Na przyodziewki pstre.
Brander. Zapewne jeszcze zlecić mu wypadnie,
By miarę bardzo brał dokładnie
I żeby, jeśli głowa mu jest miłą,
W majteczkach żadnych fałd nie było.
Mefistofel. W aksamit w jasne prążki

Przybraną była wnet;
Na szatach kraśne wstążki
I krzyżyk jaśniał het.
Ministrem téż została,
Gwiazdami siała blask
I jéj rodzina cała
Do wielkich doszła łask.

Panowie więc i panie,
Z królewskich każda cór,
Na wściekłe ich kąsanie
Skazany cały dwór.
Bić ich nie było wolno,
Choć sączą krew i ssą.
My, zemstą samowolną,
Gnieciemy je gdy tną.

Chór. My, zemstą samowolną,
Gnieciemy je gdy tną.

Frosch. Ha brawo! brawo! To ja lubię!

Siebel. Niech tak się dzieje ku pchléj zgubie!

Brander. Więc łap je, bracie, palców koniuszczyną.

Altmayer. Niech żyje wolność i niech żyje wino!

Mefistofel. Na cześć wolności wypiłbym szklaneczkę,
Lecz dajcie wino lepsze choć troszeczkę.

Siebel. Bez przygan, panie, bo nas to obraża.

Mefistofel (*do Fausta.*)
Gdybym się nie bał gospodarza,
To wartoby na poczęstunek
Tym panom dać z piwnicy naszéj trunek.

Siebel. Prosimy! Ja na siebie to już biorę.

Frosch. Jeżeli dobry, chętnie go pochwalę,
Lecz niechże próbki wina będą spore,
Bo przyznam się niemiło to jest wcale
Być sędzią, a nie upić się potrosze.

Altmayer (*na stronie.*)
Z nad Renu widać to przybysze.

Mefistofel. Jeżeli można, o świderek proszę.

Brander. O świder? Panie, co ja słyszę!
Czyż macie beczki pod drzwiami?

Altmayer. Tam jest koszyczek z narzędziami.

Mefistofel (*biorąc świder, do Froscha.*)
Powiedzcież mi, jakiego nalać winka?

Frosch. Czyż jest różnego smaku i koloru?

Mefistofel. Gatunek wam zostawiam do wyboru.
Altmayer (*do Froscha.*)
Oho! braciszku, już ci idzie ślinka.
Frosch. A więc wybiéram reńskie czyste,
Najlepsze ono, bo ojczyste.
Mefistofel, (*wiercąc dziurę w stole, tam gdzie Frosch siedzi.*)
O woskbym prosił, trzeba korki lepić.
Altmayer. Aha, kuglarstwem chcesz nas waść oślepić!
Mefistofel (*do Brandera.*)
A wy?
Brander. Ja wolałbym szampana.
Lecz niechże kipi z niego piana!
Mefistofel (*wierci i zatyka dziurki ulepionemi z wosku koreczkami.*)
Brander. Niezawsze można ustrzedz się intruza,
Wszak dobre nieraz się daleko kryje.
Prawdziwy Niemiec nie cierpi Francuza,
Lecz zato wina jego chętnie pije.
Siebel (*gdy Mefistofel zbliża się do niego.*)
Wyznaję, że mi wszelki kwas na wstręcie,
Więc słodziutkiego dajcie na zaczęcie.
Mefistofel. W téj chwili tryśnie ztąd tokaju zdrój.
Altmayer. Ej! spójrz mi w oczy, panie mój!
Widocznie wasze nas na fundusz bierze.
Mefistofel. Przeciwnie, w dobréj działam wierze.
Któż śmiałby zażartować z was?
No, mówcież więc: na piérwsze danie
Czy chcecie słodycz, czy téż kwas?
Altmayer. Co łaska, tylko prędko, panie!
Mefistofel (*po wywierceniu i zatkaniu wszystkich dziur, z dziwacznemi gestami.*)
Winogrona nosi szczep,
Tak jak rogi koźli łeb.
Choć drzewiasta winna nać,
Jednak wino daje nam;
Czemuż w sposób taki sam
Stół drewniany nie mą dać?
Wierzcie, to natury cud,
A opłaci się wasz trud.
Za korki! i niech każdy z was używa!
Wszyscy, (*gdy, po odetkaniu korków, każdemu w podstawioną szklankę płynie żądane wino.*)
O, jak obfity zdrój wypływa!

Mefistofel. Nie rozlać tylko kropli na podłogę!

Wszyscy (*piją kilkakrotnie i śpiewają.*)

Błogo w takiéj nam ochocie,
Błogo, jakby wieprzom w błocie.

Mefistofel. Szczęśliwi! Patrz, jak im potrzeba mało!

Faust. Lecz wolałbym już wybrać się ztąd w drogę.

Mefistofel. Poczekaj, wkrótce z zaciekłością całą
Zwierzęcość tu wybuchnie obrzydliwa.

Siebel (*rozléwa przypadkiem trochę wina, które zapala się płomieniem*).
Ratujcie! pożar! płoną piekła!

Mefistofel (*zamawiając ogień.*)
Nie trudźcie się! Tym razem nieszkodliwa
Kropelka tylko z czyśćca tu wyciekła.

Siebel. Na kpiny mi to coś zakrawa.
Oho! niełatwa z nami sprawa!

Frosch. Niechaj-no jeszcze raz spróbuje!

Altmayer. Wyrzućmy go! Tak proponuję.

Siebel. Jak wasze śmiész wyprawiać takie żarty?

Mefistofel. Milcz, stara beczko!

Siebel. Niech cię porwą czarty!
Grubiaństwa jeszcze prawisz nam tu rad?

Brander. Poczekaj, kijów spadnie na cię grad,

Altmayer (*wyciąga jednę z zatyczek w stole; z otworu bucha ogień.*)
Na Boga, płonę!

Siebel. To potworne czary!
Pchnąć go! Infamis niech nie ujdzie kary!
(*Dobywają nożów i nacierają na Mefistofela.*)

Mefistofel. Zaklęć siła tworzy kłam,
Myśl i miejsce zmienia nam.
Bądźcie teraz tu i tam!
(*Towarzysze stoją zdziwieni, przypatrując się sobie.*)

Altmayer. Gdzie jestem? Jakiż cudny kraj!

Frosch. Winnice widzę. Toż to raj!

Siebel. I winogrona wiszą zboku.

Brander. Tam, pośród bujnéj téj zieleni,
Nielada grono ślicznie się rumieni.
(*Chwyta Siebla za nos; inni téż wzajemnie biorą się za nosy i podnoszą noże.*)

Mefistofel. Obłędzie, zniknij z przed ich wzroku!
Niech wiedzą jak się diabeł broni.
(*Znika z Faustem. Towarzysze puszczają się.*)

Siebel. Co widzę!

Altmayer. Co to?
Frosch. Więc to był twój nos?
Brander (*do Siebla.*) A twój dotychczas trzymam w dłoni.
Altmayer. Nielada nam wymierzył cios!
Dawajcie stołka, bo upadnę!
Frosch. To sprawy iście są szkaradne!
Siebel. Gdzie jest ten łajdak? Niech go zwietrzę.
A pewnie dłoń ta w proch go zetrze!
Altmayer. Widziałem sam jak przez piwniczne drzwi,
Na beczce jeżdżąc umknął mi......
Mnie nogi ciężą, niby wzięte w kleszcze.
(*Zbliża się do stołu.*)
Zobaczę, czy też wino płynie jeszcze.
Siebel. To oszukaństwo było, marna złuda.
Frosch. Że jednak piłem, rzecz niezaprzeczona.
Brander. Lecz zkąd się wzięły owe winne grona?
Altmayer. No proszę, jak tu nie uwierzyć w cuda!

KUCHNIA CZARNOKSIĘZKA.

Na nizkim trzonie kocieł ustawiony na ogniu. W wydobywającéj się z niego parze zjawiają się różne postaci. Kotka morska siedzi przy kotle i odszumowywa go, strzegąc żeby nie skipiał. Obok kot-samiec grzeje się z kociętami. Na ścianach i pułapie najdziwaczniejsze przyrządy czarnoksięzkie.

FAUST. MEFISTOFEL.

Faust. Obrzydły mi te bezeceństwa!
Nie możesz mnie uzdrowić—jeślim słaby—
W odmęcie głupstwa i szaleństwa.
Czyż leków szukać mam u starej baby?
I czyż w piekielnéj kuchni téj poswarku
Trzydzieści lat mi spadnie z karku?
O biada, jeśli innéj nie masz rady!
Nadziei wszelkiéj znikły we mnie ślady.
Azaliż duch szlachetny, lub przyroda
Innego już balsamu mi nie poda?
Mefistofel. Rozumnych myśli, bracie, snujesz przędzę.
Na odmłodzenie środków bywa wiele,
Lecz one w innéj zapisane księdze
I w innym znajdziesz je rozdziele.
Faust. Więc jakie?
Mefistofel. Mieć je możesz bez pieniędzy,
Bez czarnoksięztwa, nawet bez lekarzy.

Ot na wieś wynieś się czémprędzéj
I zacznij kopać, orać, siać;
Niech nic wzniosłego ci się nie zamarzy,
Myśl zamknij w kręgu szczupłych granic,
Spożywaj, na co samotnika stać,
Marności świata nie poczytuj za nic,
Z bydlęty żyj podobny sam bydlęciu,
Nie sromaj się własnego gnoić pola—
To chociaż skromna będzie twoja dola,
Odmłodzisz się do lat osiemdziesięciu.

Faust. Nie zdołam takiéj zadać sobie męki,
Bym miał łopatę brać do ręki;
Mnie życie ciasne wcale nie zachwyca.

Mefistofel. Więc ci potrzebna czarownica.

Faust. Dlaczego żądasz niebezpiecznéj stawki?
Czyż nie mógłbyś mi trunku sam zgotować?

Mefistofel. A tobym się do pięknéj wziął zabawki!
Wolałbym tysiąc mostów wybudować.
Nauki, sztuki niedość. W każdém dziele
Potrzeba jeszcze cierpliwości wiele.
Spokojny duch pracuje całe lata,
Aż czas dopiéro ferment w nim zaczyni.
Zaiste, dziwne to są problemata!
Czart je obmyśla tylko, mój doktorze,
Lecz sam rozwiązać ich nie może.

(*Spostrzegając zwierzęta*).

Patrz, jak miluchne to stworzonka!
To widać stróż i jego żonka.

(*Do zwierząt*).

Zapewne niéma w domu gospodyni.

Zwierzęta. Frunęła nynie
Dziurą w kominie,
Bawi w gościnie.

Mefistofel. I długoż tak pohula w czarów dobie?

Zwierzęta. Dopóki łapek nie nagrzejem sobie.

Mefistofel (*do Fausta*).
No, jakże ci się te koteczki zdają?

Faust. Niesmaczną i potworną zgrają.

Mefistofel. A dla mnie, choć to tylko koczkodany,
Dyskursik z niemi bardzo pożądany.

(*Do zwierząt*).

Powiédzcie mi, przeklęte wy laleczki!
Co tak mieszacie war téj brzeczki?
Zwierzęta. Dla biédnych z niéj warzymy zupę.
Mefistofel. To miéć będziecie gości kupę.

Kot (*łasząc się Mefistofelowi*).

Panie, rzuć kości,
Wygrać mi daj!
Gdy się zbogacę,
To będzie raj!
Dzisiaj jam głupi,
Lecz niech-no wygram,
Wnet jak rozumny
Sobie poigram.

Mefistofel. O, gdyby kot ten w loteryjkę grał,
Dopiérożby się za szczęśliwca miał!
(*Młode kocięta, bawiąc się dużą kulą glinianą, wytaczają ją naprzód*).

Kot.

Oto jest świat!
On wciąż się toczy,
Kruchy jak szkło;
Z drogi nie zboczy.
Wewnątrz jest pusty,
Z wiérzchu się świeci;
A więc ostrożnie,
Bo się rozleci
I czerep gliny
Skaléczy dzieci.

Mefistofel. Co to za sito?
Kot (*zdejmując sito*). Jeżeliś jest złodziéj,
Wnet cię w niém ujrzę.... wierz mi pan dobrodziéj.
(*Biegnie z sitem do kotki i każe jéj patrzyć przez nie*).
Spojrzyj przez plecionkę sita,
Lecz co zoczysz.... sza! i kwita.
Mefistofel (*zbliżając się do ognia*).
A ta skorupa?
Kot i Kotka. Jakaż ciasna głowa!
On nie zna ani garnka, ani kotła.
Mefistofel. Grubiańskie zwierzę!
Kot (*podaje mu wiewadło*). Ot, magiczna miotła,
Więc siądź i czekaj: będzie scena nowa.
(*Zaprasza Mefistofela, żeby usiadł*).

Faust (*który przez ten czas stał przed zwierciadłem, to zbliżając się, to oddalając od niego*).
Co widzę? Jakaż to niebiańska postać
W tém czarodziejskiém się zwierciedle kryje!
O, gdybym wartkiém skrzydłem mógł się dostać
W uroczą sferę, kędy ona żyje!
Ach! póki w miejscu stoję tu jak wryty,
To widzę ją; lecz gdy się zbliżyć ważę,
Wnet się rozpływa we mgle, jak miraże.

Ten najcudniejszy z cudnych wzór kobiéty
Wciąż mnie przynęca powabami swemi.
Czy w tém lubieżnie wyciągniętém ciele
Rozkoszy rajskich dotknąć się ośmielę?
I czy odnajdę ją na ziemi?

Mefistofel. Rzecz prosta. Jeśli Bóg pracował krwawo
Dni sześć, a potém dał sam sobie brawo,
To musiał stworzyć cóś mądrego przecie.
Tymczasem jéj się napatrz tu dowoli;
Ja taki skarb wynajdę ci na świecie,
A szczęśliw ten, kto sobie ją zniewoli.

(*Faust patrzy ciągle w zwierciadło. Mefistofel, wyciągnięty na krześle, bawi się wiewadłem i mówi daléj*).

Toż siedzę tu jak król na tronie
I trzymam berło, tylkom nie w koronie.

Zwierzęta (*przynoszą mu koronę, z przeraźliwym krzykiem*).
O panie, racz
Potem i krwią
Koronę zlutować.

(*Śród niezgrabnych skoków przetrącają ją na dwie połowy*).

Daremny płacz
Nad stratą tą!
Wolim porymować.

Faust (*przy zwierciedle*).
O biada mi! Naprawdę oszaleję!

Mefistofel (*patrząc na zwierzęta*).
I mnie potrosze rozum już się chwieje.

Zwierzęta. A gdy się uda
Rymów ułuda,
Myśl stworzy cuda!

Faust (*jak wyżéj*). Już w piersi mojéj płonie żar!
Uchodźmy ztąd! bo w obłęd się roznieci.

Mefistofel. No, kotom przyznać trzeba wieszczy dar,
To piérwszorzędni są poeci! (1).

(*Kociel, o którym kotka zapomniała, zaczyna kipić. Powstaje wielki płomień, buchający kominem. Czarownica spuszcza się przez ogień z krzykiem*).

Czarownica. Oj! oj! oj! podły koczkodanie, stój!
To taki w kuchni nadzór twój?

---

(1) Dla zrozumienia téj sceny fantastycznéj pamiętać trzeba, że Göthe pisał tę część poematu swego w epoce wielkiéj rewolucyi francuskiéj, kiedy pękały korony, a jednocześnie w Niemczech rozkwitała poezya

Miast dopilnować kotła na kominie,
Wy sparzyć chcecie gospodynię?
(*Spostrzega Fausta i Mefistofela*).

A wy tu co?
Kto tutaj wlazł
W godzinę złą.
Bodaj go piorun trzasł!
No, gdyście tak ciekawi,
To niech was ogień strawi!

(*Czerpie warząchwią z kotła i bryzga płomieniami na Fausta, Mefistofela i zwierzęta. Koty piszczą*).

Mefistofel (*odwraca wiewadło i drugim jego końcem rozbija garnki i szklanki*).
Ot tak! ot tak!
Czar poszedł wspak!
Szkła twoje brzękły,
W kawały pękły.
Masz, wiédźmo, pakt!
Do swéj melodji takt!
(*Podczas gdy czarownica cofa się z przerażeniem*).
Czy mnie poznajesz, jędzo opętana?
Poznajesz mistrza swego, pana?
Toć mogę zmiażdżyć, rozbić na okruchy
I ciebie i te kocie twoje duchy!
Czyż czerwonego nie znasz już kaftana?
Kogucie pióro nic ci już nie waży?
Wszak nie ukryłem swojéj twarzy.
Ha, może chcesz, bym wprzód się zameldował.

Czarownica. Darujcie, mistrzu, moje przywitanie!
Lecz gdzie kopyto końskie, zacny panie,
Gdzie kruki i gdzie ogon wasz się schował?

Mefistofel. Na ten raz jeszcze puszczam ci to płazem,
Boć wiem, że dawno nie byliśmy razem.
Kultura, skoro cały świat ją liźnie,
Po diable także się prześliźnie.
Gdzież dzisiaj ogon, rogi lub pazury?
Nie znajdziesz ich, bądź tego pewna zgóry.
Kopyto zaś, choć go nie rzucam przecie,
Zaszkodzićby mi mogło w świecie
I byłoby to jakoś brzydko,
Więc chodzę teraz z przyprawioną łydką.

Czarownica (*tańcząc*).
Radości mnie ogarnia dziki szał,
Że panicz-czart znów poznać mi się dał!

Mefistofel. Od nazwy téj nazawsze tobie wara!
Czarownica. Dlaczego? Cóż wam czarty zawiniły?
Mefistofel. Już to oddawna bajka tylko stara,
Choć ludziom przez to nie przybyło czci:
Stracili Złego, pozostali źli.
Zwij mnie baronem, to tytulik miły!
Wszak jestem szlachcic, niech ci to wystarcza,
A ot, herbowa moja tarcza!
(*Robi gest nieprzyzwoity*). pokazuje dupę

Czarownica (*śmiejąc się*).
Ha! ha! ha! Żarcik to nielada!
Mój panicz zawsze na ten temat wpada.

Mefistofel (*do Fausta*).
Pamiętaj, bracie, że z czarownicami
Tak tylko się rozmawiać zwykło.
Czarownica. Więc czémże służyć mam? Rozkażcie sami!
Mefistofel. Szklaneczką znanéj mi nalewki twojéj,
Lecz niech nie będzie młodą, ani nikłą,
Bo wiek jéj siłę i skuteczność dwoi.
Czarownica. Mam właśnie jednę butelczynę,
Co sama łyknę z niéj czasami.
Nie cuchnie siarką ani odrobinę;
Najchętniéj nią podzielę się z panami.
(*Cicho*).
Lecz jeśli druh wasz nie jest bity, kuty,
To za godzinę legnie tu otruty.
Mefistofel. To jeden z naszych, będzie mu na zdrowie,
Gdy się o mocy twych kordjałów dowie.
No, zakreśl koło, rozsnuj zaklęć tkankę,
A potém daj mu pełną filiżankę.

(*Czarownica zakreśla koło i wnosi w nie różne dziwaczne przedmioty. Szklanki zaczynają brzęczyć, kotły dudnieć. Nakoniec bierze wielką księgę, ustawiając w kole koty morskie, które służą jéj za pulpit i trzymają pochodnie. Daje znak Faustowi, żeby się zbliżył*).

Faust (*do Mefistofela*).
Objaśnij mnie, co z tego będzie?
Szalone gesta, brednie, kłam,
Najnikczemniejszy podstęp wszędzie!
Toć na tém się oddawna znam.
Mefistofel. Do śmiéchu raczéj przedmiot to gotowy;
Nie bądź tak bardzo znów surowy!

Potrzebne są te ceregiele,
Inaczéj trunek nie podziała wiele.
(*Wciąga Fausta do koła*).

Czarownica (*z wielką emfazą zaczyna deklamować z księgi*).

Pamiętaj to:
Z jednego zrób sto,
Pomiń dwójkę,
Chwyć za trójkę,
Będziesz bogaty.
Czwórkę zgub,
Z piątki, szóstki zrób
Siódemkę, ósemkę,
Nie doznasz straty.
Dziewiątka część jedności,
Dziesiątka znak nicości....
Oto czarownic tabliczka mnożenia!

Faust. To gorączkowe jakieś majaczenia!

Mefistofel. O, pasmo ich nie na tém się urwało;
Pociłem się nad księgą tą niemało,
Bo i na mądrych i na głupich — brednie
Wrażenie zwykle czynią niepowszednie.
Mój bracie, sztuczki stare są lub nowe.
Po wszystkie czasy potrafili ludzie
Przez zestawienia zagadkowe
Nie prawdzie służyć, lecz obłudzie.
Półmędrek ci naukę swą wykrztusi,
A że narwany, tego nikt nie zbada;
Ludziska wierzą, że gdy kto zagada,
To przecie tam i jakaś myśl być musi.

Czarownica (*czyta daléj*).

Naszéj nauki
Potężna siła
Przed światem całym
Tu się ukryła.
Kto myśléć nie będzie,
Ten wnet ją posiędzie.

Faust. Ta baba głupstwem chce nas brać na lep;
Doprawdy, mało mi nie pęka łeb
I zda mi się, że stutysięczny chór
Błazeństwom tym podaje wtór.

Mefistofel. Sibyllo ty natchniona, dosyć już!
Napojem swoim spragnionemu służ,
A czarę mu napełnij po sam brzeg!
Druhowi memu nic to nie zaszkodzi,

Bo on z uczonych stopni się wywodzi
I łykać nigdy bardzo się nie strzegł.

Czarownica (*po wielu ceremoniach podaje napój. Gdy Faust do ust go podnosi, wybucha z niego skrzący płomyk. Cofa się przerażony*).

Odważnie pij, choć sypie skry!
Zobaczysz jak się wszystko w tobie zmieni.
Wszak z diabłem jesteś ty a ty,
A miałbyś lękać się płomieni?

(*Czarownica zaciera koło. Faust, po wypiciu, występuje z niego*).

Mefistofel (*do Fausta*).

No, żwawo! Bo potrzebny ci jest ruch.

Czarownica. Po trunku nowy was owładnie duch.

Mefistofel (*do czarownicy*).

A tobie chętnie się odsłużę;
Przypomnij mi to, choć na Łyséj górze.

Czarownica (*podając Faustowi skrypt*).

Ot piosnka; gdy ją zaśpiéwacie w smutku,
Nie zawiedziecie się na skutku.

Mefistofel (*do Fausta*).

Więc za mną! Na zwieńczenie téj ochoty
Koniecznie ci potrzebne teraz poty,
Aż jad napoju trochę się rozluźni.
Spoczynek cenić cię nauczę późniéj,
A wtedy poznasz wkrótce śród rozkoszy,
Jak Kupido się w tobie rozpanoszy.

Faust. Raz jeszcze pozwól spojrzéć mi w zwierciadło!
Zbyt cudne było to widziadło!

Mefistofel. No wszak ten arcywzór niewieści
Dziś może jeszcze cię popieści.

(*Cicho*).

Gdy taki napój żyły twe przenika,
Heleną każda będzie ci podwika.

ULICA.

FAUST. — MAŁGOSIA przechodzi.

Faust. Czy wolno pięknéj towarzyszyć damie
I ofiarować jéj rycerskie ramię?

Małgosia. Nie jestem piękna, ani dama,
A do mieszkania zajdę sama.

(*Odchodzi*).

Faust. Zaprawdę, śliczna to dziewczyna!
Jak żyję nie widziałem takiéj.
W obejściu powab, wdzięk wszelaki,
A przytém jak przekorna mina!
Ten karmin ust, ten blask jagody!
O, nie zapomnę nigdy jéj urody!
Gdy skromnie spuszcza wdół oczęta,
Niewysłowiona w niéj ponęta,
A gdy mnie dumnie zbyła krótko,
Ach, jakże była cudną i milutką!
(*Mefistofel wchodzi.*)

Faust. Rób co chcesz, lecz ją posiąść muszę!

Mefistofel. Lecz którą?

Faust. Tę, co przeszła tu dopiéro.

Mefistofel. Ta właśnie z Bogiem pojednała duszę,
A rozgrzészenia słowa czci jéj strzegą.
Toż ją widziałem przy konfesjonale,
Jak odbywała spowiedź szczérą,
Choć dalipan nie miała z czego.
Nad taką nie mam władzy wcale.

Faust. Ma przecie więcéj, niż cztérnaście lat.

Mefistofel. Rozprawiasz jak rozpustnik stary,
Co uszczknąć chce dziewiczy kwiat
I zda mu się, że w każdym czasie
Cześć każdą sponiewiérać da się,
A jednak w tém potrzeba prawnéj miary.

Faust. Obrona ta prawności wyśmienita
W twych ustach. Ja ci tyle tylko na to
Odpowiem krótko, węzłowato:
Dziś jeszcze ciałko ślicznéj owéj trusi
W objęciach moich spocząć musi,
A nie, to jutro z umów naszych kwita.

Mefistofel. To niemożliwe w tak krótkim terminie;
Wszak ze cztérnaście dni upłynie,
Nim odpowiednią znajdę chwilę.

Faust. Mnie czasu nie potrzeba tyle;
Dokażę swego i bez czarta,
Uwiodę ją: gra duszy warta.

Mefistofel. Wyrażasz się jak Francuz jaki;
Lecz nie bądź znów kąpany tak gorąco.
Cóż że nasycisz szybko żądzę wrzącą?
Przyjemność wtedy będzie krótką.

Toć lepiéj, gdy się w sposób wieloraki
Laleczkę taką prześliczniutką
Urobi naprzód i wypieści,
Jak włoskie uczą nas powieści. (1)

Faust. Ja i bez tego chętkę mam nielada.

Mefistofel. Bez żartów, bracie! Tak-bo nie wypada.
Przebojem nie zdobędziesz téj istoty,
Nie zwalczysz siłą jéj dziewiczéj cnoty.
Tu szturm otwarty na nic się nie przyda,
Najlepszy owoc podstęp wyda.

Faust. Zaprowadź mnie przynajmniéj tam, gdzie ona
Spoczywa, snem anielskim rozmarzona;
Lub daj mi chustkę z piersi téj pieszczoszki,
Podwiązkę, co przyciska jéj pończoszki.

Mefistofel. Byś widział w swém zacietrzewieniu,
Że pełnomocnik zemnie tęgi,
Wprowadzę ciebie w okamgnieniu
Do jéj izdebki bez mitręgi.

Faust. I ujrzę ją? posiędę?

Mefistofel. Cierpliwości!
Zapewne teraz u sąsiadki gości.
Tymczasem, nim się twe życzenie spełni,
Rozkoszuj się jéj atmosferą w pełni.

Faust. Więc idźmy!

Mefistofel. Jeszcze jest zarano.

Faust. Wystaraj mi się o podarek dla niéj.

Mefistofel. Już prezent? Brawo! Tego nikt nie zgani,
Zdobędziesz ją. A teraz... znam podanie,
Gdzie jakie skarby zakopano:
Po woli twojéj wnet się stanie.

(*Odchodzą.*)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

(1) Zapewne Göthe miał tu na myśli „Dekameron" Bokacyusza.



KAROL FOURIER
I FURYERYZM.

III.

Wiktor Considérant, jego życiorys, dzieła i tłómaczenie zasad furyeryzmu. — Bezpośrednie rządy ludu i aspiracye narodowe.—Rozwój szkoły falansterskiéj i jéj pisarze.

Przed dwudziestoma dwoma, lub trzema laty — pisał Considérant w 1848 r. (1)—było trzech falansterczyków: jeden głuchy, jedna kobieta i jeden uczeń. „Szkoła socyalna Fourier'a, pod naczelnictwem pana Considérant — świadczy Żarczyński w 1850 r. — jest dziś najliczniejsza“ (2). Czy była ona najliczniejsza, można wątpić, a nawet z wielu względów mniemam, że w tym czasie najliczniejszemi byli zwolennicy Cabet'a, to wszakże jest rzeczą niezaprzeczoną, że w czwartym dziesiątku tego stulecia furyeryzm miał mnogich zwolenników i zawdzięczał to najwięcéj Considérantowi, który tak swoim charakterem jak talentem zjednał dla siebie wysoką cześć, a swoją wytrwałością i pracowitością przełamywał ogromne trudności.

Wiktor Considérant urodził się w Salins (Jura) w 1808 roku. W szkole politechnicznéj był jednym z pierwszych uczniów. Następnie służył w wojsku, jako inżynier. Militaryzm jednak nie miał ponęty dla niego; gorąca jego dusza rwała się ku zagadnieniom przyszłościowym, społecznym. Poznawszy doktrynę Fourier'a, porzucił służbę wojskową, mając już stopień kapitana inżynieryi, i z całym zapałem poświęcił się propagandzie nowéj nauki. Dzięki jego to zabiegom powstało pismo miesięczne i zorganizowano księgarnię falansterską, która oddała ogromne usługi sprawie rozszerzenia za-

(1 Le socialisme devant le vieux monde, str. 153 i 154.

(2) Wizerunki obłudnych nauk, str. 26.

sad furyeryzmu w szczególności i przekonań socyalistycznych wogóle. Z początku falansterczykowie mieli miesięczne tylko pismo; późniéj pismo to wychodziło dwa razy na miesiąc, następnie raz na tydzień, daléj trzy razy na tydzień, wreszcie od 1843 r. zaczął wychodzić organ codzienny *Démocratie pacifique*, który w prasie codziennéj zajął bardzo wydatne stanowisko i wiele się przyczynił do upowszechnienia zasad demokratyczno-socyalistycznych. Dziennik ten został zakazany po zamachu grudniowym. Oprócz niego wychodził jeszcze stale miesięcznik *la Phalange*. Considérant nie tylko piórem, ale także i słowem szerzył zasady furyeryzmu. Zwiedził w tym celu Francyą wszerz i wzdłuż, był w Belgii, Szwajcaryi i w Niemczech. Po rewolucyi lutowéj departament Loiret 34370 głosami powołał go do konstytuanty, a następnie departament Sekwany 111211 głosami wybrał go do zgromadzenia prawodawczego. Należał on do otwartych i śmiałych szermierzy socyalizmu. Oskarżony o udział w zamierzonym zamachu 13 czerwca 1849 r., uciekł do Belgii i był zaocznie skazany na dożywotnią deportacyą. Z Belgii wyjechał do Ameryki północnéj, gdzie w Texas zakupił grunta i organizował falanster *Réunion*. Jeden z uczestników organizowania téj osady, Kalikst Wolski (Do Ameryki i w Ameryce, Lwów, 1876 r.), szczegółowo opowiedział zapasy téj kolonii z przyrodą i warunkami ekonomicznemi, pod nieszczęśliwym wpływem których musiała ona upaść. Considérant wrócił do Brukselli w r. 1854. Przez długie lata nic o nim nie było słychać i dopiéro niedawno (1885 r. w marcu) ogłosił w *Revue du mouvement social* ciekawy artykuł o kwestyi społecznéj.

Z dzieł Considérant'a najważniejszém jest *Destinée Sociale* (2 tomy, Paris, 1836—1838), w którém wykłada jasno, prosto i logicznie doktrynę Fourier'a. Zasługuje téż na większą uwagę jego: *Le Socialisme devant le vieux monde* (Paris, 1848), w którym bardzo trafnie określa ogólne dążności socyalizmu i wskazuje stanowisko, jakie zajęła szkoła falansterska w stosunku do innych szkół socyalistycznych i komunistycznych. Wypada także wymienić ważną jego broszurę p. t. *La Solution ou le Gouvernement direct du peuple*, w któréj przemawia energicznie za bezpośredniemi rządami ludu.

Considérant—jak już powiedziałem — nadał doktrynie Fourier'a to wpływowe stanowisko, które ona zajmowała w czwartym dziesiątku naszego stulecia. Trzymał się on dość ściśle myśli swego mistrza, ale je wyjaśnił, sprostował nieraz, a co może najważniejsza, chociaż mimowiednie, wlał w nie ducha demokratycznego, równościowego. To nam także tłómaczy, dla czego doktryna falansterska

rozpowszechniła się więcéj od saint-simonistowskiéj i przetrwała ją w niezmienionéj formie o wiele dłużéj (1).

Falanster Fourier'a to—podług Considérant'a — wzorowo urządzona gmina (*Commune*). Ponieważ „gmina jest warsztatem społecznym, komórką pierwiastkową prowincyi, narodu, społeczeństwa“ (2), przeto „organizacya gminy jest kamieniem węgielnym budowy społecznéj“ (3). Trzeba więc reorganizacyą społeczną rozpoczynać nie z góry, lecz z dołu, od gminy. Pojmowanie to tak upowszechniło się pomiędzy zwolennikami Fourier'a, że jeden z nich,.Edward de Pompéry, powiada kategorycznie: „Ażeby zorganizować społeczeństwo, należy wynaleść normalną organizacyą gminy. W tém całe zadanie“ (4). Zorganizowanie dobre gminy jest punktem wyjścia reformy społecznéj. Zniweczy ono despotyzm i zapewni wszystkim wolność. Sprowadzi więc pokój powszechny i federacyą narodów; ustanowienie wszystkich praw pożytecznych; harmonią interesów, indywidualnego i kolektywnego; rozwój całkowity zdolności ludzkich; zlanie się wszystkich klas; wolność zupełną jednostki na łonie porządku powszechnego i *wskutek* tego porządku, przyciąganie przemysłowe i jedność działania (5).

Fourier negował kwestye polityczne i nie zwracał uwagi na rozbudzone dążenia narodowe do życia niepodległego. Reforma społeczno-ekonomiczna zasłaniała w jego oczach wszelkie inne kwestye. Considérant mniéj się zaślepiał jedną wielką myślą i z tego powodu wielostronniéj pojmował postęp społeczny. Razem z demokratami republikańskimi opierał on przyszłość polityczną na głosowaniu powszechném. Widział jednak wadliwą stronę tego głosowania, i idąc za przykładem Condorcet'a i St. Juste'a, przemyśliwał, w jaki sposób możnaby zapewnić mniejszościom wpływ odpowiedni ich liczbie przy wyborach i w parlamentach. Pomysły swoje w tym przedmiocie rozwijał w *Démocratie pacifique* i w *Phalange*, a nadto

---

(1) „Można powiedzieć — pisze Malon w 1879 r. — że ze wszystkich dawnych szkół socyalistycznych furyerystowska zachowała najwięcéj zwolenników. W każdém mieście europejskiém, poszukawszy dobrze, znajdziecie szczerych stronników porządku stowarzyszonego. Chociaż szkoła ta niewątpliwie jest w upadku we Francyi, nie zniknęła jednak zupełnie jak jéj spółczesne. Księgarnia falansterska zamieniła się w *księgarnię nauk społecznych*, któréj sam katalog zajmuje przeszło 30 stronnic.“ (Histoire du Socialisme par B. M. Lugano. 1879, str. 107 i 108).

(2) Destinée Sociale. Tome premier. 4-eme édition. Paris, 1851, str. 16.

(3) Ibidem, str. 17.

(4) Exposition de la Science Sociale constituée par C. Fourier. Deuxième edition, revue et augmentée. Paris, 1840, str. 39.

(5) Destinée Sociale, str. 23.

w dziełku: *De la sincérité du gouvernement représentatif, ou exposition de l'élection véridique* (Genève, octobre 1846), usiłował skłonić parlament genewski do postawienia kroku pierwszego na téj drodze. Pojmując powszechne głosowanie w dosłowném znaczeniu tego wyrazu, w komisyi konstytucyjnéj r. 1848 domagał się, aby kobiety pełnoletnie nie były pozbawione tego prawa. Widząc, jak w swarach wewnętrznych zużyła się rewolucya francuska i została przez reakcyą wyzyskana, pochwycił z zapałem myśl bezpośrednich rządów ludu. Tylko z urzeczywistnieniem się takich rządów — zdaniem jego — ustaną wszelkie rewolucye, t. j. zamachy o pochwycenie, lub wzmocnienie władzy, dokonywane przez rządy, dynastye, stronnictwa. Socyaliści wyrzekną się także wówczas chęci narzucania się dyktatoryalnie ludowi. Przez bezpośrednie rządy lud stanie się sam prawdziwym i zupełnym panem swych losów. Dotąd odczuwano demokracyą, mówi, ale jéj nie znano. Considérant widział jasno, jak ważném jest uregulowanie dobre spraw narodowych w Europie. „Włochy dla Włochów! — woła — Niemcy dla Niemców! Irlandya dla Irlandczyków!“ (1).

Considérant lubo uznawał szkołę falansterską za jedynie prawdziwą i racyonalną, to wszakże nie był ani wyłącznym, ani nietolerancyjnym. Wprawdzie ostro krytykował wszystkie inne szkoły socyalistyczne, najostrzéj komunistyczne, ale nie wahał się wskazywać także ich strony dodatnie. O Robercie Owenie odzywa się o wiele łagodniéj od swego mistrza. O saint-simonizmie powiada, że „wpływ jego na ruch umysłowy spółczesny był ogromny, i ci, co mniemają, że skonał on, nie rozrzuciwszy hojnie po świecie skarbu ze swego bogatego spadku, odznaczają się wielką ignorancyą“ (2). Przyznaje zasługę Buchez'owi i Ludwikowi Blanc'owi. Trafne czyni spostrzeżenie, że siła Proudhona leży w jego negacyach, i że śpieszy niejako obalić to, co w inném miejscu sam postawił. Przyznawał, że bądź-co-bądź wszystkie szkoły mają jednę przewodnią myśl, jeden ideał wspólny i wlewają się w jedno koryto coraz wspanialéj rozlewającego się socyalizmu. *Démocratie Pacifique* popierała kandydatury wszystkich socyalistów, nawet Cabet'a, chociaż od komunizmu Considérant odżegnywał się obiema rękami.

Furyeryzm nie uległ takiemu różniczkowaniu, jak saint-simonizm. Oprócz jednego Daurio (pseudonym), który w okolicach Tuluzy próbował rozszerzyć swoję odmianę furyeryzmu, w szkole falansterskiéj panowała—rzec można — jednomyślność. Wprawdzie — jak świadczy Considérant — byli falansterczykowie, co uważali za

(1) Le Socialisme etc. str. 196. — (2) Ibidem, str. 36.

słabą stronę Fourier'a, że stawał w obronie własności indywidualnéj, lecz i oni godzili się z organizacyą falansteru, bo przedstawiał doskonałą formę przejściową do porządku opartego na wspólności. Wreszcie, czyż sam falanster nie przedstawiał, pomimo zaprzeczania Considérant'a, pewnego rodzaju własności wspólnéj?! „Komuna (gmina) naszego społeczeństwa idealnego — powiada Considérant — organizuje wszystkie czynności. Wszystkie jéj ziemie, wszystkie jéj grunty, warsztaty i fabryki uważają się jakby *posiadłość jednego człowieka*" (1). Samo pojęcie własności osobistéj, jak Considérant je formułuje, właśnie popiera własność wspólną ziemi, warsztatów, fabryk. „Każdy człowiek — pisze on — posiada *prawnie* wszystko, co własną pracą, własną inteligencyą, mówiąc ogólniéj — własną czynnością wytwarza" (*Phalange*, maj 1839). Właśnie, uznawszy takie tylko prawo własności, niektóre gminy naszéj emigracyi z 1831 r. doszły do poglądów komunistycznych. Czyż ziemia, uprawiana przez cały szereg pokoleń, nie zawdzięcza znacznéj części swojéj wartości wytwórczéj tym pokoleniom? Dla czegoż więc nie ma z niéj korzystać całe społeczeństwo, lecz tylko pewna część jego? Byli też — jak powiada Considérant — pomiędzy zwolennikami Fourier'a tacy, którzy zgadzając się na istnienie kapitalistów w falansterze w okresie tylko jego początkowym, pragnęli, ażeby następnie falanster spłacił ich. Considérant nie pochwalał tego. Zdaniem jego, „odkąd kapitał nie pożera, nie wyzyskuje, odkąd nie jest przełożonym i panem, ale prostym stowarzyszonym" (2), przestaje on być szkodliwym i staje się użytecznym dla pracy. W istocie, w falansterze stosunek kapitału do pracy zmienia się ogromnie. Wprawdzie położenie kapitalisty jest uprzywilejowane: może on nie pracować, a pomimo to otrzymuje największy dochód (kapitał bierze $^4/_{12}$ z ogólnego dochodu, kapitaliści jednak w stosunku do ogólnéj ludności falansteru mogą stanowić tylko ósmą część), ale pomiędzy jego dochodem i zarobkiem robotnika nigdy nie może zachodzić taka rażąca różnica, jaką widzimy dzisiaj. Przytém robotnik mając zapewnione minimum utrzymania i dostając z góry mieszkanie, żywność i odzienie, nie zgodzi się nigdy na tę przeciążającą i zabijającą pracę, którą dzisiaj pod przymusem głodu wykonywać musi. To, co się mówi obecnie o potrzebie oszczędzania przez robotników, które w większéj części wypadków jest dzisiaj zgoła niemożliwe, może mieć wówczas istotne znaczenie. Robotnik pilny i niemarnotrawny ma możność w falansterze zostać po niejakim czasie akcyonaryuszem. A im więcéj robotników stawać się będzie akcyonaryuszami, tém coraz bardziéj

(1) Déstinée Sociale str. 22. — (2) Le Socialisme etc. str. 65.

zmniejszać się będą dochody niepracujących kapitalistów. Przy takich warunkach i prawo spadkobierstwa, bronione przez szkołę falansterską, traci w znacznéj części swój charakter krzywdzący.

Z wielkiéj liczby pisarzy, należących do szkoły falansterskiéj, wymienię głośniejsze nazwiska: Franciszka Cantagrel'a, który będąc oskarżonym o współudział w zamierzonym jakoby zamachu 13-go czerwca 1849 r., usunął się do Szwajcaryi, wydawał tam *L'Indépendant de Neufchâtel* i rozwijał daléj pomysły Considérant'a o zabezpieczeniu prawa mniejszości w przedstawicielstwie parlamentarném; C. Pellarin'a, biografa Fourier'a (*Fourier, sa Vie et sa théorie*); Amadeusza Paget'a († 1840), którego nazywano Katonem falansterskim; Hipolita Renaud (*Solidarité*); Edwarda Pompéry; Allyre'a Bureau, redaktora odpowiedzialnego *Démocratie Pacifique* w 1849 r.; Perreymond'a, który napisał dziełko w obronie rzeczypospolitéj krakowskiéj; A. Ottin'a; Krantza, dyrektora wystawy powszechnéj w 1878 r. (*Le Présent et l'Avenir*); K. Harel'a, wynalazcy pieców ekonomicznych; Bonnemère'a, znanego badacza dziejów włościaństwa; H. Dameth'a († 1885 r.) profesora ekonomii politycznéj w Genewie, — ten ostatni jednak traktował w późniejszych czasach furyeryzm jako szlachetną iluzyą młodości; Alfonsa Toussenel'a (ur. 1803, † 1885 r.), który znany jest w literaturze francuskiéj jako autor *L'Esprit des bêtes* i *Le Monde des oiseaux*; Wiktora Meunier'a; Tamisier'a, reprezentanta ludu w 1848 r. (*Théorie des fonctions*); panią Gatti de Gamond, która wspólnie z Czyńskim pracowała na niwie literackiéj i napisała jasny i treściwy wykład systemu Fourier'a (*Fourier et son système. Paris, 1838*); Klarysę Vigoureux i t. d. Pomiędzy francuskimi pisarzami szkoły falansterskiéj napotykamy dwa polskie nazwiska: Jana Czyńskiego (*Avenir des ouvriers, Paris, 1839; Colonisation d'Alger d'après la théorie de Ch. Fourier, Paris 1839; Notice biographique sur Ch. Fourier, Paris, 1840; Avenir des femmes, Paris, 1841; De l'organisation du travail, 1848*) i Stanisława Bratkowskiego. W katalogu Księgarni Stowarzyszonéj (*Librairie Sociétaire*) znajdujemy także *Sprawozdanie o kredycie rolnym*, napisane przez Cieszkowskiego i J. Duval'a. Sprzyjali także furyeryzmowi głośni socyaliści: Konstanty Pequeur (1), Franciszek Vidal, Villegardelle (2) i Alfons Esquiros. Najwięcéj jednak przyczynił się do rozpowszechnienia i spopularyzowania zasad furyerystycznych słynny romansopisarz, Eugeniusz Sue (ur. w 1804, † w 1857), który pisał także broszury socyali-

---

(1) Patrz jego artykuł w *Revue du Progrès Social* — publiée sous la direction de MM. Jules Lechevalier et E. Maillac. Tome II. Paris 1834.

(2) Accord des Intérêts dans l'association et besoins des communes. Paris 1848.

styczne pod pseudonymem: Le Berger de Kravan. W słynnym romansie: *Żyd Tułacz* znajdujemy sympatyczną postać furyerzysty, fabrykanta Hardy'ego, *Marcin Podrzutek* i *Siedm grzechów głównych* nacechowane są widoczną tendencyą furyerystyczną. I rzecz godna uwagi, że powieści te roznosił po świecie ten sam *Constitutionel*, który we wstępnych artykułach piórem Thiers'a gromił i potępiał socyalizm. Nie robił tego mimowiednie, ponieważ zwracano na to jego uwagę, ale interes kupiecki okazał się silniejszym od zelotyzmu stronniczego.

Po długiéj przerwie, spowodowanéj ciężkiemi warunkami cenzuralnemi, w r. 1867 pojawił się na nowo organ szkoły falansterskiéj pod nazwą *La science sociale* i trwał do r. 1869. Obecnie Karol Limousin wydaje *Revue du mouvement social.*

IV.

Stowarzyszone gospodarstwo domowe.—Godin-Lemaire i jego krótki życiorys.—Budowanie familisteru. *Solutions Sociales.*—Organizacya spożycia. Familister: mieszkania, szkoła, zarząd familisteru.—Podział robotników w fabryce na kategorye.—Instytucye oparte na wzajemności.—Propaganda Godin'a.—Projekt podatku na spadkobierstwo.—Praktyczna czynność falansterczyków.—Udział robotników w zyskach we Francyi.

Ważną zasługą szkoły falansterskiéj jest to, że zwróciła ona wielką uwagę na korzyści stowarzyszonego gospodarstwa domowego. Już w r. 1829 panna Vitrolles nosiła się z projektem Domów Wspólnych (*Maisons communes*). Karol Harel wydał ważne w tym przedmiocie dziełko p. t. „Ménage Sociétaire ou Moyen d'augmenter son bien-être en diminuant sa dépense.“ Lecz najświetniéj rozwiązał problemat gospodarstwa domowego, tak pod względem teoretycznym, jak praktycznym, znakomity i powszechnie poważany założyciel familisteru w Guise (Aisne), Godin-Lemaire. Godin, syn rzemieślnika i sam robotnik w młodości, urodził się w r. 1817 na wsi w pobliżu Guise. Ukończywszy szkółkę elementarną, został ślusarzem, a mając lat 15, poszedł na wędrówkę jako czeladnik *compagnon de tour* do Paryża i zwiedził następnie całą Francyą. W czasie pobytu w Paryżu czytał z wielką ciekawością i pożądliwością pisma i rozprawy socyalistyczne. Najwięcej mu się podobała nauka falansterczyków. Wówczas już dał sobie słowo, że jeżeli uda mu się dorobić majątku, to postara się o to, by urządzić byt robotniczy w taki sposób, ażeby robotnik nie czuł się nieustannie przygniecionym pracą i niedostatkiem. Wróciwszy do domu rodzicielskiego, ożenił się i wziął w posagu małe gospodarstwo rolne i 4000 franków. Z małym tym kapi-

talikiem założył fabrykę pieców i piecyków, przyczém zaczął pierwszy używać żelaza lanego zamiast blachy. Przedsięwzięcie to miało powodzenie, i po 30 latach Godin założył wielką fabrykę w Guise, gdzie obecnie zatrudnia około 1300 robotników. Nie sprzeniewierzył się on socyalizmowi w zawodzie kapitalisty. Szczerość jego w tym względzie maluje się pomiędzy innemi faktami w tém, że na wezwanie Considérant'a w r. 1853 o złożenie sumy pieniężnéj, potrzebnéj dla założenia falansteru w Texas, podpisał 100000 franków, tj. trzecią część ówczesnego swego majątku.

W r. 1859 Godin zaczął budować pałac robotniczy, który nazwał familisterem. Zanim przystąpił do téj budowy, zwiedził kolonie robotnicze w rozmaitych miejscowościach (w Belgii, w Denain, Anzin, w Mulhuzie, Kolmarze itd.), naradzał się z wielu budowniczymi i ostatecznie przyszedł do tego przekonania, że budowa zbliżona do falansteru furyerystycznego istotnie przedstawia najwięcéj warunków wygody i najwięcéj sprzyja życiu towarzyskiemu. Budowano pałac przez lat kilkanaście, podług troskliwie obmyślanego planu. Koszta budowy wyniosły przeszło milion franków. Lewe skrzydło pałacu było już gotowe w 1860 r. a w 1861 r. pewna część robotników wprowadziła się do niego na mieszkanie. W 1871 r. Godin ogłosił drukiem dzieło p. t. *Solutions sociales*, w którém dokładnie opisuje instytucyą familisteru i wykłada swoje poglądy społeczne. Zdaniem autora, nie tylko wytwarzanie i podział potrzebują dobréj organizacyi, ale wymaga jéj także spożycie. Jest to błędem mniemać, jakoby spożycie było sprawą indywidualną. Postęp produkcyi zależy od dobréj organizacyi warsztatu. Dobre zorganizowanie życia robotnika zapewni mu dobrobyt. Z jednéj strony, możliwa oszczędność, jako skutek dobréj organizacyi, uczyni życie tańszém; z drugiéj—ta sama organizacya da robotnikowi to, co bogactwo tylko dać może. „Stan społeczeństwa maluje się w sposobie jego mieszkania. Szałas odpowiadał potrzebom życia dzikiego; namiot—życiu pasterskiemu; dom pojedynczy—małéj industryi, życiu malo-rolniczemu i rzemieślniczemu. Architektura unitarna odpowiada organizacyi wielkiego przemysłu i wielkiéj kultury rolniczéj. Zadanie nowoczesnego budownictwa polega na tém, ażeby robotnikowi dać możność używania wygód człowieka bogatego. Umieścić rodzinę w mieszkaniu zdrowém i wygodném; otoczyć je wszystkiemi wygodami, w które bywa zaopatrzone mieszkanie bogatego; uczynić je miejscem wypoczynku i zabawy, przez instytucye, oparte na wspólności, zastąpić to, co bogatemu ułatwia służba liczna. Oto, zadanie. Ponieważ niepodobna marzyć o tém, ażeby uposażyć każdego robotnika w pałac podobny do tych pałaców, w których ludzie bogaci kosztem wielkim zapew-

niają sobie rozmaite wygody, przeto, chcąc urzeczywistniać coraz słuszniejszy podział dobrobytu, należy budować takie *pałace*, w którychby mieszkająca rodzina znajdowała wszystkie te wygody, połączone jednak ku użytkowi wszystkich.“

Właśnie jednym z takich pałaców ma być pałac robotniczy w Guize, obejmujący prywatne mieszkania, sale publiczne, szkoły, teatr, łazienki i pralnię. Cena mieszkania prywatnego oznaczona jest w stosunku do metra kwadratowego przestrzeni i do wysokości piętra: najtańsze na trzeciem, najdroższe na pierwszém piętrze. Rodzina może mieć wygodne mieszkanie za 8, 10 i 12 franków opłaty miesięcznéj. Woda i gaz znajdują się wszędzie. Szerokie podwórza pokryte są dachem. Przy budowaniu pałacu uwzględniono wszystkie wymagania hygieniczne i wszystkie warunki wygodnego życia, słowem, budowano pałac tak, jak się buduje dla własnego użytku, nie zaś dla spekulacyi. Dochód z mieszkań, po potrąceniu wszystkich wydatków, wynosi 3% od wyłożonego kapitału. Pałac położony jest w pięknym ogrodzie. Oprócz mieszkań prywatnych, znajdują się w nim sale dziecinne, szkoły, łazienki, piekarnia, sklepy żywności, restauracya, magazyny z odzieżą. Cena wszędzie jest unormowana jak najkorzystniéj dla spożywców. Pomimo to, po opłaceniu 15000 fr. na wydatki ogólne (opał, światło itd.), 26000 fr. na pensye dla osób zatrudnionych, przeważnie kobiet, i 1000 fr. na naprawę i odnawianie pałacu, pozostaje jeszcze zysku czystego 35000 fr. tj. 6%, które przeznaczają się na korzyść ogółu mieszkańców, z uwzględnieniem tych, co potrzebują pomocy i opieki. Robotnik znajduje w pałacu nie tylko wszelkiego rodzaju wygody, lecz także zabawę. Ma czytelnię, bibliotekę, kasyno. Urządzają się przytém teatry i koncerty.

Na szczególną uwagę zasługuje organizacya wychowania i życia dzieci. W tym przedmiocie szkoła falansterska ważne położyła zasługi. Dzięki jéj to, rozpowszechniły się żłobki (*les crèches*) po Europie. Pisali o nich: Juliusz Delbruck, Dr. Barrier, Dr. Imbert i inni. W familisterze Godin‘a dwa osobne gmachy przeznaczone są dla dzieci; obejmują one następujące działy: 1) *la nourricerie*, gdzie mieszczą się małe dzieci od dnia urodzenia do 26, lub 28 miesięcy; 2) *le pouponnat*—dla dzieci, które już chodzą i zachowują się czysto, w ogóle aż do 4 lat; 3) *le bambinat*—dla dzieci od 4 do 6 lat; 4) *małą szkołę*, albo *klasę trzecią*, chodzą do niéj dzieci od 6 do 8 lat; 5) *klasę drugą*—dla dzieci od 8 do 10 lat; 6) *klasę pierwszą*, w któréj pobierają naukę dzieci od 10 do 13 lat; 7) *kursy wyższe*—dla tych, co okazują pewne zdolności; 8) *terminatorstwo*—w warsztatach podług własnego wyboru zatrudnienia. Wychowanie i nauka bezpłatna; od 6-go roku nauka staje się obowiązkową. Utrzymanie szkół kosztuje rocz-

nie 33000 fr. Uczy się dzieci 400; nauczycieli i nauczycielek jest dwanaście. Dzieci pozostają w *la nourricerie* przez dzień i noc, co dla robotników jest wielką ulgą, gdyż mogą spokojnie wyspać się w nocy. Matki w każdéj porze mogą przychodzić dla karmienia dzieci. W szkołach chłopcy i dziewczęta uczą się razem. Kary cielesne nie są w użyciu. Dzieci, podzielone na grupy, pracują w ogrodzie, co sprawia im zawsze wielką przyjemność. Organizacya zabaw i świąt jest bardzo dobrze obmyślona i wzbudza powszechne zajęcie.

Zarząd familisteru wybiera się z pośród samych jego mieszkańców. Policya rządowa chciała koniecznie umieścić w pałacu swoich ajentów; opierano się temu biernie, a ponieważ nie wynikały żadne sprawy, wymagające interwencyi sprawiedliwości rządowéj, więc wreszcie pozostawiono familister własnemu samorządowi. W familisterze niema służby domowéj. jest tylko usługa publiczna kolejna, dobrowolna i wzajemna. Z początku robotnicy obawiali się mieszkać w pałacu, podejrzewając, że musi być w tém jakaś zasadzka, lecz wkrótce przekonali się o niesłuszności swego podejrzenia i obecnie ubiegają się o przyjęcie ich do familisteru, skoro zjawiają się tam mieszkania do wynajęcia (1).

Godin jest zwolennikiem stowarzyszenia kapitału i pracy czyli udziału robotnika w zyskach z produkcyi. Udział ten—zdaniem jego—nie powinien być jednakowy dla wszystkich, lecz powinien stosować się do oddanych usług. I dla tego Godin dzieli robotników w swojéj fabryce na następujące kategorye: 1) spólników (*les associés*), 2) stowarzyszonych (*les sociétaires*), 3) uczestników (*les participants*) i 4) pomocników (*les auxiliaires*). Spólnikami mogą być ci, co mają najmniéj dwadzieścia pięć lat, mieszkają przynajmniéj od pięciu lat w familisterze i biorą udział w jego instytucyach, umieją czytać i pisać i posiadają akcye do współwłasności familisteru na sumę 500 franków. Jest ich obecnie 68. W podziale zysku biorą udział w stosunku do podwojonego swego zarobku. Stowarzyszonych jest 95. Są to ci robotnicy, co pracują przynajmniéj od trzech lat, mieszkając w pałacu i zostali przyjęci przez radę administracyjną. Pobierają udział w stosunku do swego zarobku, powię-

---

(1) E. de Pompéry, opisując familister Godin'a („Un cas de socialisme pratique"— w *La Philosophie Positive*. Septembre—Octobre. 1875), powiada że Godin chciał robotników, zamieszkałych w pałacu, zrobić współwłaścicielami jego, obracając należną im dywidendę na kupno akcyi dających prawo do współwłasności, lecz napotkał trudności w ustawach państwowych, Będąc od r. 1871 deputowanym do zgromadzenia narodowego, starał się on usilnie o usunięcie tych trudności. F. Mijoul w swoim opisie familisteru (*La Revue Socialiste*. Juillet, 1886) przedstawia rzecz tak, jakby te trudności zostały już usunięte.

kszonego o połowę. Do trzeciéj kategoryi należy 573 osoby, które uczestniczą w podziale zysku w stosunku do swego zarobku. Kto pracuje od roku i został przyjęty przez radę administracyjną, zalicza się do téj kategoryi. Pomocnicy korzystają tylko z instytucyi opartych na wzajemności. Zarobki roczne wypłacane wynoszą 1.888.000 franków, zysk kapitału dochodzi do 230000 fr.

Instytucye oparte na wzajemności mają na celu: 1) zapewnienie niezbędnych potrzeb wszystkim członkom i płacy tym, co pracować już nie mogą; 2) zabezpieczenie się na wypadek choroby i 3) złożenie funduszu na lekarza i lekarstwa. Jeżeli która rodzina robotnicza nie jest w stanie wyżywić się z zarobku, wówczas instytucya, zapewniająca niezbędne potrzeby, oblicza i dopłaca jéj brakującą kwotę na konieczne utrzymanie.

Od r. 1871 prowadzi Godin bardzo czynną propagandę socyalistyczną. Ogłosił on kilka poważnych dzieł i sporą liczbę broszur. Od dziesięciu lat wychodzi jego nakładem pismo tygodniowe: *Le Devoir*, poprzednio pod redakcyą Denaud'a, od miesiąca lipca pod redakcyą Rouanet'a. Od trzech lat założyciel familisteru skoncentrował swoję propagandę na reformę podatkową, zalecając zaprowadzenie postępowego podatku spadkowego i ustanowienie spadkobierstwa państwowego w liniach bocznych. W tym przedmiocie, oprócz artykułów i broszur, ogłosił następujące rozprawy: *Mutualité nationale contre la misère*; *L'Hérédite de l'Etat ou la réforme de l'impôt*; *Ni impôts, ni emprunts, ou les ressources publiques par l'hérédité de l'Etat*; *Travail et consommation par l'hérédité national.* Podług obliczenia Godin'a, dochody roczne rzeczypospolitéj francuskiéj wynosiłyby, po przyjęciu jego projektu, półpięta miliarda franków, co dałoby możność zaprowadzić natychmiast równowagę budżetową, w pewnym przeciągu czasu spłacić dług narodowy, znieść ciężkie dla klasy pracującéj podatki pośrednie i rozpocząć na wielką skalę reformę społeczną.

Wiadomo także, że Anglik Karol Baboge, inżynier i profesor kolegium w Cambridge, zorganizował był stowarzyszenie przemysłowe na głównych zasadach Fourier'a; z jakim jednak skutkiem, niewiadomo. Oprócz familisteru Godin'a, kuchni ekonomicznych, czyli tanich, żłobków, szkoła falansterska rozsiała wiele pomysłów, które następnie realizowano, nie wiedząc może nawet, z jakiego źródła pochodzą. Takim pomysłem były *Domy zleceń rolników*, propagowane w Polsce gorliwie w r. 1861 przez Piotra Zaleskiego-Falkenhagena.

Ze sprawozdania komisyi, mianowanéj przez rząd francuski w marcu r. 1883, wiemy, że do 40 wielkich przedsiębiorstw przemy-

słowo-handlowych we Francyi zastosowało u siebie system udziału robotników w zyskach. Oprócz Godin'a, komisya wymienia, z wielkiemi pochwałami pożyteczności systemu, szczególnie: Edma Leclaire, przedsiębiorcę malarskiego w Paryżu, Laroche'a Joubert założyciela popierni spółdzielczéj w Angoulème, Bord'a fabrykanta fortepianów i głośny magazyn w Paryżu—*Le Bon Marché.*

V.

Furyeryzm we Włoszech, Hiszpanii, w Niemczech i Szwajcaryi.—Czyński, Bratkowski i Wolski.—Zwolennicy Fourier'a w Rosyi.

Pomysły Fourier'a znalazły wielu zwolenników we Włoszech, w Portugalii i w Hiszpanii. Falansterczykiem był pomiędzy wielu innymi towarzysz więzienny Silvia Pellico, Piotr Maroncelli, którego zwłoki sprowadzono niedawno z Ameryki do kraju ojczystego. Edward de Pompéry wspomina w r. 1840 o tém, że wychodziło wówczas w Madrycie pismo, *Correo Nacional*, krzewiące zasady furyeryzmu. Najwięcéj mamy jednak wiadomości o Hiszpanii od Ramona de la Sagra, który w r. 1849 umieścił w paryzkiéj *La Tribune des peuples* artykuł o stronnictwach hiszpańskich (1). Hiszpanie mieli się dowiedzieć o furyeryzmie z książek francuskich. W hiszpańskim języku—jak się zdaje autorowi—najwcześniejszym wykładem téj doktryny był przekład dziełka Abela Transon'a, dokonany w r. 1842 przez P. L. Huarte'a. Zainteresowanie się szkołą falansterską miało być wielkie w Hiszpanii, nawet między ludźmi bogatymi. Niejaki Sagrario de Belog, właściciel w Kadyksie, zrobił podanie do kortezów i regenta królestwa o pozwolenie założenia falansteru w Andaluzyi, którymby kierowało towarzystwo akcyjne z kapitałem miljona piastrów. Jaką dano odpowiedź, autor nic nie mówi. W 1848 r. wychodziło przez parę miesięcy hiszpańskie pismo tygodniowe, *Organizacya pracy*, z kierunkiem szkoły falansterskiéj.

Niemiecka publiczność dowiedziała się o pomysłach Fourier'a najwcześniéj z dzieła Wawrzyńca Steina: *Der Sozialismus und Kommunismus im heutigen Frankreich*, które pojawiło się w r. 1842. Po nim pisał o Fourier'ze Karol Grün w 1845 (*Die Soziale Bewegung in Frankreich und Belgien*). W 1848 pojawiło się wiele sprawozdawczych artykułów dobrze napisanych, z których wypada wymienić obiektywny i sumienny w lipskiém piśmie, *Die Gegenwart.* („*Der Sozialismus und Communismus in Frankreich*").

---

(1) Les partis en Espagne,—o socyalistach pisze de la Sagra w NN. 50 i 51.

W Szwajcaryi dwaj znani pisarze socyalistyczni, Herman Greulich (1) i Karol Bürkli, byli zwolennikami szkoły falansterskiéj i obecnie jeszcze wyznają główne jéj zasady. Bürkli w życiu politycznem swego ojczystego kantonu odegrał ważną rolę. Teodor Curti nazywa go „najbardziéj świadomym obrońcą ustawodawstwa ludowego przy zmianie konstytucyi zürichskiéj“ (2).

W emigracyi polskiéj szkoła falansterska pozyskała także pewną liczbę zwolenników, pomiędzy którymi Czyński, Bratkowski i Wolski pozostawili po sobie ślady piśmienne w tym kierunku.

Jan Czyński (ur. 1808, † 1867), czynny i ruchliwy literat polski i francuski, po powstaniu 1831 roku osiadł w Paryżu, poznajomił się z pisarzami francuskimi i wziął czynny udział w ruchu literackim. Jego powieści polskie: *Stenko*, *Bogdan Chmielnicki*, *Król chłopów*, zasługują na uwagę. Pisał o starozakonnych w Polsce, stając w obronie ich prawa obywatelstwa. Ogłosił *Plan urządzenia gminy*. W roku 1843 wydawał w Paryżu: *Echo miast polskich*. Poszukiwania długie doprowadziły nas do tego przekonania, że *oswobodzenie i uszczęśliwienie mas* nie zależy od formy rządu, ale od dobrego urządzenia społeczeńskiego, od dobrego wychowania, dobrze urządzonéj pracy i przemysłu, od doskonałego na prawie boskiém ugruntowanego zagospodarowania gminą“ (3). W piśmie tém znajduje się artykulik o doktrynie Fourier'a, podpisany literami W. H. (Wiktor Henri de Rochetin?).

Stanisław Bratkowski pisał także rozmaite rzeczy po polsku i po francusku. W r. 1840 wydał w Nantes—*Kilka myśli dla Polski*, przedstawiając korzyści gminy stowarzyszonéj i wzywając większych właścicieli ziemskich, by wspólnie z włościanami organizowali takie gminy. Następnie kiedy sprawa włościańska stanęła na porządku dziennym, ogłosił drukiem w Paryżu r. 1860 broszurkę p. t. *Gmina i Szkoła wiejska w Polsce po zniesieniu pańszczyzny*, powtarzając w niéj swoje myśli o gminie stowarzyszonéj. Na końcu broszurki autor poświęca parę kartek pomysłom Fourier'a o organizacyi pracy.

Kalikst Wolski (ur. 1816, † 1885), po powstaniu 1831 r., osiadł we Francyi, gdzie wszedł w stosunki z socyalistami; z tego powodu musiał następnie opuścić Francyą i—jak wspomniałem już—należał do wyprawy, która miała zorganizować falanster w Texas. W dziełku swojém: *Do Ameryki i w Ameryce* (Lwów 1876) opisuje tę wy-

---

(1) Artykuł jego o Fourier'ze znajduje się w *Jahrbuch für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik*. Zweiter Jahrgang. Zürich-Oberstrass. 1881.

(2) Geschichte der schweizerischen Volksgesetzgebung. Bern. 1882. Str. 216.

(3) Echo miast polskich. N. 2, 11 listopada 1843. Str. 14.

prawę, mówi obszernie o organizacyi *North American Phalanx*, jéj życiu wewnętrzném i w ogóle podaje wiele ciekawych szczegółów o Ameryce.

Żarczyński komunikuje rzecz nieprawdopodobną, chociaż mówi o tém, jako o rzeczy pewnéj, że po ukazaniu się dzieła Fourier'a, „cesarz rosyjski przysłał umyślnego adiutanta swego do Paryża, ofiarującego mu ziemię i ludzi do założenia falansteru. Rzecz miała się rozejść na tém, że z góry nie chciano mu przyznać wolności poddanych“ (1). Wnosząc ze złośliwego wierszyka Dawydowa, w Rosyi rozprawiano dość dużo o furyeryzmie, raczéj jednak dla popisu, aniżeli z prawdziwego przekonania. Dopiero znacznie późniéj zaczęto gruntowniéj badać pomysły Fourier'a. W roku 1862 Bibikow ogłosił w kierunku furyerystycznym studya zoologiczno-psychologiczne, które jednak wnet cofnięto z obiegu. Wpływ pomysłów Fourier'a uwydatnia się także bardzo w nader wpływowym pisarzu rosyjskim, Mikołaju Czernyszewskim, a szczególnie w głośnéj jego w swoim czasie powieści: „Co robić?“ (2).

VI.

Furyeryzm w Ameryce. — Maroncelli. — Brisbone. — Zapał furyerystyczny w Stanach Zjednoczonych. — Falanstery. — Przyczyny ich upadku. — Osada w Brazylii. — Oneida.

Edward de Pompéry jeszcze w r. 1840 zawiadamiał, że amerykańscy zwolennicy szkoły falansterskiéj, na czele których znajdował się znakomity Pietro Maroncelli, zamierzali wydawać w New-Yorku pismo codzienne. Noyes w swojéj historyi nic jednak o tém nie wspomina, a początkodawcą ruchu furyerystowskiego w Stanach Zjednoczonych czyni Alberta Brisbane'a, który ogłosił pierwszy w Ameryce w r. 1840 wykład teoretyczny furyeryzmu p. t. „*Social Destiny of Man.*“ Następnie od marca r. 1842 do maja 1843 prowadził gorącą propagandę w *New York Tribune*. Od października 1843 do maja 1845 wydawał wspólnie z Osbornem Macdanielem *The Phalanx*. Wreszcie brał czynny osobisty udział w mityngach i organizowaniu falansterów. Posiew Brisbane'a nie padł na grunt jałowy: był on dobrze już przygotowany przez rozmaite sekty religijne z dążno-

---

(1) Wizerunki obłudnych nauk, str. 29.

(2) Powieść ta została spolszczona na początku siódmego dziesiątka lat we Lwowie p. t. *Ludzie*, bez podania nazwiska autora.

ściami komunistycznemi i przez propagandę Owena. Młodzież gorąco się chwyciła pomysłów falansterskich. Noyes wylicza 48-miu pisarzy, którzy brali udział w *The Phalanx* i w *Harbinger* (Poprzednik). To ostatnie pismo wychodziło od r. 1845 do 1849. „Większa część tych pisarzy— pisze Noyes — była w kwiecie młodości i socyalizm był ich pierwszą miłością“ (1). Wymienię tu kilka najczynniejszych osobistości: trzech Channingów, Parke Godwina, E. P. Granta, Horacego Greeley'a, Jerzego Ripley'a i t. d. Największy ruch furyerystowski objawił się w r. 1843. *The Phalanx* słusznie mówiła, *że* nazwisko Fourier'a rozbrzmiewało wówczas od Oceanu Atlantyckiego do rz. Mississipi, od krańców Wiskonsinu do Luiziany. Zapał i wiara były ogromne. Latem roku tego zorganizowało się z tuzin falansterów w rozmaitych miejscach Stanów Zjednoczonych. Noyes wylicza przeszło 30 osad socyalistycznych, które poformowały się w epoce ruchu furyerystowskiego, a z pomiędzy nich 23, które same przyznawały się do nauki Fourier'a. Liczba to jednak niezupełna, chociaż z drugiéj strony nawet te stowarzyszenia, które w swojéj nazwie miały dodatek: *Phalanx*, nie odpowiadały w zupełności idealnéj projektowanéj przez Fourier'a organizacyi; były to raczéj tak zwane przez niego *phalanstères hongrés*, t. j. niezupełne, a nadto w wielu z tych stowarzyszeń panowała rozmaita mieszanina doktryn socyalistycznych.

Szereg falansterów rozpoczyna założony na początku 1843 r. pod nazwą *The Sylvania Association* w okręgu miasta Lackawaxen w Pensylwanii, a kończy *The North American Phalanx*, założony w tymże roku w pobliżu New-Yorku. Ten ostatni wraz z *The Trumbull Phalanx* w Ohio i *The Wisconsin Phalanx* przedstawiają najważniejsze próby w zastosowaniu nowych zasad. Wolski opisał szczegółowo życie wewnętrzne w osadzie The North American Phalanx. Wszystkie te osady nie trwały długo: niektóre kilka miesięcy zaledwie; inne mniéj więcéj rok czasu; pięć falansterów wytrwało peryod dwuletnii dłuższy żywot pędziły tylko: The Trumbull Phalanx (przeszło 3 lata), The Marlboro Association (około 4 lat), The Wisconsin Phalanx (prawie siedm lat) i The North American Phalanx (prawie 9 lat). Większa część tych osad, przetrwawszy pierwsze trudności, zaczynała już była rozwijać się pomyślnie i niespodzianie prawie naraz upadała. Wprawdzie przedstawiano te falanstery często lepiéj, aniżeli było w rzeczywistości; często opisywano—jak zauważył jeden z dzienników—raczéj to, co chciano widzieć, aniżeli to, co w rzeczywistości istniało; wszakże, biorąc to wszystko w uwagę,

---

(1) History of American Socialism, str. 212.

możemy powiedzieć, że pomyślny rozwój wielu osad był prawdziwy. Cóż więc był za powód, że nie zdołały się one utrzymać? Najczęściéj dawała się słyszéć skarga na to, że do osady przyjmowano ludzi bez wyboru, z których jedni powodowali się istotnie wzniosłą myślą stowarzyszenia, drudzy zaś nadzieją tylko korzyści materyalnych. Nic dziwnego przeto, że miłość pieniędzy przeważała nieraz nad miłością interesu społecznego. Nieoględność w wyborze ludzi dawała się dotkliwie uczuć: odsetek ludzi nieużytecznych, albo dla braku odpowiedniego zajęcia, albo dla lenistwa, albo dla chorowitości i słabości bywał za wielki. „Stowarzyszenie — pisano o Trumbull Phalanx w r. 1848 do *the Harbinger* — stało się raczéj przytułkiem dla ubogich, chorych i niezdatnych, aniżeli zawiązkiem społecznym czynnych członków, którzy z całą mocą i energią staraliby się urzeczywistnić system, wierząc w to szczerze, że przyczyni się on do podniesienia i szczęścia ludzkości.“ Z powodu nieoględnego wyboru ludzi, różnica usposobień, nawyknień, przekonań bywała za wielka i przy pierwszym niepomyślnym obrocie spraw osady doprowadzała do sporów i kłótni, które rozsadzały stowarzyszenie. Tém dotkliwiéj i prędzéj dawała się uczuć ta różnica, im szczuplejsze było mieszkanie, im większe trzeba było znosić niewygody. Różnica wyznaniowa bywała często powodem sporów i niechęci wewnętrznych. Zdaniem Macdonalda, główną przyczyną upadku *Sodus Bay Phalanx* w Rochester była różnica religijna członków osady. Przekonania polityczne także bywały powodem sporów. Właśnie jedna z lepszych kolonii, *the Wisconsin Phalanx*, zachwiała się wskutek waśni politycznych.

Drugim ważnym powodem zniechęcania się do falansterów była wielka różnica, jaka zachodziła pomiędzy teoryą i jéj praktycznem zastosowaniem. W teoryi wszystko wydawało się pięknie i wszystko było łatwe; w praktyce okazywało się inaczéj. Spodziewano się mało pracować, a wielkie miéć zyski; tymczasem spostrzegano, że chcąc miéć jakiekolwiek zyski, trzeba było dużo pracować. Być może, że gdyby oddano osadnikom na własność falanster dobrze zabudowany i zagospodarowany, to możnaby w nim było prowadzić odrazu życie wygodne i łatwe. Tymczasem najczęściéj na kupienie osady zaciągano pożyczkę, zobowiązywano się ją spłacać ratami, potrzebowano przytém dość znacznego kapitału na budowy, inwentarz, początkową uprawę gruntów. Kiedy więc nadchodziły terminy wypłaty, stękano, narzekano, zniechęcano się, a jeżeli przytém nie dopisał urodzaj, opuszczano ręce w rozpaczy i rozbiegano się w rozmaite strony, a przedewszystkiém usuwali się od ciężarów i życia twardego ludzie nieżonaci i niemający obowiązków rodzinnych.

Ważną téż przeszkodą unormowania się stosunków w osadach było prawodawstwo, które znało tylko zobowiązania i prawa indywidualne. Pierwszym powodem niesnasek w *Clarkson Phalanx* — jak to opowiada historyk téj osady, John Greig—były stosunki prawne. O ten sam szkopuł rozbiło się także stowarzyszenie *The Bloomfield Association.*

Przekonano się przytém, że grupowanie się ludzi, o którém marzył Fourier, nie odbywa się tak łatwo, jak mu się zdawało. „Marzenie Fourier'a—powiada Noyes—że pomiędzy dwoma, lub trzema tysiącami ludzi, jeżeli mieszkają oni w obszernym gmachu i ciążenie ich wzajemne swobodnie objawiać się może, powinna nastąpić równowaga popędowa i urzeczywistnić się harmonia, która nie daje się osiągnąć w małym zakresie familizmu, marzenie to nie potwierdziło się doświadczeniem i wydaje się nam być wielce sprzeczne z prawdą“ (1). Przekonano się także, że odrazu przeskoczyć od istniejących do idealnych warunków łatwém jest tylko w marzeniu, w rzeczywistości zaś jest to zupełném niepodobieństwem, że konieczny jest dla osiągnięcia celu pewien czas przejściowy. „Nie rodzimy się spólnikami, lecz musimy dopiéro zwolna usposabiać się do tego“— powiedział pewien robotnik Proudhonowi, kiedy ten wypytywał, dla czego stowarzyszenia robotnicze tak często rozpadały się w Paryżu.

Falansterczykowie próbowali także kolonizacyi i w innych częściach Ameryki, jak np. dr. Mure w Brazylii.

Wypada jeszcze wspomnieć o Oneidzie (The Oneida Community) w Connecticut. Założona została ona przez Johna Humphrey'a Noeys'a, historyka socyalizmu amerykańskiego. Osada ta komunistyczna miała z początku charakter zupełnie religijny, ale podczas ruchu furyerystowskiego uległa wpływowi furyeryzmu, jak to sam Noyes przyznał. Głównie jednak przyswoiła ona z furyeryzmu *wolną miłość* i starała się w tym względzie poprzeć Fourier'a Pismem świętém. Osada ta istniała dość długo, prawie do śmierci Noyes'a, która nastąpiła w roku zeszłym (1886).

B. L.

---

(1) l. c. str. 293.



U TABORYTÓW.

OBRAZ HISTORYCZNY (1).

Przez kraj odsłonięty, wyludniony i głuchy, pędzą rycerze w kożuchach i czapkach futrzanych. Orszak to liczny; samych jezdnych, krom tych, co na wozach siedzą, będzie pięćdziesięciu. Konie pod nimi ogniste, para bucha im z nozdrzy rozwartych, podkowy dzwonią po ziemi skostniałéj, która gdzie niegdzie z pod śniegu się dobywa. Oddech jeźdźców przez ostry mróz w szron zamieniony, osiada im na brodach, wąsach i czapkach, skutkiem czego ich twarze wyraziste są jakby białemi wieńcami otoczone.

Na ziemi leży cienka warstwa śniegu, na którym gdzieniegdzie widać trop zwierzyny, przebiegającéj tędy nocą z jednych lasów do drugich; na szarém niebie płonie słońce blade; w powietrzu drżą miliony iskier i łamiąc się w słońca promieniach świecą jak brylanty; kędy oko sięgnie pusto i ponuro. A jednak niedawno temu, cała ta okolica, tak latem, jak zimą. była przepełniona ludem mnogim i pracowitym, na dolinie i po onych wzgórzach rysujących się na krańcu widnokręgu, stały włości bogate i miasta okazałe, wszędzie spotykało się dostatek. Dopiero, odkąd Hus i jego zwolennicy, głosząc słowo Boże, wydali wojnę rzymskiemu kościołowi, w piękną Czechią zaczęły bić pioruny, a cały kraj stanął pustkowiem.

Rycerze krzyżowi, pod wodzą cesarza, książąt i biskupów ciągnęli przez góry i doliny na kształt huraganu, który wszystko obala i niszczy, puszczali z dymem wsie, burzyli miasta, tysiące Czechów wycięli mieczem, drugie tyle potopili w rzekach lub na stosach spalili, a co z téj klęski ocalało, to wkrótce padło ofiarą fanatyzmu Ta-

(1) Urywek z większéj całości p. t. „Na dziejowym przełomie“.

borytów, którzy burzyli klasztory i zamki panów bogatych, a w sposób równie okrutny jak niemiłosierny mścili się na tych, co wespół z nimi nie chcieli uznać Jana Husa za jedynego swego mistrza. I odtąd Czechia wygląda jak ziemia, którą Bóg skazał na zagładę.

Rycerze pędzą dobrym kłusem, bo im śpieszno i zimno, a że jadą prawie na los szczęścia, gdyż śladów jakiejkolwiek drogi nigdzie nie widać, przeto ci, co ich wiodą, rozglądają się w koło uważnie, by nie zbłądzić. Gdy przejeżdżali obok lasu brzozowego, który od północy dolinę zasłaniał, jeden z nich spostrzegł na jego krawędzi niewyraźną postać ludzką. Wstrzymał konia i do nieznajomego krzyknął, by się zbliżył. Na to owa postać nagle znikła, jakby się gdzieś zapadła.

— Hultaj! musiał na ziemię się rzucić!—zawołał Siestrzeniec.—Trzeba go poszukać!

To rzekłszy, pocisnął konia i puścił się do lasu. Za nim pomknęli Spytek Mersztyński i Hermann. Jerzy ze Stopnicy został jak zwykle przy wozach. Nim do lasu dobiegli, z ziemi porwał się kilkonastoletni chłopak i ze wszystkich sił jął uciekać. Na szczęście las był od kraju rzadki i mało śniegu w nim leżało, więc też nasi znajomi mogli za uciekającym łatwo pośpieszyć. Chłopak widząc, że rycerze pędzą k'niemu co koń wyskoczy, umykał jeszcze jakiś czas i krzyczał, dopiero gdy tuż za sobą usłyszał prychanie rumaka i uczuł jego oddech gorący, obrócił się, a upadłszy na kolana, zaczął błagać o litość.

— Nie zabijajcie mnie!--wołał—Jam nie winny! . Ja nie Czech! Ja Niemiec! Świętą komunię przyjmuję pod jedną postacią!.. Bóg mi świadkiem, że pod jedną!...

Wielki musiał być strach jego, skoro mimo, iż tak uroczyście zapewniał, że jest Niemcem, mówił tylko po czesku i nie użył ani jednego słowa niemieckiego.

— Nie bój się!—Siestrzeniec zawowołał.—My nie cesarscy!.. My tacy sami Słowianie jak i ty.

— Nie zabijajcie mnie! Na litość boską nie zabijajcie!—dalej jęczał, jakby słów rycerza bądź nie słyszał, bądź nie rozumiał.

— Mówię ci, ośle, żeśmy Słowianie, nie cesarscy.

— Wy nie cesarscy?—radośnie zawołał, i okiem jeszcze na pół wystraszoném, a już na pół zdziwionem, zaczął w koło wodzić i rycerzy oglądać.—Wy nie cesarscy, powiadacie? A czemuście mnie tak ścigali?

— Bo chcemy się dowiedzieć, czy daleko ztąd na górę Tabor i czy dobrze jedziemy—Spytek odpowiedział.

— Na górę Tabor?... ztąd niedaleko do Taboru, będzie jeszcze mila, nie więcéj... Jedźcie tylko prosto, a nie zbłądzicie.

Choć chłop mówił po czesku, a rycerze po polsku, rozumieli się jednak między sobą doskonale, tak mało różnił się wtedy jeden język od drugiego.

Chcieli już nawrócić i odjechać, gdy Spytkowi przyszło jeszcze na myśl zapytać chłopaka, co sam jeden w lesie robi. Chłopak spojrzał mu bystro w oczy i śmiało odpowiedział.

— My się tu kryjem z ojcem, matką i drobniejszemi dziećmi. Na miejscu otwartém teraz niebezpiecznie, bo cesarscy znów wpadli do naszéj ziemi, i jak dawniéj palą, łupią i mordują.

— Biedniście?

— O! bardzo!... Siedzim w jaskini, jak dzikie zwierzęta.

Spytek sięgnął do kieszeni i wyjął z niéj talara srebrnego. Gdy go dał chłopakowi, ten spojrzał na pieniądz i zapytał:

— A co ja z nim zrobię? Możebyście rycerze, dali mi lepiéj kawałek chleba.

— Dobrze, dostaniesz i chleba, a pieniądz schowaj na pamiątkę. Chodź z nami!

Wziął go do swoich wozów i tak hojnie obdarował, że chłopak ledwo mógł wszystko udźwignąć i wrócić do lasu.

Rycerze pojechali daléj.

Mróz, choć od rana cisnął, zaczął teraz słabnąć, niebo pokryło się chmurami, cieplejszy wiatr powiał, powietrze zrobiło się łagodne i przyjemne. Los, któremu na łaskę się zdali, tak dobrze ich poprowadził, że w samo południe stanęli przed górą Tabor.

Wznosiła się ona jakby bastyon jaki, rękami wielkoludów usypany. Wązki przesmyk łączył ją z resztą wzgórz. Wszystkie jéj ściany były prostopadłe, a tak strome, że żaden człowiek nie byłby wstanie wdrapać się na jéj szczyt. Dołem płynęła rwąca rzeka, w przesmyku była wykopana fosa szeroka, nad którą zwodzony most spoczywał. Ponieważ tylko przesmykiem można się było dostać do miasta, więc gdy most był zwiedziony, cała góra przeistaczała się w twierdzę niezdobytą, o którą musiałyby się rozbić wszystkie potęgi ziemi. To orle gniazdo było dziś siedzibą Żyżki i jego zastępów bohaterskich. Z powodu, że gęste chmury nisko teraz ciągnęły nie można było widziéć, co się na górze działo.

Siestrzeniec obznajomiony z miejscowością, wprowadził towarzyszów na przesmyk, a gdy u fosy porozumiał się ze strażnikami, i ci most spuścili, cały orszak wjechał na górę. Nim jednak dostali się do miasta, wpierw musieli jeszcze minąć bramę w murze nie-

zmiernie grubym i dość wysokim, której broniły żelazne armaty, skierowane wylotami ku mostowi.

Gdy ją przejechali, ujrzeli się na silnie obwarowanym szczycie góry, gdzie zamiast domów kamiennych jak w innych miastach, i wązkich a krętych uliczek, stały po większéj części szałasy, baraki, chaty z desek lub z drzewa okrągłego, nawet płócienne namioty. Domów murowanych było ledwie kilkadziesiąt, a i te tak się gdzieś pochowały, że ich dopiero trzeba było szukać. Pochodziły one z czasów dawniejszych, kiedy miasto nazywało się jeszcze Hradiszte, nie Tabor. Szczególna ta miejscowość robiła wrażenie wielkiego obozowiska. Ludności miejskiéj, wesołéj, hałaśliwéj, żyjącéj z dnia na dzień, trwoniącéj nieraz w godzinie to, na co przez cały tydzień ciężko pracowała, nie było tu widać; nie spotykało się także ani kupców, ani rzemieślników ani wozów naładowanych różnemi rzeczami, ani przekupniów wabiących przechodniów głośném zachwalaniem swego towaru, ani żebraków. Ci, których tu się widziało, przypominali stokroć więcéj ascetów z żołnierska przyodzianych, niż mieszczan lub chłopów.

Ponieważ nadspodziewanie zrobiło się ciepło, więc właśnie gdy Spytek jechał ze swymi przyjaciołmi, coraz liczniejsze tłumy wylewały się na ulice. Prócz mężczyzn i niewiast, szło także dużo dzieci. Wszystkie twarze były poważne i spojrzenia surowe, chód spokojny, żadnych ust nie rozjaśnił uśmiech, nigdzie nie było słychać słowa głośniejszego. Snać wesołość niewinna została ztąd raz na zawsze wypędzona, skoro nawet dzieci nie szczebiotały swobodnie, lecz wyglądały tak samo poważnie jak ich rodzice. Ubiory były ciemne, tak mężczyzn, jak kobiet. Na dzieciach nie widziało się także jaskrawych kolorów. Skórzane tołuby i kożuchy u mężczyzn, czarne chustki i szare spódnice u niewiast, oto strój mieszkańców tego grodu szczególnego. Mężczyzni byli po większéj części uzbrojeni tylko w krótkie miecze, gdyż inny rynsztunek w szopach zostawili; co do kobiet, te lubo nie miały teraz przy sobie żadnéj zbroi, jednakowoż z ich marsowego spojrzenia i silnéj ciała budowy można było wnioskować, iż w razie potrzeby, potrafiłyby i one topór udźwignąć, by mężnie walczyć obok swych mężów i braci.

Co kroków kilkadziesiąt stały na ulicach stoły kamienne, przy których księża husyccy, z brodami i w zwykłych czarnych szatach, czytali Pismo Św. i zebranym dokoła ich braciom takowe tłómaczyli. Gdzie indziéj rozdawali oni komunią św., do któréj przystępowały tak samo dzieci, jak dorośli. Przy kilku stołach Hermann zauważył także osoby zwyczajne, zajęte głoszeniem słowa bożego. Nigdzie nie było widać ani szynku, ani gospody, nigdzie nie było słychać ani

śpiewu ani muzyki; ciszę uroczystą przerywały chyba donośniejsze głosy kapłanów.

Orszak był już prawie w środku miasta, gdy Hermann szarpnął Siestrzeńca za ramię i pokazując mu kilkanaście wielkich budynków, zapytał:

— Powiedźcie mi rycerzu, co się w nich znajduje?

— W tych na lewo podłużnych, mieszczą się krowy, woły, konie i inne zwierzęta, Żyżka bowiem jako wzorowy wódz, karmi dobrze swoich ludzi; w tamtych na prawo znajdują się składy zboża, mogące dla całego miasta najmniéj na rok wystarczyć; w tych zaś pośrodku, w których grzmi jak w kuźnicach, są lejarnie armat i stępy do robienia prochu. Żyżka pamięta o wszystkiém i cesarz zje wpierw diabla rogatego, nim mu co zrobi!

Hermann pełen podziwu w koło się rozglądał, inni zaś, a do tych i Spytek należał, byli w duchu skupieni i prawie strwożeni. Takiego wrażenia doznawał każdy, kto w dziwném tém miejscu pierwszy raz się znalazł. Ale kto wśród téj kolonii poważnéj a surowéj dłużéj pobył, kto przypatrzywszy się dobrze jéj życiu, poznał, że składa się ona z ludzi oddanych idei, którzy dobrowolnie palili swoje domy na dolinach, by tém łatwiéj mogli tu, pod okiem swego ojca, Żyżki, utworzyć wielki związek braterski, ten potém czuł się do niéj tak pociągniętym, że chciał tylko tu żyć i umierać. Niedostępna góra Tabor przestawala odtąd być dla niego twierdzą krwiożerczych band nieprzejednanego Czecha, a robiła się raczéj schroniskiem dla wszelkiéj wzniosłości, która umknęła ze świata, przerażona jego wielkiemi grzechami!...

Oblicza Taborytów były po większéj części pospolite, nieokrzesane. Pochodziło to ztąd, że do Żyżki, obrońcy ludu, który walcząc z duchowieństwem i feudalizmem, wieśniakowi lepszą dolę zwiastował, ciągnęli przeważnie chłopi.

Wszelako i między tymi brodaczami o grubych kościach, małych oczach i nosach niekształtnych, spotykało się gdzie niegdzie fizyonomie jaśniejsze, więcéj dumne niż surowe, delikatne czasem nawet bardzo piękne.

Byli to szlachcice, potomkowie rodzin starożytnych, którzy zapaleni dla idei wstrząsającéj świat w jego próchniejących podwalinach, opuścili cesarza i przyszli do nieustraszonego wodza Taborytów, by wespół z nim pracować nad oswobodzeniem ojczyzny.

Ci za to, że byli światlejsi i w rzemiośle wojenném wyćwiczeni, otrzymali od Żyżki stopnie kapitanów. Jednego z takich, gdy na koniu jechał z miasta ku mostowi, Siestrzeniec zatrzymał i spytał:

— Żyżka gdzie?

— Pod swoim dębem!—odpowiedział, rękę za siebie wyciągając, i daléj pojechał.

Za kilka minut nasi znajomi dostali się na plac duży, czworoboczny, na którym w samym środku rósł dąb rozłożysty. Liście mrozem zwarzone, acz oddawna uschły i poczerwieniały, dotąd z niego nie opadły.

Dokoła placu widać było szopy, przeznaczone na zbrojownie Taborytów. W mniejszych wisiały tarcze, pancerze, hełmy, miecze, kusze, łuki, topory, oszczepy i maczugi; w kilku stały cepy w kozły ustawione, w większych znajdowały się armaty na kołach i wielkie wozy, na których leżały grube łańcuchy w kłęby związane. Armat było kilkadziesiąt, tyleż obok nich jaszczyków z prochem; wozów kilka tysięcy.

Pod dębem, na pniu w tém miejscu leżącym, siedział Jan Żyżka. Obok niego stało kilku kapitanów, między nimi Prokop Łysy, późniejszy wódz Taborytów. Siestrzeniec, Spytek i Hermann, zsiadłszy z koni, udali się pieszo do Żyżki. Reszta orszaku wraz z wozami, pod dowództwem Jerzego ze Stopnicy; zatrzymała się na końcu placu.

Żyżka miał głowę odkrytą. Hełm prosty, żelazny, bez piór i bez złoceń leżał na jego kolanie. Na nim spoczywała w stalowéj rękawicy dłoń jego lewéj ręki. Łokieć prawej wsparł o oszczep, który był w ziemię wbity. Piersi i ramiona Żyżki były także w żelazie, za to na plecach i nogach miał zwykłe skórzane odzienie. Jego duża głowa tem większą się wydawała, że włosy gęste, czarne, układające mu się na kształt lwiéj grzywy, piętrzyły się nad jego czołem, co nadawało całéj fizyonomii wyrazu niezwykłéj siły i powagi, poczém falą szeroką na ramiona mu spływały. Była to grzywa nie zwalczonego Samsona, któréj sam widok trwogą nieprzyjaciół przejmował. Brodę miał gęstą, okrągłą, krótko przystrzyżoną, wąsy długie, ukośnie ku ziemi spuszczone. Twarz Żyżki była taka wyrazista i taka surowa, że zdawało się, jak gdyby ją Bóg wykuł w bryle granitu, a potém tchnieniem swojém ożywił. Gdy słuchał, lub myślał, wszystko było na niéj skamieniałe. Życie wstępowało w nią dopiero wtedy, gdy mówił, rozkazy wydawał, lub gdy wśród walki orężnéj, słuchał jak jego dzieci cepami młóciły i jak nieprzyjaciel krzycząc uciekał. Czoło Żyżki niezbyt wyniosłe, było szerokie i jasne; na niém, tak u dołu, nad kośćmi ocznemi jak i u góry widać było grube guzy, pod któremi geniusz obrał sobie siedlisko. Nos duży, garbaty, ostro zakończony i usta pod wąsami zaciśnięte, wyrażały niezłomną energią. Zamiast oczu miał dwie jamy, z których jedna była sucha, lecz druga jeszcze krwawiła. Pierwsze oko stracił pod Grunwaldem,

gdzie wespół z Polakami Niemców gromił; drugie wystrzelili mu niedawno pod zamkiem Rabi przyjaciele cesarza niemieckiego. A mimo że był ślepy, widział, myślał i czuł za wszystkich, działał za całą Czechią i bił Niemców jak przed nim jeszcze nikt!

Chmury rozsunęły się na niebie i słońce zaświeciło. Jego blade promienie padły na posępne oblicze wielkiego wodza. Nie widział słońca, lecz je uczuł. Podniósł głowę i lekko brwi ściągnął. Wyglądał teraz jak człowiek zasłuchany. Twarz jego była blada, wszystkie rysy na niéj skamieniały, a taka straszna od niéj wiała groza, że tym co dokoła stali, słowa na ustach zamarły. Siedział jak posąg i o czémś myślał.

Zbliżył się Spytek Melsztyński i w słowach prostych a szczerych powitał go w imieniu w. księcia litewskiego, poczém wywiązał się z poruczonego mu poselstwa. Żyżka głowę schylił i jamy oczne skierował na mówiącego. Zdawało się, jakby go widział. Gdy Melsztyński skończył, wyciągnął obie ręce, objął go wpół, przycisnął do piersi stalą okrytéj i ucałował.

— Bóg zapłać ci, bracie, że z dobremi wieśćmi do mnie przybywasz! — zawołał. — Choć cesarz cały świat przeciw Czechii poruszył, a Rzym śle nam klątwy i dzikich krzyżowców, my jednak nie ustąpim i pewnie zwyciężym, jeśli tylko Witołd poda nam rękę pomocną! Gdy razem staniem, czy jest na świecie potęga, któréj byśmy nie podołali? Słyszałem już od Prażan, że książe chce przyjąć naszą koronę. Na piśmie, o to go proszącém, znajdzie i moją pieczęć, bo jeśli kto, to Żyżka czci bohatera Wschodu; ale wierzcie mi, nasz związek dopiéro wtedy będzie trwały, gdy książe zakaże Korybutowi z Rzymem się układać! Z cesarzem i papieżem niema przejednania! Albo oni, albo my! Kto raz wejdzie z nimi w układy, tego oplątają swemi siećmi jak pająk muchę, uduszą go i krew zeń wyssają! Bracie powiedz to księciu odemnie i zaklnij go na wszystkie świętości, żeby Żyżce wierzył, bo Żyżka posiwiał i oślepł w walce z cesarskimi, więc chyba wié, co oni warci!

— Mówiłem księciu prawie to samo — rzekł na to Spytek — ale on mi odpowiedział, że tak postępować nakazuje mu polityka.

— Polityka? cha! cha! cha! — zaśmiał się Żyżka, a tak gorzko, tak dziko, że po obecnych przeszedł mróz. — Polityka, powiadasz? Czyż nawet tacy wielcy ludzie jak Witołd, potrzebują bić pokłony przed bożkiem obłudy i zdrady? Wszak służym Bogu, na naszych sztandarach wypisana prawda, wszak walczym z duchem ciemności, a celem naszego bojowania jest dobro współbraci, którym chrześciańską miłość niesiem! Czyż więc ten, kto taką idzie drogą, potrzebuje kłamać i być faryzeuszem? A kłamcą jest każdy, kto nie

działa otwarcie, jak Bóg przykazał, lecz idzie chyłkiem i szuka krętych ścieżek, nakreślonych przez politykę! Nasza polityka na końcu cepa i na ostrzu topora! Innéj nie znam i znać nie będę! Powiédz to odemnie księciu!... Ale choć pod tym względem różnią się nasze zapatrywania, niech jednak nie sądzi, że mu będę stawiał jakiekolwiek trudności. Przenigdy. Niech robi co chce, bo ci, co na tronie siedzą, inaczéj ponoś myślą i działają, niż my, co z ludem idziem; ale jeżeli za to zawiedzie się kiedyś w swoich obliczeniach, niech wtedy na nikogo nie narzeka, jeno na siebie. On chce politykować, a ja wołam: bić! Bić bez litości, bez wytchnienia, póki tak z naszych, jak z waszych krajów ostatni Niemiec nie uciecze, póki nie zginą ci wszyscy, którzy nie chcą uznać naszego języka, naszego starego obrządku i są przeciwni swobodnemu głoszeniu słowa bożego! Taki jest bracie program Żyżki. Kto się jego będzie trzymał, zwycięży! Kto pójdzie za polityką, przepadnie!

Urwał i głowę pochylił. Oblicze bardziéj mu się zasępiło; jamy oczne krwią zabiegły; czoło gęściéj się pofałdowało, a usta kurczowo się zacisnęły. Bolał. Wszyscy wkoło stali oniemieni i nikt nie odważyłby się przerwać jego milczenia. Żyżka od nikogo nie żądał szacunku, ale sama jego obecność wszystkim go nakazywała.

— Nie znałem cię dotąd, bracie!— rzekł po krótkiéj przerwie— ale nieraz o tobie słyszałem. Krystyn z Prachatic i panowie na Dubiu wiele mi o tobie mówili. Co u was słychać? Czy zastęp naszych przyjaciół wzmaga się w Polsce.

— Z każdym dniem!—Spytek żywo odpowiedział.—Mam w Bogu nadzieję, że do roku cała Polska będzie za wami!

— Oby się ziściły twoje słowa! Wierz mi bracie, nasze losy tak są dziś z waszemi związane, że tylko miecz mógłby je rozciąć, a gdyby się to powiodło orężowi niemieckiemu, zginęlibyśmy najpierw my, potém wy! Skoro Bóg nas złączył krwią i językiem, niech nas więc chytra polityka nie rozdziela, bo będzie źle! Powiédz mi bracie, długo u nas zostaniesz?

— Przybyłem na rozkaz księcia Witołda, ale zaiste wstydby mi było Czechię opuścić, gdybym wpierw nie skrzyżował mojego miecza z mieczem jakiego Niemca. W drodze opowiadano mi, że nowa wyprawa krzyżowa wasz kraj zalewa.

— Prawdę wam powiedziano! Niedawno temu śluzy piekielne znów się podniosły i krocie złych duchów zaczęło się niemi na naszą ziemię wysypywać. Stanęli już u naszych bram, więc pójdziem ich przywitać!... Właśnie jutro wyruszym do Pragi, ztamtąd na cesarza! Jeżli go chcecie zobaczyć, możecie się z nami złączyć.

— Uczynię to z wielką radością, a jeszcze z większą niż ja, pójdzie z wami rycerz Hermann, który wraz ze mną tu przybył, bo ten chciałby się przypomnieć Zygmuntowi.

Żyżka dowiedziawszy się, że ze Spytkiem przyjechało jeszcze dwóch rycerzy, prócz kilkudziesięciu wojowników, ucieszył się tém wielce i tak Siestrzeńca, jak Hermanna serdecznie uściskał. Pierwszego znał oddawna, gdyż ten już nieraz był w Taborze, a co do drugiego, ten mu także nie był całkiem obcy, ponieważ słyszał, że tylko jeden Hermann ocalał z poselstwa Prażan, jadącego do Witołda, które książe na Raciborzu w sposób zdradziecki pochwycił.

— Wy Niemiec? — zapytał go.

— Z mowy... ale duszą wasz!

— Rozumiem... podzielacie nasze zasady i dobrze robicie! Hierarchia gniecie tak dobrze was, jak nas, więc prędzéj lub późniéj musi i wam spaść bielmo z oczu. Pisali mi niedawno z Norymbergii i Moguncyi, że nauka naszego mistrza ma tam już tłumy wyznawców. Jeżeli miłosierny Bóg wesprze was w tych usiłowaniach i ludy niemieckie nawrócą się do Ewangelii, to wtedy zapanuje między nami pokój wieczysty, gdyż jeden drugiego, nie będzie się starał pożreć. Więc wy, rycerzu, macie osobisty obrachunek z cesarzem?

— Zdradził dawną przyjaźń i napadł mnie jak zbój!

— To jego polityka... Teraz zapewne chcielibyście go za to ukarać?

— Przy pierwszéj sposobności wyzwę go na rękę. Dla nas obu niema miejsca na świecie. Jeden drugiemu musi ustąpić!

— Zbyt dobre macie o nim wyobrażenie, rycerzu, jeżli sądzicie, że wam placu dotrzyma! — Żyżka odpowiedział. — On tylko w szrankach lubi się potykać i łatwe zbierać tryumfy, bo w nich nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. W otwartém jednak polu nikomu nie stanie, gdyż zbyt wysoko ceni swoje życie.

— W takim razie przed całym światem nazwę go tchórzem! — Hermann zawołał.

— Zniesie cierpliwie i tę obelgę, jak już zniósł wiele innych.

Gdy Żyżka tych słów domawiał, na placu dał się słyszéć tętent koni galopujących i zaraz zjawiło się kilku jezdnych, a między nimi pieszo, na sznurze, jakiś człowiek wystraszony. Jego odzienie wskazywało, że był księdzem. Głowę miał odkrytą, twarz siną i w kilku miejscach pokaleczoną, wzrok prawie obłąkany. Gdy do dębu orszak się zbliżył, wtedy ten, co był na jego czele, w te słowa do Żyżki przemówił:

— Stosownie do waszego rozkazu, ojcze, wyjechaliśmy na zwiady aż pod obóz cesarski, i przypadkiem udało nam się schwycić Henryka z Kutnohory, tego samego, który płacił za głowy naszych braci.

— Macie go? — Żyżka zapytał, czoło groźnie marszcząc.

— Jest tu, ojcze!

Żyżka powstał, ręce i głowę wzniósł do góry, i tak głośno, że go wszyscy słyszeli, zawołał:

— Dzięki Ci, Boże! żeś mi dał dożyć téj chwili!—Potém do żołnierzy się zwracając, rozkazał, by pojmany do niego się zbliżył. — To ty, Henryk z Kutnohory? — zapytał.

— Ja... ja... ale nie wierzcie tym, którzy wam mówią, żem waszych braci prześladował! Nie! przysięgam na Trójcę przenajświętszą, że to nieprawda! To tylko źli ludzie tak mnie oczernili. Łatwo bym wam na to świadków postawił, że ilekroć mogłem, wstrzymywałem górników od okrucieństw!

— Nie łżyj!

— Przysięgam wam Żyżko, że mówię prawdę!

— Nie bluźń, bo Bóg na ciebie patrzy!

— Wiem o tém i przed jego to obliczem, jeszcze raz przysięgam, żem niewinny. Nie tylko z litości waszych ochraniałem... czyniłem to także przez sympatyą, jaką miałem zawsze dla świętego Jana Husa... Od dawna wiem, że jego nauka jest zbawienna i prawdziwa, a jeżeli do téj chwili nie zostałem jéj jawnym wyznawcą, to li dlatego, że nie miałem sposobności zbliżyć się do was... Wszak wiecie, że Kutnohora jest przepełniona waszymi wrogami... Bałem się, by mnie nie podpatrzyli i na męki nie wydali. Ale dziś, gdy mnie sam Chrystus szczęśliwie do was przyprowadził, z największą radością wyprę się wiary bałwochwalczéj i pójdę za prawdą, którą wy głosicie.

Mówił prędko, jakby się bał spóźnić, lub żeby czego nie zapomniał. Żyżka słuchał go cierpliwie, ale twarz jego robiła się coraz posępniejszą.

— Faryzeuszu! grobie pobielany! i ty śmiesz w ten sposób do mnie przemawiać?! — gniewnie zawołał. — Choć cię nie widzę, ucho moje słyszy dobrze twój głos obłudny, a dusza w każdém twojém słowie odczuwa kłamstwo! Mordowałeś moje dzieci, za głowę zwykłego brata płaciłeś kopę groszy, za księdza pięć kóp, całą jednę studnię wypełniłeś naszemi ciałami, a teraz, gdy ci śmierć w oczy zajrzała, przyszedłeś tu kłamać, aby za podłe odstępstwo głowę swoją uratować?! Faryzeuszu! proś raczéj Boga, by ci grzechy przebaczył i gotuj się na śmierć!

— Litości! litości!— jęknął nieszczęśliwy, na kolana padając.

— Żądasz litości, a miałżeś ją dla naszych braci, dla naszych sióstr i ich dzieci? Faryzeuszu! czy nawet w téj ostatniéj chwili życia nie obleje cię rumieniec wstydu? Czy koniecznie musisz być ta-

kim tchórzem, jakim byłeś okrutnikiem? Nasi bracia, gdyś ich żywcem grzebał lub na stosie palił, ginęli z czołem podniesioném i z świętym psalmem na ustach, a ty nikczemnie żebrzesz łaski i za to, co za prawdę poczytujesz, nie umiesz życia oddać? Weźcie tego obłudnika — niech spłonie!

Ksiądz zerwał się na równe nogi i ku zdziwieniu obecnych dumnie się wyprostował. Śmiertelna bladość, co mu przed chwilą twarz pokrywała, znikła, oko nabrało energii, a głos, gdy mówić zaczął, siły niezwykłéj. Groźnym ruchem podniósł obie ręce, jakby na głowę Żyżki chciał pioruny rzucić i zawołał:

— Przekleństwo ci, ślepcze, przekleństwo! Jak baranek mówisz o braterstwie i miłości, a jesteś dzikim tygrysem, który chrześciańską krew chłepcze! Wydałeś wojnę Bogu i Jego kościołowi świętemu, ale wiedz, że ten Wszechmocny, co cię oślepił, wyda niedługo twoję duszę na wieczne męki! Przekleństwo ci, ślepcze, przekleństwo!

To powiedziawszy, rzucił Żyżce spojrzenie pełne wzgardy, odwrócił się i krokiem śmiałym tam poszedł, gdzie już był dla niego stos przygotowany.

Reszta tego dnia zeszła naszym znajomym na szczegółowém oglądaniu Taboru.

W nocy chwycił silny mróz, niebo się wyiskrzyło, a gdy rano słońce zabłysło, cała góra zamieniła się w jedno wielkie mrowisko.

Kto żył, młodzi i starzy, niewiasty i dzieci, każdy cisnął się od świtu do stołów kamiennych, by z rąk kapłana przyjąć komunią pod dwiema postaciami. Potém zasiedli wszyscy w szopach do wspólnych stołów, a gdy ciało swe pokrzepili, zaczęli przygotowywać się do wymarszu.

Na ulicach i placach pojawiły się tłumy nieprzejrzane; ale choć tłok był wielki, porządek wzorowy wszędzie panował, nikt nie biegł i nikt nie krzyczał. Każdy szedł spokojnie, ten po zbroję, ów po odzież, trzeci po konie lub co innego, a gdy dostał, czego potrzebował, stawał z drugimi w miejscu zbornem i na komendę czekał. Hermann patrząc na ten lud, nie taił przed sobą, że cały Tabor robił na nim wrażenie dobrze uregulowanego zégaru, w którym każde kółko spełniało dokładnie swoję powinność. Niezrównany ten porządek, był téż jedną z sił Taborytów, o czém cesarz i jego przyjaciele dotąd nie wiedzieli. Fanatyzm i organizacya wojskowa, która z chłopa zrobiła żołnierza i przeciwstawiła go szlachcicowi, obwarowania wozami i armaty, któremi rycerskość gardziła, wreszcie geniusz takich wodzów jak Żyżka i Prokop, oto co Czechów wzniosło na szczyt potęgi i sławy.

Daleko było jeszcze do południa, gdy na głównym placu, wypełnionym po brzegi zbrojnym ludem, zjawił się na siwym koniu Jan Żyżka, otoczony walecznymi kapitanami. Dziś wyglądał jeszcze surowiéj. Jeden z kapłanów przystąpił doń i hostyą mu podał. Żyżka zdjął hełm i pełen pokory przyjął komunią. Po dopełnieniu tego aktu, podniósł głowę i rzekł wielkim głosem:

— Koniec świata był już bliski, ponieważ ludzkość zapadała w otchlań grzechów i wszelakich nieprawości, ale miłosierny Bóg ulitował się nad nami i zstąpił między nas, żeby zdruzgotać Antychrysta a ugruntować i wzmocnić królestwo swoje! Nowa epoka przed nami się roztwiera, w królestwie Chrystusowém nie będzie więcéj ani grzechu, ani kłamstwa, ani potwarzy, ani ucisku, ani przemocy, ani zbrodni! Wszyscy będziemy braćmi, gdyż Pan nasz, Jezus Chrystus, miłością świat zbawił i dla tryumfu miłości dał się ukrzyżować! Zły duch pozazdrościł nam jednak szczęśliwości, do któréj dążym, i znów naszą ziemię zalał. Ale my, szermierze prawdy odwieczneéj, nie cofniem się przed jego żelaznèm rycerstwem, i prędzéj zginiemy, niż dopuścimy, by ciemność nad światłem tryumfowała. A więc w imię Ojca, Syna i Ducha, idźmy w bój i do zwycięstwa!

Przestał, i w tejże chwili, na znak dany przez kapitanów, tysiące bębnów, trąb i rogów zawarczało. Zbrojne szeregi padły na kolana, a gdy wrzawa ucichła, z piersi mężczyzn, niewiast i dzieci zabrzmiała pieśń bojowa:

„O! wy żołnierze wszechmocnego Boga,
Jego przykazań obrońcy waleczni,
Idźcie na wroga!“

Zaczął się pochód.

Na przedzie, tuż za Żyżką i Prokopem, którzy razem jechali, postępowało w hełmach i pancerzach stu jezdnych, na koniach wielkich, mocnych, kościstych.

Za nimi, w oddaleniu kilkudziesięciu kroków, szedł oddział brodaczów z samopałami i oszczepami, daléj tysiąc łuczników, a dopiéro za tymi widać było właściwe wojsko Taborytów, nieprzejrzany tłum chłopów z cepami. Straszna ta broń, któréj nauczyli się bać najwaleczniejsi rycerze, acz nią gardzili, utworzyła las gęsty i ponury, w którego cieniu tysiące maszerowały poważnie i spokojnie. W pośrodku toczyły się armaty, za niemi znów było widać chłopów z cepami i łuczników, na końcu zaś drugi oddział złożony ze stu jezdnych zamykał pochód. Gdy wojska z góry się spuściły, wtedy wozy wysokie na osiach żelaznych i mocno zbudowane, jak małe fortece, pełne uzbrojonych kobiet, dzieci i żywności, utworzyły dwie

linie, między któremi poruszała się długa kolumna. Księża byli widni na wszystkich punktach. Jedni szli, drudzy konno jechali, ale żaden z nich nie miał broni.

W miasteczku zostało ledwie kilkuset ludzi, aby w razie potrzeby bronić go od nieprzyjacielskiego napadu. Ci na murach stojąc, smętném spojrzeniem odprowadzali braci i siostry. Gdy lud zbrojny wypłynął na dolinę zasłaną białym śniegiem, wtedy utworzył się z niego gad ciemny, miejscami połyskujący na milę długi, którego głową był ślepy Żyżka. Jechał on milczący, z twarzą ku niebu wzniesioną, pełen wiary i nadziei. Ktokolwiek nań spojrzał, czuł się na duchu wzmocnionym, bo wiedział, że z nim musi zwyciężyć. Gad pełzał powoli ku téj stronie, gdzie Praga leżała, a im był daléj, tém słabiéj dolatywały słowa pieśni bojowéj, śpiewanéj przez czterdzieści tysięcy Taborytów. Za chwilę jakby echo konające było jeszcze słychać tylko okrzyk: *„Idźcie na wroga!“* a potém wszystko skonało......

* *
*

Pod Niemieckim Brodem dwa wielkie wojska stanęły naprzeciw siebie.

Za Sazawą, na któréj szkli się lód, widać miasto warownym murem obwiedzione. Z pośrodka, wysoko ku niebu strzelając, wznoszą się dwie wieże gotyckiego kościoła. Na szczycie jednéj stoi rycerz, wysłany tam przez samego cesarza Zygmunta, który w mieście się znajduje i patrzy na białe pole, gdzie lada chwila zetrą się dwie siły nieprzejednane, Niemcy z Czechami.

Pipa, Florentczyk, sławny *condottiere* krzyżowców, oparł jedno skrzydło swoich wojsk o miasto, drugie o rzekę, a sprawiwszy szeregi, spojrzał na przeciwnika, żeby odkryć jego słabą stronę i w nią uderzyć. Taboryci ustawili się na wzgórzu przeciwległem. Między nimi ślepy Żyżka na koniu, z wszystkich stron widziany i podziwiany, stoi spokojnie, niby orzeł na skale, a choć nieprzyjaciela nie widzi, wié jednak kiedy się rzucić na niego. Kapitanowie co chwila doń podjeżdżają, on raportów słucha i krótkie a stanowcze rozkazy wydaje.

Dzień dzisiejszy pamiętny będzie w dziejach Czechii. Od miesiąca trwają herkulesowe a krwawe zapasy krzyżowców z Taborytami. Przez ten czas walczono tak dobrze przy blasku księżyca, jak w świetle słonecznem, zdobywano i palono miasta, tysiące zginęły od miecza, drugie tyle od zimna i głodu, były chwile, że los Taborytów wisiał już na włosku, Żyżka jednak nie stracił ani wiary w siebie, ani przytomności, i każdym razem rozgromił cesarskich, w koń-

cu, po nadludzkich wysileniach dotarł aż tu, pod mury Niemieckiego Brodu, i dziś chce po raz ostatni z cesarzem się rozprawić.

Zastępy Pipy, acz zdziesiątkowane, dobrze się jeszcze trzymają. Na prawo widać na lotnych koniach, w zbroi pięknéj, nie ciężkiéj, długie szeregi jazdy węgierskiéj; na nią liczy Pipa najwięcéj, boć ona stanowi rdzeń jego armii. W środku stoją wojska biskupów, kurfirsztów, grafów i różnych panów tak morawskich, jak szląskich, którzy dotąd z cesarzem trzymają. Na lewo uszykowali się Szwaby i rycerstwo austryackie, przy nich Włosi, Frankowie, nawet Anglicy ze swemi pocztami. Mimo długich marszów i niewygód, mimo uporczywych walk i ciągłego znoju, rycerstwo wystąpiło w jasnych pancerzach i w hełmach z piórami, gdyż bój dla szlachcica, to największa uroczystość. W promieniach słońca świecą tedy zbroje kosztowne, mienią się różnemi kolorami płaszcze jedwabne, skrzą się głowice mieczów, które dotąd w pochwach spoczywają, lecz za chwilę w rękach zabłysną. Po rzece pędzą jeszcze ci, co się spóźnili, podkowy o lód biją, prawie iskry zeń krzeszą, pióra kołyszą się na dumnych hełmach, a płaszcze na wietrze szeleszczą. Minęli rzekę, wyskoczyli na brzeg, i złączywszy się ze swymi towarzyszami, czekają na komendę.

Stoją i do bitwy się gotują, ale na ich obliczach miasto ufności i zapału, maluje się zwątpienie, w oczach zaś zamiast odwagi widać trwogę. W krwawych zapasach z chłopami czeskimi nauczyli się ich bać, a o sobie zwątpili. Wiary nie wleje w nich, nawet sam cesarz, boć i on nie wié, co mu najbliższa godzina przyniesie. Od miesiąca ścigany przez ślepego wodza, uchodzi z miejsca na miejsce, a jeśli dziś Pipa bitwy nie wygra, będzie musiał uciekać najpierw z Niemieckiego Brodu, potém z Czech.

Na wzgórzu Taboryci utworzyli czworobok, nie bardzo rozległy, za to gęstym ludem nabity i opasali go wkoło swojemi wozami. Te połączone z sobą grubemi łańcuchami, przemieniły się w prawdziwy wał obronny. Na rogach i w tych miejscach, gdzie między wozami są porobione przejścia, widać czarne paszcze armat; przy nich stoją wozy naładowane wielkiemi kamieniami. Takie same wozy znajdują się i w innych punktach czworoboku. Na wozach frontowych pełno mężczyzn i niewiast, uzbrojonych w łuki, kusze, włócznie, miecze, oszczepy, topory; za nimi stoją niezliczone tłumy chłopów z cepami, przy których widać dowódców i księży trzymających w rękach kielichy. Jak w kościele, panuje tu milczenie uroczyste. Każdy okiem chmurném mierzy okazałe rycerstwo, rozwijające się nad rzeką, i niecierpliwie czeka chwili, kiedy bój się zacznie. O! bo i oni w tym miesiącu więcéj wycierpieli, niż dawniéj

przez cały lat dziesiątek. Obdarci i głodni, z odmrożonemi rękami i nogami, radziby jak najprędzej zmierzyć się z Niemcem, by po zwycięstwie odpocząć w ukochanym Taborze. Lecz czy wszyscy tam wrócą? Połowa braci i sióstr padła już w krwawych zapasach połowa dzieci umarła z głodu i zimna, a ile jeszcze dziś legnie na pobojowisku!.... Gdy jednak Bóg tak chce, niech więc Jego imię będzie błogosławione!

Prokop Łysy, prawa ręka Żyżki, objeżdża dokoła czworobok i bystrém okiem śledzi, czy wszystko znajduje się w należytym porządku. Każdy jego rozkaz bracia natychmiast spełniają. W ostatniéj chwili, w kilku nowych punktach ustawił armaty i kapitanom, na przedzie stojącym, wydał cicho jakoweś rozkazy.

Spytek ze swymi przyjaciółmi i żołnierzami znajduje się niedaleko Żyżki. Jerzy ze Stopnicy nasrożył się straszliwie i wąsiska nastrzępił. Kilka dni temu zdobył on na cesarskich cztery wozy, które ma między swojemi, a że wié, iż wynik każdéj bitwy jest wątpliwy, więc wolałby samém spojrzeniem nieprzyjaciela przestraszyć i odpędzić, niż to ryzykować, co mu tak szczęśliwie w ręce wpadło.

Siestrzeniec ma dziś na piersiach wyszyty herb Hermanna, a u jego boku wisi potężny róg bawoli. Z życzliwości dla Niemca, a na prośbę Spytka, postanowił on oddać Hermannowi przyjacielską usługę i wystąpić dziś jako jego herold. Melsztyński porozumiawszy się z nimi, podjechał teraz do Żyżki, i prawdopodobnie o coś go poprosił, skoro ślepy wódz na znak przyzwolenia głową skinął. Siestrzeniec zjechał zaraz z pagórka na dolinę, Spytek zaś i Hermann zatrzymali się przy wozach.

Siestrzeniec zbliżywszy się odważnie do linii nieprzyjacielskiéj, po trzykroć w róg uderzył, a gdy na to hasło kilku niemieckich rycerzy ku niemu podjechało, między nimi znajdował się jeden kurfirszt i dwóch grafów, wtedy on głosem donośnym zawołał:

— Dostojni! oświeceni i szlachetni! Sławny rycerz Hermann, którego siłę i odwagę zdawna podziwiają ludy teutońskie, niedawno książe i pan feudalnego opactwa, które otrzymał od swego przyjaciela, papieża Jana, odarty z mienia, dostojeństwa i władzy, w sposób równie niesprawiedliwy jak zdradziecki, przez cesarza Zygmunta, przybył tu i przez moje usta wzywa tegoż cesarza, by w obliczu dwóch wojsk dowiódł mu orężem w ręku, ażali miał prawo z jego państwa wypędzać go i z wszystkiego ogałacać. Dostojni! oświeceni i szlachetni! Powiedźcie cesarzowi, że niecierpliwie czekać tu będziem na jego przybycie, a gdyby przez bojaźń lub dla jakiegokolwiek innego powodu tego nie uczynił, wtedy nie tylko rycerz Hermann i ja, Mikołaj Kornicz, burgrabia na Będzinie, lecz także wszy-

scy nasi przyjaciele i rycerstwo tam na górze stojące, ogłosim wszem wobec i każdemu z osobna, że cesarz Zygmunt jest nikczemnym tchórzem, niegodnym nosić rycerskie ostrogi!

Gdy Siestrzeniec ostatnich słów domawiał, wtedy z krzykiem i z mieczami dobytemi kilkunastu Niemców wkoło go obskoczyło. Robili miny, jakby go chcieli rozsiekać. Kurfirszt jednak powstrzymał ich od napadu i heroldowi pozwolił spokojnie odjechać. Siestrzeniec cofnął się więc do stóp pagórka, gdzie natychmiast Hermann z nim się złączył. Spytek został na górze.

W szeregach niemieckich było tymczasem widać niezwykły ruch. Wybitniejsi rycerze wyjeżdżali przed front i żywo z sobą rozmawiali, ten i ów śpieszył do nich, by się dowiedzieć co się stało, dość długo odbywała się narada, wreszcie Kurfirszt i kilku grafów puścili się galopem do miasta.

Gdy wielka brama z trzaskiem za niemi się zamknęła, wtedy tak Niemcy jak Czesi wlepili w nią bystre spojrzenia. Ponieważ wszyscy już wiedzieli, że cesarz został wyzwany, przeto jeden drugiego pytał ciekawie, co z tego wyniknie. Przyjmie-li Zygmunt wyzwanie, czy je też odrzuci?

Długa chwila ubiegła, nim brama znów się rozwarła. W niéj ukazał się najprzód jakiś rycerz w zbroi kosztownéj, a dopiéro za nim jechał Kurfirszt z grafami.

Czy to cesarz?

Rycerz miał hełm spuszczony, a pancerz i ubranie lśniące jakby ze srebra. W ręku trzymał długą glewią. Koń pod nim rosły i ciężki, był także wkoło pancerzem osłonięty. Na hełmie u szczytu wznosił się szeroko rozpostarty wachlarz z pawich piór; poniżéj niego opadał mu na ramiona pęk piór strusich, śnieżnéj białości, w pośrodku hełmu widać było złotą koronę, misternie wyrobioną, która nakształt wieńca w koło go obiegała

Czy to cesarz?

Takiéj zbroi nie powstydziłby się Zygmunt, prócz tego rycerz był tak samo rosły jak cesarz, siedział pięknie jak on na koniu i miał koronę na hełmie. Lecz podobne korony nosili czasem także przedstawiciele rodów znakomitszych, którym monarchowie przyznawali prawo królewskie.

Ktoby to więc był? Tak pytali wszyscy ciekawie, lecz nikt nie umiał nic stanowczego odpowiedzieć.

Nieznajomy tymczasem konia pocisnął i kłusem wyjechał na środek pola pomiędzy dwoma wojskami. Hermann uczynił to samo. Zatrzymali się dopiéro na jakie sto kroków jeden od drugiego i przenikliwe źrenice w siebie wlepili.

Od tego jasnego rycerza ponuro odbijał Hermann w swojéj czarnéj zbroi, w hełmie z czarnemi pióry i w czarnym płaszczu, co mu z ramion opadał. Koń jego gryzł wędzidło i prawą nogą grzebał śnieg niecierpliwie. Czas jakiś stali tak nic do siebie nie mówiąc, potém Hermann ręką skinął i małe półkole zakreśliwszy, w tył odjechał. Jego przeciwnik to samo uczynił. Gdy się znów do siebie obrócili, wtedy każdy wyciągnął swoją kopią, pochylił się nad koniem i w bok wbił mu ostrogę. Rumaki w szalonym pędzie k'sobie się rzuciły, śnieg wzbił się do góry i na chwilę zasłonił obu zapaśników, płaszcze za ich plecami podniosły się na kształt żagli rozwiniętych, ziemia zadudniała, a gdy śnieg opadł, dwa wojska ujrzały, jak dwa smoki z ostremi żądłami, jeden biały, drugi czarny, mknęły przez dolinę. Widzowie oddech wstrzymali. Przestrzeń rozdzielająca dwóch zapaśników szybko się zmniejszała, jeszcze kroków kilkanaście.. już... już... nareszcie dopadli się, dał się słyszéć łomot, jakby skała o skałę uderzyła, jasny rycerz trochę w tył się pochylił, a spłoszone konie tak gwałtownie w bok skoczyły, że ledwie o kilkadziesiąt kroków jeźdźcy mogli je zatrzymać. Tam, gdzie się zapaśnicy starli, potrzaskane kopie na śniegu leżały.

Teraz Hermann pierwszy dobył miecza i z okrzykiem: „Bóg moim obrońcą!" rzucił się na przeciwnika. Ten uczynił to samo, i z gwałtownością dwóch piorunów na siebie natarli. Rozpoczęła się walka o krok, nieubłagana, zapamiętała, tym zaś, co z boku stali, zdawało się, że ludzie i konie splotły się w jedną całość nierozdzielną. Każdy usiłował bądź ugodzić przeciwnika w miejsce nieokryte żelazem, bądź z siodła go zrzucić, miecze jak błyskawice padając, obu iskrami obsypywały; Hermann siekł tarczę, którą przeciwnik się zasłonił, ten znów głowę pochyliwszy, bił Hermanna w pierś, chcąc na niéj pancerz zdruzgotać; pokilkakroć odskakiwali, potém rzucali się znów na siebie ze zdwojoną gwałtownością, nawet konie walką roznamiętnione zaczęły kąsać się i bić przedniemi nogami.

Nagle Hermann w tył odskoczył, stanął w strzemionach jak dąb, chwycił miecz oburącz, wzniósł go do góry, pocisnął konia nogami i w szalonym rozpędzie obosieczne żelazo spuścił na głowę przeciwnikowi. Ten się wprawdzie zasłonił, lecz uderzenie było tak straszliwe, iż wytrąciło mu oręż z dłoni omdlewającéj. Nie mniejszy cios dotknął Hermanna. Jego miecz, acz mocny i wypróbowany, nie wytrzymał rozpędu i złamał się u rękojeści.

Teraz Hermann skręcił rumaka i nim przeciwnik zdołał swego konia obrócić, już czarny rycerz przypadł doń z boku, przechylił się, żelaznemi dłońmi chwycił go za bary, podniósł w górę i z konia go

rzucił. Pod ciężarem zbroi stalowéj ziemia jęknęła. Patrzały na to dwa wojska i głośny okrzyk podziwienia wyrwał im się z piersi.

Rycerza z taką siłą nikt dotąd nie widział. Pierwsze wrażenie między cesarskimi prędko jednak minęło, a gdy postrzegli, że pogromca ich szermierza przypatruje się leżącemu, któremu hełm spadł z głowy i w śnieg się potoczył, jakby mu chciał bądź zbroję zabrać, bądź go dobić, wtedy kilkudziesięciu wysunęło się z szeregów i cwałem ku niemu się puściło.

Hermann widząc, że u jego nóg leży nie cesarz, lecz prawdopodobnie któryś z jego przyjaciół, zawołał: „Tchórz Zygmunt! Tchórz!“ i krokiem wolnym ruszył ku pagórkowi. Nie ujechał jeszcze pół drogi, gdy za sobą usłyszał tętent galopujących koni. Obraca się i widzi zdumiony, jak stu jeźdźców, między nimi najwięcéj Węgrów, z dobytemi mieczami pędzą na niego. Co czynić? Stać, czy się cofnąć? Pierwsze byłoby szaleństwem, gdyż nie miał broni, drugie hańbą.

W téj ciężkiéj dla niego chwili nie opuścił go Spytek Melsztynski. Ten krzyknąwszy na Jerzego ze Stopnicy i swoich ludzi, by szli za nim, puścił się wraz z Siestrzeńcem na ich czele, jak huragan spadł na dolinę i nim cesarscy mieli czas otoczyć Hermanna, już im siedział na karkach i siekł bez miłosierdzia. Hermann otrzymawszy oszczep od jednego z polskich łuczników, srogim gniewem za to uniesiony, że cesarscy chcieli go zdradziecko napaść i zamordować, rzucił się jak dzik w środek niaprzyjaciół, a gdziekolwiek uderzył, tam zaraz chłop z konia się walił.

Pipa widząc, że bój wre już na dobre, osądził iż najlepiéj będzie, jeźli natychmiast wyda hasło do ogólnego ataku, zwlaszcza że jego żołnierze spostrzegłszy, iż przed słowiańskiém rycerstwem Węgrzy się cofają, zaczęli bez rozkazu z szeregów wyskakiwać i śpieszyć swoim na pomoc.

Zagrzmiały rogi, zawarczały trąby, i pięćdziesiąt tysięcy rycerzy, z szumem burzy, co drzewa łamie i plon niszczy na polach, puściło się kłusem ku pagórkowi. Strwożona ziemia jęknęła pod nadmiernym ciężarem koni, ludzi i rynsztunków. Wspaniały to był widok, gdy różnobarwne i błyszczące szeregi, zatoczywszy olbrzymie półkole, zbliżały się krokiem dumnym i śmiałym, aby opasać wojsko kacerskie i udusić je w żelaznym uścisku. Gromkie nawoływania: „Naprzód! Naprzód!“ strzelały w niebo, a wiatr niósł je aż do onego rycerza na wieży kościelnej, który ztamtąd miał cesarza przez tubę uwiadamiać, co się za miastem działo. Wojska szły w wielkim porządku, a gdy Spytek i jego towarzysze, na rozkaz Prokopa, który ich przywołał, chwałą okryci na górę wrócili, wtedy na dole prócz

cesarskich więcéj nikogo nie było. Rycerze pędzili z wzrastającym animuszem, ponieważ cichy i nie wielki obóz Taborytów, wydawał im się jakby stado jagniąt strwożonych, gdy je zgłodniałe wilki w koło obskakują. Przejechawszy równinę, zsiedli z koni, jedni dobyli mieczów, drudzy chwycili kopje pod ramię lub nieśli przed sobą łuki napięte, i konie za sobą na uzdach prowadząc, mężnie ruszyli na górę. Fala cesarskich tak była długa i szeroka, że w obec niéj obóz Taborytów, wyglądał jak malutka wysepka, którą woda niewątpliwie zaleje, gdy do niéj raz dopłynie.

Z początku rycerstwo szło szybko i mężnie, lecz w połowie pagórka, jednym zaczęła zbroja ciężyć, drudzy przystawali, by oddechu chwycić, ten i ów, sam nie wiedząc dla czego, obejrzał się ukradkiem, wielu zaś spoglądało na szczyt ze zdziwieniem, niektórzy nawet z trwogą. Bo ów obóz stoi wciąż na jedném miejscu nieporuszony a milczący, nie tyle już podobny do wysepki lotnym piaskiem pokrytéj, co do skały granitowéj, o którą bezsilnie rozbijają się morskie bałwany. Bo owa masa niewyraźna, którą przed chwilą porównywali do strwożonego stada jagniąt, zmieniła się teraz w ich oczach w jednę paszczę działową, wielką, ciemną i groźną, która najstraszniejsza jest wtedy, gdy milczy. Mimo to rycerze, acz wolniéj, wciąż się jeszcze wspinają...

W téj chwili na pagórku artylerzyści z zapalonemi lontami przyskoczyli do armat. Huk straszliwy wstrząsnął powietrze, dym okrył całe wzgórze, a gdy opadł, ci co stali na szczycie, ujrzeli tyle ulic w szeregach cesarskich, ile dział było w obozie Taborytów.

Pipa nie stracił jednak przytomności, i własnym przykładem drugich zachęcając, wspinał się daléj i wołał:

— Zwartym szeregiem! Zwartym! Za wiarę i cesarza naprzód!

Szlachta biegnąc po ciałach zabitych i rannych, zapełniła luki, ale nim jeszcze ramię zetknęło się z ramieniem, już kilkadziesiąt olbrzymich wozów, po wierzch kamieniami napełnionych, runęło na jéj głowy, niosąc śmierć i zniszczenie.

Oniemiał Pipa, oniemieli inni wodzowie, zawahało się całe rycerstwo, a w tejże chwili dał się słyszeć chóralny śpiew na górze i okrzyk:

— Idźcie na wroga!

I oto z błyskawiczną szybkością wysuwają się z za wozów czarne szeregi z podniesionemi w górę cepami, na ich czele widać kapłanów niosących kielichy wysoko, w tyle jedzie Żyżka między dwoma kapitanami, a równocześnie Prokop w szalonym rozpędzie spusz-

cza się na dół z armatami, pod osłoną jezdnych nad rzeką je ustawia i z téj pozycyi zaczyna z boku prażyć cesarskich.

— Żyżka! Żyżka!—przebiegło wzdłuż szeregów, i cała armia stanęła.—Żyżka! Żyżka! odpowiedziało echo od murów miasta odbite, i złowrogi ten okrzyk rycerz z wieży cesarzowi powtórzył. A Żyżka tymczasem, jak orzeł gdy po zdobycz leci, spada na cesarskich i wołając: „Bij Niemca!“ rzuca na nich swoje straszne zastępy. Zaszumiały cepy, piekielny huk ogłuszył ziemię i niebo. Łamią się kopie i miecze, kruszą pancerze, pękają hełmy, jak dęby żelazne walą się rycerze, ci jęczą, tamci litości żebrzą, inni złorzeczą, ten i ów chcąc dokoła siebie skupić rozproszonych krzyczy w niebogłosy, przerażone konie z rozwianemi grzywami, okryte pianą zakrwawioną, pędzą przez środek szeregów i popłoch zwiększają, robi się zamęt, wszystko miesza się chaotycznie, nikt nie wie co czynić, ani czy się bronić ani kędy uciekać. Trwoga jak w dniu sądu ostatecznego ogarnęła serca. A Taboryci niby kosarze idą wciąż w zwartym szeregu i przed sobą gęste kładą pokosy.

— Żyżka! Żyżka!—brzmi znowu okrzyk, śmierć zwiastujący, szeregi Taborytów mnożą się, jakby z pod ziemi wyskakiwały, ich wozy co dotąd na górze stały, na dół zjeżdżają, zapał bez granic ogarnia niewiasty i dzieci, wszystko ściga uciekających, a kogo nie dosięgnie ani cep ani strzała, tego pewnie dopędzi kula przez Prokopa rzucona.

— Za mną! Za mną!—krzyczy Pipa i co koń wyskoczy puszcza się ku rzece. Na jego głos kto może dopada swego rumaka i ci bez hełmów, tamci bez tarcz i z połamanemi mieczami, a wszyscy wystraszeni mkną ku Sazawie. Prokop przypuszcza ich na kilkadziesiąt kroków, działa grzmią, setki walą się na ziemię. Spytek i Hermann na czele jeźdźców tak polskich jak czeskich, uderzają w sam środek uciekających, nowe trupy z koni spadają, lecz cesarskich już taki strach ogarnął, że żaden się z nich nie broni, a każdy tylko ucieka. Kilka tysięcy wtłoczyło się na lód, za chwilę będą na brzegu przeciwległym. Widzi to Prokop, przyskakuje do swoich artylerzystów i woła:

— W lód! W lód!

Schyliły się paszcze armat, na panewkach błysło, z hukiem wypadły kule i pourywawszy nogi koniom, na szklącym lodzie głębokie bruzdy wyorały. Lód na samym środku rzeki zaczyna trzeszczéć, między rycerstwem robi się szalony popłoch, jeden drugiego najeżdża, bo każdy chce być pierwszy, konie padają, nareszcie z hukiem jakby znów działa grzmiały, rzeka pękła, jedni zapadają się w zimną otchłań, drudzy czepiają się lodu, lecz ten dalej się załamuje, głosy

rozpaczliwe z rżeniem koni zmieszane trwogę powiększają, jedni znikęli już w głębi, drudzy na nich stają i jeszcze usiłują wydostać się z topieli, setki ciał piętrzą się i kłębią, lód tymczasem załamuje się coraz daléj, czeskie armaty znów ogniem zioną, a z boku słychać okrzyk straszliwy:

— Żyżka! Żyżka!

I spełnił się wyrok Boży.

Z kilkunastu tysięcy pięknych rycerzy na rzece ledwie garść ocalała, tam zaś, na równinie, gdzie niedawno żelazne stały szeregi, widać gęste ciała tak ludzi jak koni i czarne zastępy Taborytów rozbijające cepami ostatnie kupy broniącego się dotąd rycerstwa. Łucznicy wpadli tymczasem na wozy cesarskie co pod miastem stały, i zabrali je z wielkiemi skarbami. Do miasta schroniły się tylko niedobitki.

A kiedy Żyżka na pobojowisku, zdjąwszy hełm, najpierw Bogu za zwycięstwo podziękował, potém odmówił głośno modlitwę za umarłych, w tym czasie rycerz z wieży miejskiéj, rzekł głucho do cesarza:

— Wszystko skończone!

Józef Rogosz.





Anna z Krajewskich Nakwaska.

Do rzędu kobiet, które w pierwszéj połowie naszego stulecia wybitniejszą odegrały rolę, należy niewątpliwie i Anna Nakwaska. Nie odziana tym urokiem co wysokiego rodu i wyższéj jeszcze duszy autorka Malwiny, mniéj zasłużona niż skrzętna o dobro młodszych pokoleń Tańska, występuje ona jako ich spółczesna i to z odrębną, właściwą sobie fizyognomią, a choć nieposledniemi zdolnościami obdarzona, ciekawsza jeszcze może niż autorka jako okaz pewnego typu kobiecego swojéj epoki.

Nie możemy się skarżyć na brak źródeł do opisania jéj życia i poznania jéj osobistości; jest ich tyle, że wystarczyłoby to do skréślenia niejednéj postaci nieporównanie znakomitszéj w naszéj literaturze. Oprócz niektórych wiadomości, pochodzących od innych osób, posiadamy jéj własne wspomnienia czyli pamiętniki, wprawdzie do pewnego tylko czasu sięgające, i znaczny zbiór listów z lat 1806 do 1816, przechowany obecnie w Muzeum archeologiczném uniwersytetu krakowskiego, a stanowiący część bardzo obfitéj korespondencyi, jaką Nakwaska ze swoją ukochaną siostrą Teresą Rastawiecką przez lat 30 prowadziła.

Moglibyśmy przeto dużo miejsca zapełnić jéj biografią. Ale będziemy się starać o możliwą treściwość i pomijając, co się ściśle do naszéj autorki nie odnosi, co się z dziejami jéj życia i umysłowego rozwoju nie łączy, będziemy wybierać te tylko wiadomości i daty, które mogą rzucić światło na jéj osobistość, czy to w charakterze kobiéty-Polki z epoki nader ciekawéj, czy to w charakterze autorki.

I.

Anna Krajewska urodziła stę 1781 r. w Warszawie, gdzie ojciec jéj, jako wysoki urzędnik w Komisyi skarbu, jako instygator koronny, stale przemieszkiwał. Tutaj, w tém mieście zawsze przez nią serdecznie kochaném i będącém późniéj widownią, na któréj w różnych rolach ale z niemałém zwykle powodzeniem występowała, odebrała pierwsze wrażenia życia, pierwsze wychowanie i wykształcenie. Bardzo wcześnie jednak zaczęła również poznawać życie wiejskie, życie szlacheckich dworów i magnackich na prowincyi pałaców razem z urokami natury, które na bruku miejskim nie istnieją. Co lato „ogromna poczwórna karoca“ wspólnie z resztą rodziny zawoziła ją daleko od Warszawy, do Gołębia, leżącego w Lubelskiém między Wieprzem a Puławami, który nie był dziedziczną własnością jéj ojca ale starostwem, dołączonem niegdyś do posagu matki przez króla Stanisława Poniatowskiego. Była to okolica samemi prawie siedzibami magnackiemi zasiana. W najbliższém sąsiedztwie Gołębia leżały Puławy Czartoryskich, Lubomirskiego Opole, Mniszchów Dęblin, Celejów Sewerynowéj Potockiéj i Kurów Ignacego Potockiego. Pańska atmosfera i najwyższe salonowe wykształcenie panowały przeważnie w téj okolicy, któréj z innéj strony dodawało znów pewnego uroku i to, że w niéj stale przemieszkiwał Kniaźnin, a nieraz do niéj zaglądał Niemcewicz.

Rodzina Krajewskich nie liczyła się do najwyższéj arystokracyi, należała jednak do tych wyższych rodów szlacheckich, które z magnateryą czy to przez pewne koligacye, czy przez stosunki przyjacielskie często się stykają. Marszałek Mniszech z sąsiedniego Dęblina nieraz rodziców Anny w Gołębiu odwiedzał, a ks. Aleksander Lubomirski z Opola „ścisłą przyjaźnią“ z jéj ojcem był złączony. Łatwo się domyślić, że i cały tryb życia na dworze Gołębskim i w domu Krajewskich w Warszawie był także do tonu panującego w ówczesném wyższém towarzystwie zastosowany, i że przeważną jego cechą była przemożna wówczas w wykształceniu, w zwyczajach i w sposobie bycia francuszczyzna. Ojciec Anny, więcéj dawnego kroju „Sarmata“, wychowany u Teatynów i w palestrze, nie bardzo chętnie do tych modnych wyobrażeń i obyczajów się skłaniał, ale za to matka całą duszą była im oddana i po za francuskim językiem, francuską literaturą i edukacyą nic więcéj w świecie nie widziała. Ten drugi wpływ zwyciężył niestety! i chociaż ojciec upominał: „Nie każ też wacpani tyle téj francuszczyzny nąszych dziewcząt uczyć“, skończyło się na tém, że „córkom ani słowa po polsku z so-

bą mówić nie było wolno“ i że „zaledwie pacierza i katechizmu początki po polsku się nauczyły.“ Literatura francuska za to kwitnęła w najlepsze w domu pani instygatorowéj i całe młodsze pokolenie, składające się z dwóch córek i syna, rozczytywało się bardzo pilnie w klasykach francuskich i chociaż niewątpliwie nie zawsze dobrze ich rozumiało, unosiło się nad nimi pod przewodnictwem zagorzałéj matki i guwernantki francuskiéj.

Wiele zajmujących scen, wiele ważnych wydarzeń przesunęło się przed oczami młodziutkiéj Anny, obdarzonéj z natury umysłem bystrym i spostrzegawczym, „od dzieciństwa (jak się sama wyraża) usposobionéj do uważania i zapisywania w wspomnieniu swojém tak ważnych jako i drobnych codziennego życia wypadków.“ Widziała sejm wielki, powstanie Kościuszki, w którém znacznie starszy jéj brat Stanisław zginął pod Krupczycami, widziała wreszcie w końcu XVIII stulecia zupełną zmianę stosunków, od szczytu do fundamentów, w tym kraju, w którym się urodziła. Wskutek tych przeobrażeń rodzinne jéj miasto, Warszawa, dostało się pod panowanie Prus. Niedługo potém osiemnastoletnia Anna wyszła za mąż (1799 r.) za starszego od niéj o dziesięć lat Franciszka Nakwaskiego, zacnego i wykształconego obywatela.

Życie młodym małżonkom upływało naprzemian to na wsi, we własnym majątku, to w Warszawie. Któż nie zna, jaką wówczas, za tak zwanych „czasów pruskich“ była Warszawa? Rozległy handel zbożem, jaki się wtenczas otwarł zagranicę, wielka mnogość kapitałów, które z obcych stron do stolicy napływały, zrodziły powszechny dobrobyt, a za nim poszła nieograniczona, do szału dochodząca chęć używania. Jak gdyby nigdy nie było kataklizmu, przez który kraj dopiéro co przeszedł, z niepojętą lekkomyślnością, z zadziwiającém zapomnieniem bawiono się i hulano na wszelki możliwy sposób i pod sławną „Blachą“ u pani Vauban, i w kasynie pana Ledoux, i na publicznych redutach i na balach i obiadach po prywatnych domach. Jedyném zajęciem wówczas był handel i zabawy, ludzie ówcześni „tylko smacznie jeść, ochoczo tańczyć, obcym językiem z sobą rozmawiać i w karty grać umieli.“ Kiedy w urzędach i w szkołach rozlegał się obowiązkowy język niemiecki, w towarzystwach nadających ton miastu, po staremu panowała francuszczyzna, odziedziczona po minioném stuleciu, a wzmocniona obecnie napływem emigrantów francuskich, szukających tu przed rewolucyą schronienia, i chwilowym pobytem królewskiego dworu Ludwika XVIII. Teatr polski, który Bogusławski z całém wysileniem, jako ostatni jeszcze przybytek narodowéj mowy, utrzymać się starał, był dla tego towarzystwa *„de mauvais goût“*, uczęszczanie do

niego nazywało się *„patriotisme d'antichambre“*, ale równocześnie potomkowie niedawnych hetmanów i wojewodów, ubolewając nad tém, że nie mają u siebie fracuskich aktorów, zawiązywali się w domu pani Vauban w amatorskie towarzystwo do odgrywania sztuk francuskich.

Nakwaska należała do tego wielkiego świata i do jego zabaw. Bywała pod Blachą, jako jedna z kapłanek Dziodzilii, skakała wraz z innemi „w greckich lekkich szatach“ w żywym obrazie wyobrażającym zaślubiny Mieczysława z Dąbrówką, a przedstawionym w teatrze oranżeryi w Łazienkach na imieniny pani Stanisławowéj Potockiéj, i jak łatwo pojąć, sama przesiąknięta francuszczyzną, zwyczajami tego świata się nie gorszyła, i jeżeli co ją w nim raziło, to jedynie zła francuska wymowa niektórych amatorów-Polaków w teatrze pani Vauban. Zdaje się jednak, że mąż jéj nie podzielał tych wyobrażeń, bo jemu przypisują wpływ na pewną zmianę, jaka w tym czasie w Nakwaskiéj zaszła, tę zwłaszcza, że dotąd nie umiejąca napisać listu, ani kilku słów grzecznych po polsku do kogo powiedzićć, znaczne postępy w języku ojczystym uczyniła. Około tego czasu bywała ona często także w domu Sołtyków, z którymi przez męża była spokrewnioną, i tam „słyszała przy obiedzie uczonego Dmochowskiego, tłómacza Iliady, dowcipnego Osińskiego, który już wtedy niektóre arcydzieła tragików francuskich trafnie przepolszczył i czcigodnego Kopczyńskiego.“ Może w tém towarzystwie po raz pierwszy dowiedziała się, że istnieje także jakaś literatura polska, że są jacyś polscy autorowie i literaci, którzy i wiersze polskie i gramatyki piszą. Dość, że to otarcie się o świat uczony polski nauczyło ją pewnego szacunku dla ojczystego języka i pewnego do niego przywiązania, nie w tym stopniu jednak, ażeby język francuski, tak jak dawniéj, nie pozostał jéj ulubionym i potocznym językiem.

Przy samym końcu tych „czasów pruskich“ zaszedł wypadek dosyć ważny w życiu Nakwaskiéj. W styczniu 1806 r. może po raz pierwszy rozłączyła się ze swoją siostrą Teresą. Rozdział ten był na czas dłuższy, bo nastąpił zapewne wskutek wyjścia za mąż Teresy za Ludwika barona Rastawieckiego i rozłączał siostry daleko od siebie, bo kiedy Anna pozostawała w Warszawie, siostra jéj przenosiła się w odległe szczególnie na owe czasy strony, bo w okolice Zamościa do Nowosiołek. Jak się to nieraz zdarza, obie siostry łączyła gorąca, aż do pewnego idealnego sentymentu podniesiona miłość. To pewna, że Nakwaska nikogo więcéj od siostry wtenczas nie kochała. Syn jéj Henryk ur. 1800 był jeszcze zbyt młody, ażeby w nim znalazła serdecznego towarzystwa, stosunek jéj z mężem, chociaż to zaledwie siódmy rok upływał jak się pobrali, zdaje się

był więcéj na szacunku niżeli na gorącéj miłości ugruntowany,— zupełnie w guście owego wieku, który w małżeństwie poprzestawał na konwencyonalnéj przyzwoitości i wielkich afektów nie wymagał. Przez odjazd siostry uczuła się zatém Nakwaska bardzo osamotnioną i pozbawioną najmilszéj towarzyszki i powiernicy wszystkich uczuć i myśli. Możemy sobie wyobrazić, że pożegnanie obu sióstr było bardzo łzawe, a do pewnego stopnia nawet melodramatyczne, że ubolewały nad swoim losem, że przysięgały sobie wieczną miłość i pamięć, i przyrzekały, że choć ciałem od siebie rozłączone, duszą ciągle żyć z sobą będą. Niewątpliwie postanowiły jak najczęściéj pisywać do siebie, a Nakwaska musiała nawet obiecać, że będzie spisywać dziennik czy pamiętnik, w którym donosić będzie siostrze o wszystkiém co jéj tylko dotyczyć może, co będzie robić, co będzie myśléć każdéj niemal chwili, i co się będzie działo w tym świecie, w którym się obracała.

Taki musiał być początek téj obfitéj korespondencyi Nakwaskiéj do siostry, o któréj powyżéj wspomnieliśmy, a która, jak dodać musimy, z wyjątkiem czasem niektórych ustępów, ciągle po francusku była prowadzona. Pierwszy zaraz list, pisany na drugi dzień po rozłączeniu się, zaczyna się z pewnym patetycznym nastrojem, w którym czuć świeże wspomnienia nieprzebrzmiałych jeszcze wzruszeń: „Zaczynam mój dziennik dzisiaj rano, kochana Tereso i strzedz się w nim będę daremnych narzekań, bo takie już nasze przeznaczenie kochać się i pisać do siebie zawsze. Trzeba się temu poddać i miéć nadzieję, iż przyjdzie kiedyś czas, że połączymy się z sobą tam, gdzie już nie ma rozłączenia i gdzie wieki gubią się w niezmierzonéj wieczności. Jedyna to nadzieja, która mię utrzymuje, i tylko myśląc o przyszłości, spodziewam się jeszcze jakiegoś promyka szczęścia; obecność dręczy mię albo nudzi, a przeszłość tak mało ma przyjemnych wspomnień. Nie potrzebuję ci mówić, że myślałam tylko o naszych podróżnych przez cały dzień wczorajszy.“

By nie naprowadzać czytelnika na błędne wyobrażenia, pośpieszamy co rychléj dodać, że pierwszy to i ostatni raz takim sentymentalno-patetycznym tonem pani Nakwaska w korespondencyi swojéj się odzywa. Podobna nuta nie zgadzała się z jéj wesołym temperamentem i z jéj energicznêm i żywém usposobieniem. Niedługo téż, w tym samym jeszcze liście, jak gdyby nigdy nie była pisała o téj nadziei pozagrobowéj, o tym czasie, „który je złączy tam, gdzie nie ma rozłączenia i gdzie wieki gubią się w bezmiarach wieczności“, przerzuca się nagle, z elastycznością umysłu właściwą szczególnie kobietom, do rzeczy i spraw życia potocznego, przesyła wiadomości o balach, teatrze, redutach, obiadach i piknikach, do-

nosi siostrze, jakie są najświeższe mody i o tém, że pod Blachą „jak szalona“ tańczyła.

W tym tonie pisana jest cała jéj korespondencya. Donosi jéj o sobie wszystko, co myśli że ją ująć może, a czasem także o innych, co ciekawsze i bardziéj intrygujące salonowe wieści; zwierza się przed nią ze swych projektów, myśli i uczuć z całą szczerością i zaufaniem, nie myśląc wcale o tém, żeby kiedyś ktoś inny oprócz jéj siostry mógł jéj listy odczytywać. Interesa rodzinne, kłopoty gospodarskie i finansowe, późniéj odukacya syna nie mało w téj korespondencyi zabierają miejsca. Siebie samę, jako kobietę i damę z wyższego świata, z charakterem właściwym początkom naszego wieku, wybornie Nakwaska w swoich listach nakreśliła, ale i historyk wydarzeń politycznych znajdzie w nich także niemało materyału w tych rysach drobnych i anegdotycznych, w tych zapiskach pod wrażeniem pierwszéj chwili na papier rzuconych, które są tak doskonałym komentarzem i ilustracyą poważnéj historyi, i niektóre lepiéj nieraz niż urzędowe opisy malują ludzi i wypadki. Korespondencya Nakwaskiéj z siostrą wypadła w czasach nadzwyczaj ciekawych; dość powiedziéć, że obejmuje ona epokę, w któréj potęga Napoleona doszla do zenitu i stoczyła się w przepaść, a równocześnie te lata, w których jakby w grze hazardowéj, raz z zyskiem, drugi raz ze stratą, ale zawsze wśród wzruszeń i niepokojów bez końca, rozgrywały się tyle razy losy naszego kraju. Nakwaska i o tych politycznych wydarzeniach pilnie donosi swéj siostrze, a to, co jéj pisze, jest zawsze prawdziwe i wiarogodne, bo nasza korespondentka była kobietą rozumną, która pragnęła dobrze poinformować swych krewnych o wypadkach, mogących miéć wpływ na ich los obecny i przyszły, która nie powtarzala pierwszéj lepszéj plotki z ulicy lub salonu, ale posyłała wiadomości niewątpliwe, zaczerpnięte z najpewniejszego, urzędowego źródla albo z własnego widzenia.

Upadek pruskiéj potęgi pod Jena i wejście Francuzów do Warszawy (1806 r.) przeistoczyło nagle tamtejsze towarzystwo. Był to niby silny grom. który ocucił wszystkich z dziesięcioletniego odurzenia i letargu. Z otwierającemi się niespodziewanie nadziejami nowe uczucia i myśli owładnęły całém społeczeństwem; jakby za skinieniem czarodziejskiéj różczki zniknęły dawna lekkomyślność i epikurejski sybarytyzm. „Trefnisie i dramatyczni aktorowie (jak się wyraża o téj przemianie Nakwaska w swoich *Wspomnieniach*), zrzuciwszy przyjacielski mundur, dosiedli w oka mgnieniu koni i przypięli dawne znaki.“

To przebudzenie się rycerskiego ducha nie usunęło jednakże na bok ani festynów, ani zabaw i balów—owszem stały się one teraz jeszcze świetniejsze, bo im towarzyszyły urok zwycięstwa i sławy i nadzieją podniecone patryotyczne uczucie. Marszałkowie i generałowie Napoleońscy i królowie z jego ramienia po większéj części ludzie nie przeszli jeszcze przez granicę młodości, święcili w Warszawie swoje gody zwycięzców a miejscowi mieszkańscy raczyli ich nawzajem i przyjmowali całém sercem. Że kobiety ważną przy tém odgrywały rolę, o tém podobno nie trzeba przypominać; że Nakwaska, która jeszcze za pruskich czasów tańczyła do upadłego i dla zabaw i strojów „zadłużała się po uszy," i teraz nie zalegała pola, tego się łatwo domyślić. Kiedy w trzydzieści lat późniéj zbierała w swojéj pamięci wspomnienia z owych czasów, czuć z jak rzewném utęsknieniem i pewnego rodzaju dumą zwracała się myślą ku owym niezapomnianym chwilom. Bo też nie każda mogła mieć podobne wspomnienia jak ona, która na pierwszym balu wyprawionym na zamku dla Murata tańczyła kontredansa, nie umiejąc go jak wszystkie jeszcze wówczas Polki, z księciem Borghese mężem pięknéj Pauliny siostry Napoleona; która późniéj przy przedstawieniu dam w sali obrazów na zamku stała obok pani Walewskiéj w chwili, kiedy Napoleon nagle się przed niemi zatrzymał i zawołał: „*Oh, qu'il y a de jolies femmes à Varsovie*!"; albo która jeszcze późniéj, na jednym z balów u Murata, siedząc z sześciu innemi kobietami przy małym stoliku u wieczerzy „miała zaszczyt ujrzéć siadającego obok siebie Wielkiego Napoleona." Trzeba się przenieść myślą w owe czasy, przypomniéć sobie jaki niezrównany urok cesarz Francuzów na tamtoczesnych ludzi wywierał, aby zrozumiéć, jakiego znaczenia nawet tak drobne wypadki przez jego osobę nabierały i jaką wagę miało każde zbliżenie się do niego. Nic dziwnego, że i Nakwaska była tym blaskiem olśniona, i że mogła jeszcze w trzydzieści kilka lat późniéj powiedzieć: „Zbliżenie się do wielkiego człowieka na zawsze przyjemne wspomnienie w mojéj, jako i zapewne towarzyszek moich pamięci zostawiło."

Po ustanowieniu księstwa Warszawskiego to życie rozochocone długo nie ustawało, i Nakwaska często musiała zdawać sprawę siostrze z tych „wieczystych festynów" i z tego życia „zabójczego dla zdrowia i kieszeni". Wprawdzie nowy dwór króla Saskiego nie wiele się do podniecenia tych zabaw i dodania świetności przyczynił, bo jak się Nakwaska nieraz uskarża, był nudny i monotonny, ale pod Blachą, u marszałka Davousta i po różnych arystokratycznych domach prześcigano się w przepychu i w wynajdowaniu czegoś nowego i tak że naprzykład po festynie danym na urodziny księcia Jó-

zefa przez panią Tyszkiewiczową wszyscy Francuzi zgodnie oświadczyli, że „i we Francyi i w Paryżu nie widzieli nic tak pięknego.“ Była to najwyższa zapewne pochwała, jaką można było oddać gustowi i elegancyi wielkiego świata Warszawskiego. Nakwaskich zajmowały także w tym czasie i poważniejsze myśli. Pan Franciszek od czasu ustanowienia nowego porządku wszedł do służby publicznéj i starał się o posunięcie w niéj wyżéj. Potrzebne mu to było nie tylko dla honoru ale i dla materyalnéj korzyści. Handel zbożem niedawno jeszcze tak ożywiony, wskutek zmiany stosunków politycznych upadł prawie zupełnie; majątki przynosiły bardzo małe i niepewne dochody; utrzymanie armii francuskiéj, tworzenie własnego wojska i rozmaite kontrybucye pochłaniały ogromne sumy i wyniszczały kraj. Wszędzie dawało się uczuwać niezadowolnienie i słychać było skargi na nędzę i nieład. Jak inni tak i Nakwascy odczuwali ten przykry stan rzeczy, zwłaszcza że i długów dawniejszych mieli dosyć. Jakiś czas spodziewali się zażegnać to przesilenie sprzedaniem pewnéj części majątku, mianowicie Lipin; skończyło się jednak tylko na korzystném ich wydzierżawieniu. Jakaś wyższa pensya od rządu wielceby im więc wygodziła, ale trudności były niemałe, bo podobnych kandydatów nie brakło; tylko drogą intrygi można było dojść do czegoś „a kto gruntownie nie posiada téj umiejętności (skarżyła się Nakwaska przed siostrą), nic tu nigdy mieć nie będzie i nic nie otrzyma.“

Z początkiem roku 1809 zanosiło się na wojnę z Austryą. Ta „przeklęta wojna“ niemało zatrwożyła Nakwaską z tego szczególnie powodu, że nie pozwoliłaby jéj odwiedzić siostry w Nowosiołkach, jak sobie to już przez całą zimę układała. Jakoż gdy wojna w istocie wybuchła; musieli pozostać w Warszawie, a na Nakwaskiego, który wtenczas był konsyliarzem prefektury, zwalił się ogromny ciężar najrozmaitszych trudów i zajęć. „Bywają czasy (pisze Nakwaska), gdzie ani w dzień ani w nocy nie ma odpoczynku i ja z nim; już mi się szczerze ta sytuacya przykrzy. Wiem, żebym mogła chociaż z trudnością do was jechać, ale czyż mogę go opuścić. O tém myśléć nawet nie wypada. Teraz go porzucać byłoby to okrucieństwem“. Niepokojona zmiennemi losami téj wojny jedynie w listach tylko mogła się pocieszać nadzieją, że kiedyś z ukochaną siostrą się zobaczy: „Ach, Tereniu, kiedyż się zobaczymy, kiedy będziemy mogły śmiać się albo płakać razem, kiedy wszystkie te troski, niepokoje i niepewności ustaną? Żyjemy tylko przyszłością, a tu przyszłość coraz bardziéj się od nas oddala i nie zapowiada nam nic prócz mgieł i chmur.. kiedyż to wszystko się rozjaśni?“ Tymczasem, oczekując téj lepszéj przyszłości dopomagała mężowi w jego pracy i to wcale

nie na żarty. Jéj biegłość w języku francuskim i zdolność pisarska, która się już w jéj korespondencyi pokazuje, uczyniły ją bardzo pożyteczną w kancelaryi męża. Odczytywała papiery urzędowe, poprawiała styl francuski, a nawet redagowała sama i to w nie lada jakich sprawach. Kiedy jéj mąż po ukończonéj szczęśliwie wojnie witał uroczystą przemową wojsko powracające pod księciem Józefem do Warszawy, Nakwaska donosiła późniéj „pod sekretem" siostrze, która tę przemowę w gazetach czytać musiała, że to jéj było „dzieło od początku do końca." Przy takiéj więc sposobności i w tak niezwykłéj dla kobiety literackiéj formie wystąpiła ona, choć pod osłoną drugiéj osoby, po raz pierwszy na widownię publiczną, nie przeczuwając wtedy jeszcze zapewne, że kiedyś w ściślejsze wejdzie z literaturą stosunki.

Trudy i kłopoty poniesione przez Nakwaskich podczas téj wojny, która z chlubą i z powiększeniem obszaru dla księstwa Warszawskiego się skończyła, nie pozostały bez nagrody. Panu Franciszkowi podwyższono pensyą do wysokości 12 tys. złot. Była to już pensya prefekta, chociaż prefektura, która jak widać była gorącym celem jego życzeń, jeszcze tym razem go ominęła. Robiono nawet zabiegi, ażeby go nakłonić do wyrzeczenia się pretensyi do tego miejsca na korzyść zapewne kandydata, który przyjemniejszym był ministrowi, tak że Nakwaska mocno wątpiła, czy mąż kiedy tę prefekturę dostanie, „nie mając za sobą prawie nikogo oprócz króla." Tymczasem powiększenie pensyi bardzo się im przydało, bo interesa finansowe w tych ciężkich czasach stały wcale nie świetnie. „Nasze Lipiny (wydzierżawione niedawno) ledwie wystarczą na opłacenie podatków, a przecież mamy z nich 20 tys. złotych w brzęczącéj monecie. Z Małéj Wsi, gdzie mieliśmy przepyszne zboże, nie sprzedaliśmy ani jednego korca. Tak więc jesteśmy zmuszeni żyć i utrzymywać się tylko z pensyi." W opinii publicznéj i w znaczeniu towarzyskiém państwo Nakwascy w tym czasie również się także podnieśli bezwątpienia w skutek położonych zasług i okazanych zdolności ze strony męża i rozwinięcia towarzyskich przymiotów i właściwéj sobie energii, jakie Nakwaska miała sposobność w tych burzliwych i ruchliwych chwilach pokazać. Zaczęła ona być wtedy osobą znaczącą w wielkim świecie warszawskim, a szczególnie między piękną jego połową, która dopiero teraz nauczyła się cenić jéj przymioty i talenta.

„Czy wiesz, moja droga (pisze do siostry w końcu 1809 r.), że należę teraz do towarzystwa elegantek, mamy kolacye prawie codzień u gubernatora, u Bronikowskiéj, u księcia Jabłonowskiego, u pani Stasiowéj." Nakwaska wiedziała bardzo dobrze, że to urośnięcie w opinii zawdzięczała przychylnemu uśmiechowi, jakim ich for-

tuna w tych czasach obdarzyła, dlatego nie bardzo zachwycała się temi oznakami nagłéj przyjaźni i z pewną ironią pisała o nich daléj do siostry: „Przebywam więc teraz ciągle w gronie elegantek, które mię nie bawią, ale które utrzymują, że ja je bardzo bawię, i które na jeden raz odkryły we mnie dowcip, chociaż mię znają od dzieciństwa.“

Ta popularność i salonowa sława Nakwaskiéj urosła jeszcze bardziéj, kiedy w styczniu 1810 jéj mąż pomimo wielu przeciwności i intryg został nakoniec mianowany prefektem. Odtąd stawała się i ona niejako „z urzędu“ jednym z najgłówniejszych puntków środkowych towarzyskiego życia, a dzięki swoim naturalnym przymiotom stała się osobistością wziętą i modną, osobistością o którą się ubiegano i wszędzie widziano z przyjemnością. Młoda, w tym najefektowniejszym jeśli nie najpiękniejszym wieku kobiecym, w trzydziestu latach, urody niezwykłéj i imponującéj postawą i wzrokiem, wykształcona o ile nią mogła być kobieta w owéj epoce, bystrego umysłu i dowcipu gotowego zawsze utrzymać na wodzy każdego przeciwnika, nieutrudzona i energiczna zarówno w zabawach jak i w poważném zajęciu, należała Nakwaska do liczby tych szczęśliwych istot, które mogą, umieją, i mają sił podostatkiem do zakosztowania wszelakich przyjemności życia i do wyrobienia sobie w życiu towarzyskiém wybitnego stanowiska. Jeżeli dawniéj, jeszcze za czasów Pruskich albo późniéj w pierwszych latach księstwa Warszawskiego nie spoczęła jednéj chwili na balu, nie opuściła żadnéj zabawy i rozrywki, to teraz kiedy jéj urok towarzyski i osobisty urosł, kiedy jako żona wysokiego urzędnika stała się figurą znaczącą, z tym większym zapałem i ochotą rzuciła się w wir tak częstych wówczas i do szału nieraz posuniętych uciech. „Moja droga (donosi o sobie w tych czasach siostrze) rozwinęłam niesłychaną czynność, bywam na balach, na redutach, wszędzie gdzie się bawią, bo panią prefektową rozrywają sobie wszyscy i zajmują na wszystkie sposoby.“

Jest w tych słowach zapewne pewna doza kobiecéj próżności zadowolnionéj z tryumfów odnoszonych i odbieranych hołdów, a taka próżność może zaprowadzić częstokroć młodą kobietę daléj niźli na to pozwalają moralność i przyzwoitość towarzyska. Ówczesna epoka tak pobłażliwie spoglądała na galanteryą ze strony mężczyzn i na kokieteryą ze strony kobiét; stosunki miłosne i romanse wszelkiego rodzaju, nawet z pewną przymieszką skandalu, należały w niéj do rzeczy będących na porządku dziennym; dokoła owczesnych dam roiło się tylu młodych, dorodnych i walecznych polskich i francuskich oficerów—tak że widząc Nakwaską w samym wirze tego sza-

lonego życia, które zaślepiało swym blaskiem i blichtrem najzdrowsze oczy, a ciepło krwi do gorączkowéj podnosiło temperatury, możnaby się zapytać, czy ona nie była z liczby tych, co się dały zaślepić i unieść zadaleko rozdrażnionym nerwom?... To pewna, że nie wyszła całkiem bez skazy z pośrodku tych tysiącznych pokus i win rzeczywistych. Jeżeli nie zgrzeszyła w istocie, nie unikała pozorów do obmowy, i postępowaniem nie zbyt rozważném, może wyzywającém niekiedy złośliwość opinii dawała powody do podejrzeń i plotek. Sama nie przyznawała się do niczego złego, rzeczy doszły jednak do tego stopnia, że musiała się usprawiedliwiać przed siostrą, że nieprawdą jest, co ludzie o niéj mówią. Było to przy téj sposobności, kiedy mąż siostry Ludwik Rastawiecki po chwilowym pobycie w Warszawie powracał do siebie do domu, a Nakwaska mogła się spodziewać, że powtórzy przed żoną rozmaite obiegające o niéj po Warszawie pogłoski. „Będzie ci zapewne (pisała wtedy) opowiadać dużo rzeczy na mój rachunek, a zwłaszcza te potwarze o moich chorobach, o mych szaleństwach, o hałasie, który robią w mojéj loży, o mojém wejściu do pewnego zgromadzenia, wreszcie Bóg wie jak mię tam urządzi.“ W to wszystko nakazywała Nakwaska siostrze nie wierzyć i obiecywała jéj w następnych listach ze wszystkiego się wytłómaczyć. Czy się wytłómaczyła, czy znów zapomniała to uczynić, nie wiemy, bo z istniejących listów jéj korespondencyi żaden przyobiecanego usprawiedliwienia się nie zawiéra. Mamy jednakowoż silniejszy jeszcze może od takich słownych zapewnień dowód przemawiający bardzo na jéj korzyść i rzucający pochlebne światło na cały jéj stosunek do męża i na jéj kobiecą moralność. Przed czterema blisko laty Nakwaska znalazła się w téj smutnéj konieczności, że musiała się zwierzyć przed siostrą, że małżeńska konduita jéj męża nie całkiem była bez zarzutu. Niejaka pani S., jak się o niéj wyraża jéj rywalka, „kobiéta nad wyraz płaska i nikczemna,“ przez dłuższy czas trzymała pana Franciszka w swych więzach. Nakwaska cierpiała z tego powodu wiele, tak że ona, dla któréj korespondencya z siostrą największą była przyjemnością, przestała do niéj jakiś czas pisać, „bo nie miała na to siły.“ Nakoniec po długich staraniach i usiłowaniach z jéj strony związki te zostały szczęśliwie zerwane. „Moja cierpliwość i łagodność (chwali się Nakwaska przed siostrą) zwyciężyły wszystko.“

Ta „łagodność i cierpliwość,“ z jaką zaniedbana żona starała się powrócić męża na prawą drogę, jest właśnie faktem, który świadczy tak dobrze o charakterze, przekonaniu i moralnych pojęciach Nakwaskiéj. Żona, która dba o posiadanie męża, i która w ten sposób rozwiązuje drażliwe kwestye małżeńskie, bez wywoływania awantur

i skandalów, przy pomocy tylko rozsądku i dobroci serca, daje zapewnie najlepszą rękojmię, że nie zapomni o tych swoich przymiotach i wtedy, gdyby jéj saméj zdarzyły się pokusy i sposobności do nadwyrężenia ślubnéj przysięgi. Mimo zatém niepochlebnych dla niéj pogłosek, mimo tego że nawet jéj usprawiedliwienia się z nich nie mamy w ręku, wierzymy w to mocno, że w kardynalnych punktach nigdy ona nie przekroczyła granic obowiązków. Z drugiéj strony nie mamy wcale zamiaru rozgrzeszać jéj z drobnych wybryczków i stawiać ją jako wzór kobiety wyższéj nad zwyczaje otaczającego ją a do lekkomyślności nader skłonnego świata. Cały ówczesny elegancki świat żył i oddychał romansowością; kobiety i mężczyzni kokietowali się nawzajem i umizgali do siebie nawet bez myśli o realnych korzyściach, nieraz po prostu dla mody i dobrego tonu. Szczególnie kobiéty, które zawsze lubią zawracać głowy i żadném zwycięstwem, jakimkolwiek byłby przeciwnik, nie pogardzają, pokładały w tém swą dumę, aby otaczać się jak największemi zastępami wielbicieli i na każdym kroku ujarzmiać hołdowników. Wzdychano ciągle do siebie, sentymentalizowano na rozmaite tony, w sposób często uderzający w oczy; wszystkie wybitniejsze piękności, a zwłaszcza te, które oprócz powierzchownych darów natura obdarzyła także dowcipem i bystrością umysłu, ciągnęły za sobą roje młodych i starych adonisów, bo dla nich życie byłoby czcze i nudne bez ciągłych komplementów, uniesień i pochwał, bez tego dymu kadzideł, co robił z nich boginie, bez tych wzruszeń serca przerywających jednostajność dni, a które w gruncie rzeczy więcéj miały w sobie teatralnéj iluzyi niżeli prawdziwéj namiętności.

Taką była także i Nakwaska. Lubiła zajmować sobą, podbijać serca i zawracać głowy dla saméj przyjemności tryumfu, i dla téj potrzeby sentymentu, ażeby czasem podumać i pomarzyć roskosznie w ciszy buduaru. W jéj listach są częste ślady podobnych sentymentalnych igraszek serca i fantazyi, których ona ani utajać ani osłaniać bynajmniéj się nie stara. Najlepszą miarą tych przelotnych uczuć i stosunków nie sięgających daleko są komiczno-sentymentalne nazwy, jakie Nakwaska swoim wielbicielom nadaje, i żartobliwy ton, jakim się o tych niby serdecznych związkach odzywa. Kiedy w lecie 1810 bawiła u siostry w Nowosiołkach, bardzo miłe wyniosła stamtąd wspomnienia, bo jak widać dużo tam padło ofiar jéj wdzięków i sprytu. Nawet świetny następującéj zimy karnawał w Warszawie nie zdołał zatrzéć w jéj pamięci tych wspomnień. „Warszawka *est toujours un* zabawne miasteczko (dla lepszéj charakterystyki musimy ten ustęp listu przytoczyć w makaroniczno-francuskim języku oryginału) *il y a beaucoup de monde et on s'amuse tou comme autre-*

fois.... cependant l'été (dodaje z westchnieniem) *valait mieux et je repette toujours*, że bodajto w Tomaszewskim powiecie (gdzie leżą Nowosiołki) pomiędzy hulanami. *A propos de ces* hułany: ani jednego nie ma tu nigdy, *savez vous*, że ja tęsknię bez nich. *Dis leur cela de ma part et mande moi bien vite si S. est marié et s'il est tout aussi fou qu'autre fois, si le* Pulkownik *est toujours amoureux et enfin des nouveles de tà us mes* mizgranty *de labas.*" Gdzieindziéj znowu tacy „mizgranci" (od słowa umizgać się) nazywani bywają z niemiecka i więcéj niby sentymentalnie „libami", albo z francuska po niemiecku „*les liebe.*" Nie wątpimy, że każda z naszych czytelniczek przeczytawszy te tytuły adoratorów Nakwaskiéj i choćby jeden tylko taki ustęp z jéj listów, jak ten który tu przytoczyliśmy, pomyśli sobie, że nasza pani prefektowa nawet w najświetniejszych swych czasach nie byla przecież tak wielką grzesznicą, jakby się może wydawało, i że mąż jéj mógł spokojnie zasypiać, nie trując się niepotrzebną zazdrością i gniewem bez racyi.

Od upadku moralnego, od poddania się namiętności lub wybrykom fantazyi Nakwaską, więcéj zapewne od ogółu ówczesnego salonowych kobiét, chroniło to, że miała silniejsze nerwy niż je ma zwykle slaba płeć niewieścia i głowę tęższą od niejednego mężczyzny. Ktoby się spodziewał, że ta młoda kobiéta, szalejąca równo z drugiemi na wszystkich balach i festynach, poświęcająca nieraz połowę dnia na toalety, wertująca starannie najnowsze paryskie żurnale, i co więcéj ulegająca temu urokowi i olśniona tym blaskiem, jakim wówczas Napoleon całemu światu oczy zaćmiewał, miała przytém dosyć czasu do głębszego namysłu i tyle na to rozumu, ażeby osądzić położenie polityczne kraju i ocenić, czy ta budowa niedawno tak niespodzianie wzniesiona trwałą czy nie trwałą być może. „Pomimo naszych bied (pisała do siostry w połowie lutego 1811 r.) bawimy się doskonale... Ciekawa jestem jak długo to potrwa, ale to pewna, że nasze istnienie polityczne i towarzyskie jest jakąś sztuką czarodziejską; byleby tylko koniec nie był tragiczny" a pod koniec tegoż samego roku wyrażała się innemi słowy w téj saméj myśli: „Napoleon cudem nas wskrzesił, cudem się utrzymujemy i cud tylko może nas wyratować". Zastanawiać się nad tém w chwili, gdy wszyscy upojeni byli najświetniejszemi nadziejami i ślepo wierzyli w gwiazdę bohatera wieku, znaczyło już wiele, a cóż dopiero, jeżeli kto jak Nakwaska przyszedł do téj konkluzyi, że mimo chwilowych pozorów byt takiego kraju jak księstwo Warszawskie mógł być tylko efemeryczny i pozbawiony naturalnéj podstawy. Nie wielu zapewne ludzi ówczesnych patrzyło tak trzeźwo, i tak jasno sobie zdawało sprawę ze stanu rzeczy.

Lata 1810 i 1811 były bezwątpienia najszczęśliwsze w jéj życiu; wtedy to ona w całém tego słowa znaczeniu była „wesołą i szczęśliwą prefektusią.“ Największém jéj utrapieniem w tym czasie mogły być chyba recepcye u dworu, na które z obowiązku, jako żona prefekta, stawiać się musiała. Sztywna i nudna etykieta panująca na zamku Warszawskim, bez królewskiéj wystawności i przepychu, skoro nawet sama królowa chodziła w białéj atłasowéj sukni, która—jak opowiada Niemcewicz—była „dużo brudna“, nie zgadzała się ani z żywym temperamentem Nakwaskiéj, ani z jéj gustem do elegancyi i wytworności. Chodziła też na te recepcye jak psotna pensyonarka na duchowne rekolekcye — w rzeczach, które dla innych były poważnemi, znajdując materyą do żartów i śmiechu. „Dwór jak zawsze nadzwyczaj nudny i jednostajny (pisze w tym przedmiocie do siostry); już trzy niedziele z rzędu grywano tam w karty, wczoraj miałam zaszczyt grać z królową. Wyobraź sobie mnie należącą do partyi wiska z królową saską, co chwila robiłam coś takiego, co nie było *richtig*, jedném słowem można z tego było umrzéć ze śmiechu.“

Ale niedługo miały przyjść inne i prawdziwe zmartwienia. 15-go marca 1812 przesłała Nakwaska siostrze pierwszą wiadomość o niezawodnéj już wojnie z Rosyą. Całe tłumy wojsk rozmaitych narodów zwaliły się na wycieńczone i zbiedzone księstwo Warszawskie i na departament, którego Nakwaski był urzędową głową. Zanim przyszło do rozlewu krwi na placu boju, już nieszczęśliwy kraj doznał wielu innych nie mniéj dotkliwych okropności wojny. W samym warszawskim departamencie było 40 tysięcy i to po większéj części obcych i drapieżnych żołnierzy, postępujących sobie jakby w zawojowanym kraju. Nakwascy odczuli bardzo to smutne ogólne położenie i własne z tego powodu kłopoty. „Co tylko potrzebne na żywność (pisze Nakwaska tym razem po polsku do męża swéj siostry), nasz rząd bierze w rekwizycyą; możecie sobie wystawić, jakie to jęki i narzekania. Sama czasem nie wiem, co się z głową moją dzieje, bo mając swojéj biedy dosyć, cały dzień o cudzych nieszczęściach słyszéć muszę, a mój biedny Franciszek nie wiem jak wystarczy ze swojém zdrowiem, bo czasem nie tylko dzień cały, ale i noc przesiedzi na pracy.“ Wszyscy upadali pod ciężarami gotującéj się wojny i pod grozą niepewnéj przyszłości. Pomimo wiary w niezwyciężonego dotąd Napoleona, przeczucie mówiło ludziom, że tu idzie gra o życie, że pytanie: być, albo nie być? ma się rozwiązać. Warszawa niedawno tak „zabawna“ i wesoła, „stała się smutniejszą od grobu.“

Nigdy straszna rzeczywistość nie przeszła tak dalece najsmutniejszych przeczuć jak w tym pamiętnym 1812 roku. Niedługo

z Xerxesowéj armii pozostały tylko nagie, zgłodniałe i zziębnięte niedobitki. Rząd księstwa Warszawskiego musiał ustąpić przed zwycięskim przeciwnikiem z Warszawy do Krakowa, a z nim także i prefekt Nakwaski i jego żona. Dziwna rzecz, i tutaj, „na emigracyi“, rozpoczęły się znowu przerwane wojną bale i festyny, jak za najświetniejszych napoleońskich czasów. Osobliwa to była generacya, która znała tylko dwie rzeczy: albo bić się, albo hulać, zarówno czy się zwycięży, czy się jest pobitym. Nie tylko że karnawał 1813 r. był w Krakowie „najprzyjemniejszym w świecie“, ale gdy się już skończył, długo jeszcze przeciągały się bale i zabawy. „Niekiedy chce mi się wierzyć (donosi Nakwaska siostrze w ostatnich dniach marca), żeśmy wszyscy poszaleli. Nikt o niczém nie myśli, tylko o tém, żeby tańczyć, biegać, śmiać się i bawić.... to téż wszyscy tu tańczą.... inni jeżdżą konno, inni znów robią małe spacery *incognito*, jedni chodzą do botanicznego ogrodu, drudzy przenoszą mogiłę Wandy, albo pięknéj Estery. Jedném słowem na téj ziemi starożytnych wspomnień tak silnego doznajemy złudzenia, że nam się zdaje, żeśmy się przenieśli w czasy Jagiellonów, gdzie wszystko kwitnęło w naszéj ojczyźnie.“ Jeszcze w czasie karnawału, razem ze wszystkimi członkami rządu zwiedzała Nakwaska Wieliczkę, uroczyście z tego powodu iluminowaną. „Nie umiem ci opisać tego, co tam widziałam, taka to rzecz cudowna.“ Nie mniejszy zachwyt obudziła w niéj uroczystość wieczorna, urządzona w Sukiennicach na imieniny królewskie, któréj ostatnie ślady w malaturach ściennych i w drewnianych pająkach na sklepieniu zawieszonych dopiéro niedawno przy restauracyi tego gmachu (1879) zniknęły. „To niezmierne sklepienie, oświetlone kilkoma tysiącami świec, napełnione tłumami ludzi w świątecznych strojach.... rozlegające się dźwięki muzyki.... wszystko to wydawało się czémś czarodziejskiém.“

Miejscowe towarzystwo krakowskie miało w oczach Nakwaskiéj, przywykłéj do modnego świata warszawskiego, minę za nadto sarmacką i zacofaną. „Towarzystwo tutejsze jest przyjemne, ale panuje w nim ton staroświecki i każdy dom przypomina mi dom starościny krakowskiéj, gdzie dużo jedzono a mało się bawiono.“ Mieszkańcy Krakowa z serdecznem wylaniem się przyjmowali u siebie i ugaszczali „emigrantów“, lecz mimo tego, jak to zresztą z saméj natury rzeczy wynika, utworzyło się z téj napływowéj ludności odrębne koło towarzyskie, związane z sobą ściśléj wspólnością doli, wspólnym interesem na dobie i niepokojem o przyszłość, wreszcie i podobieństwem wyobrażeń i zwyczajów, które z sobą z Warszawy przyniosło. Nakwaska wcale malowniczo przedstawia siostrze tę solidarność emigrancką, tę tęsknotę za tém co się porzuciło i usta-

wiczną ciekawość nowin, jakie u ludzi w podobném położeniu zawsze powstają. „Oprócz festynów, które nam tutaj na wyścigi dają, mamy także nasze małe zgromadzenia emigranckie, gdzie skromny kotlet i filiżanka herbaty wydają nam się lepszemi od świetnych kolacyi u tych, co nie byli zmuszeni opuścić wszystko, co im drogie, i gdzie przypominamy sobie z rozkoszą to swoję przyjaciółkę, to siostrę, to swój kominek, albo znów swoje łóżko, swój buduar lub nakoniec swoję lubą. Nie masz pojęcia o ciekawości, z jaką ludzie tu się spotykają z sobą, z jaką miną się zapytają: no cóż? czy miałeś listy? Trzeba widać nieszczęścia, ażeby jedność i przyjaźń kwitnęły...." I tak wśród ciągłych zabaw i rozrywek, z niepokojem serca oczekiwano dalszych wypadków i chwili, w któréj to wszystko „czy tak czy owak się skończy."

Lato tego roku spędziła Nakwaska jeszcze jako „emigrantka" po części w Lubieniu z siostrą, po części z mężem w Bardyowie. Po raz pierwszy przy téj sposobności zwiedziła Galicyą i jadąc do Bardyowa przez Przemyśl i Duklę, zachwycala się pięknością tych okolic: „mogliśmy do woli podziwiać ten piękny kraj. W niczém on nie ustępuje Niemcom i ma doskonale gościńce. Doliny, które San przepływa, są zachwycające." Niespokojność o syna, o którym rzadkie miemawała wiadomości i pragnienie, ażeby raz módz skończyć tę tułaczkę i powrócić do domu, zmniejszały znacznie przyjemność, jaką mogła mieć z tych letnich wycieczek do kąpiel. Na jesień życzenia jéj spełniły się nareszcie. Interesa polityczne do tego stopnia już się ustaliły, że mogła powracać do Warszawy. Pomimo „straszliwego smutku" i życia nadzwyczaj monotonnego, jakie tam wtedy panowały, cieszyła się z tego, że jest znowu w Warszawie, tymbardziéj, że i jéj mąż przywrócony został do dawnych swoich urzędowych funkcyi. Wiadomość o bitwie pod Lipskiem była nowém wstrząśnieniem, które ją równo z ogółem do głębi wzruszyło: „byliśmy tak nieszczęśliwi i zrozpaczeni przez piętnaście dni po wiadomości o téj nieszczęsnéj bitwie pod Lipskiem, że ani myśli zebrać, a tymbardziéj pisać nie można było." Ostatni promyk nadziei w Napoleonie pokładanych zgasł w dniu téj klęski, i trwoga o przyszłość jeszcze cięższa niż po Moskwie i Berezynie ogarnęła umysły, — dawniéj choć wrzawa wojny i codzień świeże wiadomości rozrywały znękane dusze, teraz zapanowała ponura i złowroga cisza, jakby przed burzą, która wszystko do szczętu zniweczyć mogla — „ubiegła zima ze wszystkiemi swemi okropnościami nie da się porównać z tą jednostajnością boleści, w któréj obecnie wegetujemy." To też witając nadchodzący rok nowy (1814) spodziewała się Nakwaska, że „nie będzie przynajmniéj tak obfity w klęski jak ten straszny rok

1813, który obecne i przyszłe pokolenia ze zgrozą wspominać powinny“ i z całego serca wzdychała do pokoju: „oh, mój Boże! gdyby nasze nieszczęście raz się skończyć chciało.“

Tymczasem Warszawa niedługo więcéj ożywioną zaczęła przybierać postać. Ściągali do niej ranni i zdrowi oficerowie wojsk polskich, dotychczas pod rozkazami Napoleona walczących i prócz tego spora liczba francuskich jeńców, głównie oficerów, którym tutaj miejsce pobytu wyznaczono. Swoi i obcy po największéj części byli bez grosza i potrzebowali pomocy i opieki. Nakwaska ze zwykłą sobie energią zabrała się do tego nowego obowiązku, nie tylko sama czyniła co mogła dla potrzebujących, ale i wszędzie przemawiała za nimi i do pomocy zachęcała. „Każ robić u siebie — pisała między innemi do siostry — bawełniane czapki i szkarpetki dla jeńców, dla tych biedaków, nad których losem serce pęka.“ Jak powiadają, niejeden też Francuz do późnych lat zachował wdzięczne wspomnienie o jéj dobroczynności i szlachetnéj duszy.

Losy księstwa Warszawskiego miały się niebawem stanowczo rozstrzygnąć. Sprzymierzeńcy weszli do Paryża, a Napoleon opuszczony przez swoich musiał abdykować. Jeżeli dla nas dzisiaj upadek téj niezwykłéj potęgi i niewidzianego dotąd w świecie geniuszu ma wszystkie cechy tragicznéj katastrofy, którą wszechmocne fatum spuszcza na głowę śmiertelnika, to tém bardziéj tym, przed których oczami ten dramat się rozgrywał, wydawał się czémś niepodobném do prawdy i przechodzącém niemal ludzkie pojęcie. Ciekawe zawsze są podobne świadectwa wrażeń pod świeżym wpływem wypadków wywołanych, a to, co pisze Nakwaska o upadku Napoleona, doskonale nam maluje uczucia, jakiemi ogół społeczeństwa na wieść o téj katastrofie został przejęty. „Co powiesz na to, moja droga? — zapytuje się Nakwaska siostry — czy to sen, czy to rzeczywistość, czy to koniec świata? Jednem słowem, jakim sposobem tyle potęgi, tyle geniuszu i sławy mogło tak w nic się obrócić i zniknąć. Ten cud naszych czasów, ta chluba wieku, to zjawisko szczególne między wielkimi ludźmi, uznany za niebędącego przez własnych poddanych, wyjęty z pod prawa przez senat, który sam utworzył.“ Oburzenie wywołane zachowaniem się Francuzów podwyższało jeszcze grozę tych wypadków w uczuciu mieszkańców księstwa Warszawskiego. To téż Nakwaska dodaje: „Nie zdołam ci określić, do jakiego stopnia oburza nas niegodne i nikczemne postępowanie ludu francuskiego; wszystkie klasy są tu tém przejęte; oto naród spodlony nazawsze i zgubiony w opinii teraźniejszych i potomnych czasów.“

To gorące i pełne uwielbienia wspomnienie o Napoleonie jest zarazem ostatniém już w jéj listach. Nawet sto dni cesarstwa i bitwa pod Waterloo żadnych jéj nowych wynurzeń nie podyktowały. Ale czasy i wyobrażenia się zmieniły — uwaga, a poczęści i sympatye ogółu w inną teraz zwróciły się stronę, w tę mianowicie, w któréj nowe pocieszające dla Polaków otworzyły się widoki. „Najpiękniejsze nadzieje“ ujrzano teraz w osobie cesarza Aleksandra I i od niego spodziewano się powrócenia utraconego bytu. Na zwycięski powrót cesarza z Paryża rozruszała sie znowu i rozgorączkowała Warszawa. Nowe festyny i uroczystości publiczne stanęły znów na porządku dziennym. Wejście wojska polskiego do Warszawy, sprowadzenie zwłok księcia Poniatowskiego i tryumfalne przyjęcie cesarza napełniły miasto wrzawą i radością, a sferom urzędowym dały niemało do czynienia. Na nieszczęście dotychczasowy prefekt a mąż naszéj autorki był w tym czasie słaby na febrę; więc znowu na Nakwaską spadła znaczna część tych ciężarów i trudów. Wszystkie przygotowania tych pięciodniowych uroczystości (od 8 do 13 września) „odbywały się w jéj pokoju.“ Potém swoim porządkiem szły nieprzerwanie rozmaite bale i zabawy w rozochoconéj nowemi nadziejami Warszawie, a Nakwaska mniejszy lub większy udział zawsze w nich brała. W listopadzie wydała sama bal, który w. książe (Konstanty) z nią otworzył i z którego „bardzo był zadowolniony“, ale biedna gospodyni tak się umęczyła, że przy końcu zemdlała. Aż do końca prawie 1815 trwały te uciechy, którym nowéj podniety dodawały w tym czasie utworzenie Królestwa Polskiego i przyjazd z tego powodu cesarza Aleksandra do Warszawy. Przygotowania do przyjęcia monarchy szczególnie dużo zachodów i zabiegów kosztowały płeć piękną. Tyle balów i zabaw, tyle uroczystych wystąpień, a do każdego potrzeba nowéj i okazałéj toalety! Szczęściem, że magazyny warszawskie tym razem lepiéj musiały być zaopatrzone niż w roku poprzednim, kiedy przy sposobności również cesarskiego przyjazdu wszystkie damy były w ostatniéj rozpaczy, że żadna modystka nic gotowego nie miała, że towary nie przychodziły z zagranicy, i że chyba będą musiały wystąpić *„comme de veritables patriotes* w krajowych materyach, to jest w pajęczynie lub w kapuścianych liściach“, jak żartując sobie i z własnéj także biédy pisała Nakwaska do siostry.

Miasto wydawało na cześć cesarza bal kostiumowy w teatrze. Nakwaska była jedną z ośmiu gospodyń tego balu, i występowała w nim na czele grupy wieśniaczek ukraińskich, które miały „ubiór bardzo bogaty i bardzo piękny.“ Cesarzem Aleksandrem była oczarowaną: „prawda (donosi siostrze, opisując jéj te warszawskie bale),

że tak pięknego i grzecznego monarchy to nie ma na świecie.“ Cesarz był ciągle „wesoły i uprzejmy“ i przyjmował także zaproszenia do prywatnych domów różnych dygnitarzy. Na jednym z takich balów zaszedł drobny wypadek, który jednak i na obecnych tam wywarł niezwykłe wrażenie i do historyi literatury przejść powinien, ponieważ główną w nim figurą był człowiek, zajmujący jedno z najcelniejszych miejsc w naszéj poezyi. O ile nam wiadomo, nikt dotąd nie wspomniał o tym fakcie i w listach Nakwaskiéj może jedyna o nim pamięć się zachowała, tém skrzętniéj więc zapisujemy go do wiadomości powszechnéj. Było to na balu u księżnéj generałowéj Czartoryskiéj, który cesarz Aleksander zaszczycił swą obecnością. W grupie młodych chłopców, przebranych za rycerzy, figurował także czteroletni wówczas Zygmunt Krasiński. Czy przedtém już niezwykła jego inteligencya była znajoma, czy też na balu przy jakiéj sposobności ją pokazał, dość, że jak się to często w takich razach zdarza, wzięto cudowne dziecko na egzamin. Czteroletni erudyt świetnie się popisał „wymienił wszystkie stolice Europy“, a nadto zrobił sensacyą, która dla wszystkich była dziwnego rodzaju niespodzianką, bo kiedy powiedziano mu następnie, ażeby co zadeklamował, wypowiedział ten wiersz: *Tu dors Brutus*, *et Rome est dans les fers*.... „Ten szczególny wiersz (dodaje Nakwaska) w ustach tego dziecka w takim dniu zrobił na mnie bolesne i niezwykłe wrażenie, którego bym nie zdołała opisać. Czy ty to czujesz, moja droga, tak jak ja?“

W istocie ta deklamacya była niby drapiącym nerwy zgrzytem wśród harmonii świetnego balu, a w tym pierwszym publicznym głosie dziecka tłómaczącego swe uczucia jeszcze cudzemi słowami, czuć już przyszłego autora Irydyona.

Te świetne uroczystości na przyjęcie cesarza w listopadzie 1815 r. zamknęły szereg tych hucznych i wystawnych festynów, od lat kilkunastu tak częstych w Warszawie, któremi czczono monarchów i bohaterów wojennych, któremi objawiano swoje nadzieje patryotyczne lub radość z pomyślnych dla sprawy ogólnéj wypadków, i którym prawie zawsze towarzyszyły wstrząsające całym narodem wydarzenia i nadawały im podniosły charakter świąt narodowych. Uspokoiła się przez długi czas ciągle w Europie panująca zawierucha wojenna; święte przymierze zapanowało nad rewolucyą i Napoleonem; stosunki polityczne wróciły w dawną, powszednią koléj, a z niemi i życie całego społeczeństwa przybrało także normalniejsze znamiona. Zdaje się, że i dla Nakwaskiéj czas ten był również kresem najświetniejszéj epoki jéj życia światowego. Nie miała ona już nigdy potém tyle sposobności błyszczenia w dworskim i ele-

gankim świecie, a i wiek także zaczynający się schylać ku jesieni życia mimowoli ją przymuszał do cofania się z téj areny, na któréj tylko młodość i świeże wdzięki zwykły zbierać oklaski i wawrzyny. W ostatnim roku '(1816) jéj korespondencyi do siostry znikają bez śladu owe opisy balów i zabaw, sprawozdania o najświeższych modach i toaletach, równie jak i wiadomości o wydarzeniach politycznych—bo do tego wszystkiego zabrakło jéj materyału. Z wypadków bliżéj ją obchodzących miała w tym czasie tylko do zapisania, że mąż jéj otrzymał upragnioną wstęgę św. Stanisława „ale drugiéj klasy“, że przy zmianach, jakie zaszły w administracyi kraju został mianowany najprzód prezesem województwa Mazowieckiego czyli Warszawskiego, a po kilku miesiącach w październiku 1816 kasztelanem. „Nie masz wyobrażenia—pisze do siostry—ile ta sprawa tak prosta i sprawiedliwa kosztowała mię pracy.“ Zresztą pewne uczucie jednostajności i nudy przebija w jéj listach, zarówno kiedy w środku karnawału donosiła siostrze z Warszawy, że jéj życie „uchodzi téj zimy tysiąc razy gorzéj niż na wsi,“ jak i w ciągu lata, kiedy siedząc w Małéj wsi, skarżyła się, że „jest pozbawiona wszelkiéj wygody i wszelkiego towarzystwa.“ Starania o edukacyą syna, któréj od paru lat więcéj poświęcała uwagi, kłopoty o dobranie zdolnego guwernera, nie służące wcale do uprzyjemnienia życia, nie wystarczały z drugiéj strony także i do wypełnienia czasu, którego żadne poważniejsze ani żywsze zajęcie nie absorbowało. Szczęściem znalazła Nakwaska niedługo coś takiego, co tę próżnię, jaką dokoła siebie i w sobie uczuwać zaczynała, wypełnić zdołało.

Jeszcze jako dama światowa i elegantka nie gardziła ona nigdy umysłowém zajęciem—zanadto na to była dobrze wykształcona i od natury rozumem i dowcipem obdarzona. Muzykę lubiła namiętnie, chociaż nie jako wykonawczyni ale więcéj jako słuchaczka, znajdująca rozkosz w doskonałéj grze artystycznéj; książka, rozumie się tylko francuska, bywała także często w jéj rękach; w jéj korespondencyi znajdujemy kilka wzmianek o najnowszych utworach literatury francuskiéj, np. o jakimś romansie: Naczelnicy Szkoccy albo o dziele pani de Staël: „O Niemczech“, które w jéj opinii nie znalazło tyle sympatyi co zachwycająca ją Korynna. O polskiéj książce, o polskim jakimś autorze, chociaż z niejednym musiała się nieraz osobiście zetknąć nawet na wielkim świecie warszawskim, nigdzie za to ani pół-słowa. Nagle, na samym początku tego 1816 roku, który miał zamknąć epokę owego szalonego, w ustawicznych zabawach i uroczystościach spędzanego życia, pisze do siostry 26 stycznia, że jéj razem z listem posyła „sławny romans księżnéj Wirtemberskiéj, który tu (w Warszawie) zrobił epokę; wszyscy go sobie wyrywają a księgarze nie mogą wydążyć go sprzedawać.“

Tym sławnym romansem—nie potrzeba czytelnikowi zapewne tego przypominać—była „Malwina czyli domyślność serca," która w chwili, gdy ją Nakwaska tak przed siostrą zachwalała, kilka zaledwie dni swego istnienia na widowni publicznéj liczyła. Losy zdarzyły, że tym romansem Nakwaska miała się dłużéj i bliżéj zajmować. Książka ta, jako pierwszy, zwłaszcza sentymentalny, romans polski, jako utwór kobiéty a do tego jeszcze tak wysokiego rodu, zrobiła w ówczesnym literackim i eleganckim świecie w istocie niezwykłe wrażenie; do rąk Nakwaskiéj dostała się właśnie w czasie, gdy ona w ciszy swego buduaru przypomina sobie z utęsknieniem niedawno minione bale i świetne uroczystości, których nic podobnego nie miało teraz zastąpić, i serdecznie przytém musiała się nudzić. Ten zbieg okoliczności sprawił, że dla zabicia czasu, dla rozerwania się i zajęcia czemś zwykle u niéj czynnego umysłu, wzięła się do tłómaczenia Malwiny na język francuski, i tym sposobem wieczory, poświęcane dawniéj robieniu toalety i tańcom, przepędzała teraz „na pisaniu" — „jest-to jedyna rozrywka — pisze do siostry, którą mam."

Przetłómaczyła najprzód dwa rozdziały: *Turnieje* i *Zakonnik*, które widać romantycznym swym kolorytem największe na niéj zrobiły wrażenie. Ktoś, komu swoję pracę odczytała, pochwalił ich przekład („*on les trouve très bien*") i to zachęciło ją do dalszéj roboty, 23 marca donosi siostrze, że cała jest oddana tłómaczeniu Malwiny. a nadto że zyskała sobie współpracownika w osobie pana Carnot. Był to ów członek rewolucyjnego konwentu, który z początkiem tego roku przybył do Warszawy i ponieważ niekiedy i rymami się zabawiał, przyobiecał Nakwaskiéj przetłómaczyć na wiersze francuskie romancę znajdującą się w pierwszym rozdziale Malwiny. Ta wspólka literacka z taką znakomitością ucieszyła naturalnie Nakwaską i z pewnym rodzajem autorskiéj dumy, żartem lekko pokrytéj, donosiła o tém siostrze: „tak więc jestem wspólnikiem wielkiego człowieka, jak ci się to wydaje?" Carnot zawiódł jednakże nadzieje tłómaczki, i czy to brakło mu czasu, czy ochoty, dość że obietnicy nie dotrzymał, a romancę ułożył we francuskie wiersze ktoś nierównie mniéj sławny i wielki od niego, mianowicie niejaki pan Verdelet, owoczesny guwerner syna Nakwaskiéj.

Z Malwiną przeniosła się na lato do Małéj wsi. Robota postępowała szybko, bo pisała „prawie po całych dniach", szukając w tém roztargnienia w swojéj samotności. W połowie listopada donosiła siostrze (już z Warszawy), że „Malwina pójdzie zaraz do druku." W następnym roku 1817, zapewne w samym jego początku, wyszło tłómaczenie na widok publiczny w Warszawie we dwóch tomach p. t,

„*Malvina ou l'instinct du coeur. Traduit du polonais par une Polonaise.*"

Dla kogo był ten przekład francuski? Dla Francuzów pewnie nie, bo ci obcemi literaturami a zwłaszcza téż naszą w owym czasie wcale się nie zajmowali. Nakwaska nie myślała téż bezwątpienia o tém, ażeby tym narodowym utworem poszczycić się przed tymi, co za niedoścignionych mistrzów jak w literaturze w ogóle tak w szczególności w romansopisarstwie u większości ówczesnego świata uchodzili. Nie rozminiemy się zapewne z jéj własnemi intencyami, jeśli powiemy, że ten przekład francuski przeznaczała nie dla kogo innego tylko dla rodaczek księżny Wirtemberskiéj, dla dam polskich z wielkiego świata. Dzisiaj coś podobnego, chociażby nią może i tak bardzo nie było, wydawałoby się gorszącą herezyą, przed laty siedemdziesięciu było jednak rzeczą całkiem naturalną. Ówczesne damy, podobnie jak Nakwaska sama, lepiéj niż po polsku umiały po francusku; czytając w oryginale dzieło księżnéj Wirtemberskiéj, nie zdołałyby go nie tylko należycie ocenić ale nawet i dobrze zrozumiéć. Prócz tego wydawało się im, że tylko po francusku można oddać subtelniejsze i delikatniejsze uczucia, że tak mowa serca jak i opisy natury mogą brzmiéć dobrze tylko w języku pani Genlis i Cottin. Przecież i tłómaczka sama była tegoż samego zdania, i nie dla własnéj chwalby ale pewnie z przekonania o téj wyższości języka francuskiego, pisała w ciągu swéj pracy do siostry: „nie masz wyobrażenia, ile ten romans zyskuje w języku francuskim."

Jakiekolwiek zresztą były powody, które ją do podjęcia téj pracy skłoniły, przekład Malwiny wprowadził ją po raz pierwszy na drogę literacką, na którą może już oddawna jéj zdolności umysłowe i wykształcenie ją przeznaczały. Z ogłoszeniem tego romansu w języku francuskim dała się poznać Nakwaska w świecie Warszawskim jako literatka i niebawem też, jak piszą, w miejscu dawnego salonu, który był miejscem popisu dla pięknych tancerek, i areną komeraży romansowych, otwarła poważny salon literacki, który nie miał się zamknąć aż prawie dopiéro z chwilą jéj śmierci, i który przez ciąg lat przeszło trzydziestu przyjmował w swych ścianach uczonych i literatów kilku generacyi, różniących się od siebie nieraz o całe niebo w pojęciach i smaku estetycznym.

Powoli jednakowoż i z dłuższemi przestankami posuwała się Nakwaska po téj nowéj drodze, i jak w ogóle naprzód to powiedziéć musimy, nigdy zbyt wielką płodnością i twórczością się nie odznaczała.

Pierwszą jéj oryginalną, lub przynajmniéj najpierwéj wydaną, pracą była rozprawa pedagogiczno-społeczna, drukowana w „Pamięt-

ku Warszawskim" r. 1819 (Tom XIII. str. 456—463). Ktoś podpisany inicyałami A. G. umieścił w tém piśmie niedawno artykuł: O przyczynach oziębłości mężczyzn dla kobiét. Nakwaska, którą ten przedmiot jako żyjącą tak długo w wielkim świecie, mógł był zająć, wystąpiła z rodzajem polemiki przeciw temu artykułowi. Napisała nań odpowiedź już po polsku, ale czując swoją słabość pod tym względem, uczyniła to z wielką nieśmiałością: „Proszę przyjąć te słów kilka z pobłażaniem należném osobie, która nie znając gruntownie języka ojczystego, lepiéj czuć jak się wysłowić umie"—powiadała we wstępie swéj rozprawy. Nie przeszkodziło jéj to jednak bynajmniéj, aby w treści saméj wystąpić stanowczo, bezwzględnie i śmiało przeciwko temu systemowi edukacyjnemu, którego niedobrych skutków sama nieraz na sobie doświadczyła. Wychowanie i wykształcenie ówczesne kobiece potępia bezwzględnie, zarzucając mu zupełną czczość naukową, niepraktyczność a nawet szkodliwość w dalszych stosunkach życia. Słowa jéj tak są trafne, i tyle w nich czuć prawdy, tyle aluzyi można z nich zrobić do dzisiejszych czasów, że warto je nawet w dłuższych wyciągach przytoczyć. „Żądaniem powszechném mężczyzn jest—powiada Nakwaska—żebyśmy mówiły i pisały zawsze ojczystym językiem; ale go nas nie uczą tylko niańki nasze, a i te nawet już nie bywają Polki, tylko Francuski, Angielki albo Szwajcarki. Chcą, żebyśmy były rządne w domu, gospodynie na wsi, znające się na tysiącznych szczegółach wiejskich, a późniéj na interesach, i opiekowały się czasem majątkiem małoletnich dzieci zawikłanym i spustoszonym, spłacały długi i trudniły się wychowaniem synów; lecz chcąc nas do tego wszystkiego sposobić, uczą nas haftować, rysować, grać na klawikorcie i sądzić o literaturze francuskiéj. Jeżeliby zaś broń Boże panna odważyła się rozmowę rozsądną prowadzić, albo się chciała objaśnić o jakim przedmiocie z jéj codziennych wyobrażeń wychodzącym, przypisują jéj pedantyzm, wykwintne wychowanie etc. etc. i pewnie każdy konkurent stronić od niéj będzie."

Tak więc błędna opinia, niezdrowe wyobrażenia ogółu utrzymują ten fałszywy system edukacyi w całéj swéj sile. Kobieta, od któréj, kiedy zostanie żoną i matką, wymaga się racyonalnego rozwoju umysłu i pewnych nawet fachowych wiadomości, zanim pójdzie za mąż, nie może i nie powinna kształcić się w tym kierunku pod groźbą klątwy, że ją jako sawantkę i „mądrą pannę" młodzi ludzie z obawą omijać i od niéj odsuwać się będą. Kobiety mogą więc tylko nabywać wykształcenia powierzchownego i bezpożytecznego w przyszłości: „Panny idące za mąż muszą koniecznie zostać literatkami, albo poświęcić się zupełnie muzyce lub innemu talentowi, gdyż zbawienny zwyczaj niemiecki i francuski, żeby córki przypuszczane

były do rządu domu przez rodziców i wyręczały matki w urządzeniach, dyspozycyi codziennéj i innych drobnych szczególach, nadto jest mało w naszym kraju upowszechniony, a panna wychowanie swe skończywszy, zostaje w domu rodzicielskim bez żadnego zatrudnienia."

Nie uszło jéj uwagi, jak wiele, wbrew swojemu celowi i przeznaczeniu, przyczyniają się do tego zakorzenienia powierzchownego wykształcenia tak nazwane pensye: „Nie chcę tu nawet wzmianki czynić o tych rojach panien wychodzących z licznych pensyi warszawskich; te podług mego mniemania, napełniają domy szlacheckie na prowincyi osobami po większéj części zawsze z siebie i z drugich niekontentemi, wiejskie gospodarstwo (*sic*) nienawidzącemi, i tylko o teatrze lub o Saskim ogrodzie rozprawiającemi, które nie nauczywszy się niczego gruntownie, zapominają we dwóch lub trzech latach wszystkiego, co pośpiech rodziców i niedokładny dozór trzymających pensyą nagle i bez porządku w ich młode zaszczepiły umysły."

W podobnym duchu i podobnejże treści, lubo nieco szerszego zakresu, jest drugi artykuł Nakwaskiéj, umieszczony w tymże samym „Pamiętniku Warszawskim" w r. 1820 (t. XVI, str. 238—252) p.t. „Krótki rzut oka na teraźniejsze wychowanie Polek przez Polkę." Autorka zamierzyła sobie w nim zastanowić się nad zarzutami, które „mężczyźni od niejakiego czasu" kobiétom robią: „nieustannie (powiada) nam jest naganiane nasze wychowanie z powodów: 1) że w niém cudzoziemki przewodniczą; 2) że nad stan, w którym żyć nadal musimy, bywamy wychowane; 3) że nas uczą w obcym języku różnych wiadomości; 4) że lepiéj po francusku jak (*sic*) po polsku mówić i pisać umiemy; 5) że ogółem wychowanie nasze wytępia w nas narodowość i miłość ojczyzny."

Pierwszemu i drugiemu z tych zarzutów Nakwaska przyznaje słuszność, a zarazem jako środek mający złemu zapobiedz, radzi założenie szkoły nauczycielek prywatnych, która to szkoła „upowszechniłaby wychowanie domowe, które (osobliwie w Polsce) jedynie jest płci naszéj właściwe." Przez oddanie wychowania w ręce takich domowych nauczycielek spodziewa się ona także usunąć te złe skutki, jakie dla przyszłości młodych panien z ich edukacyi na pensyach wypływają. Bardzo niekorzystne wyobrażenie musiała mieć Nakwaska o tych zakładach wychowawczych i bardzo zgubny wpływ na młode umysły im przypisywać, bo i tutaj, jak w poprzednim artykule, tylko w sposób bardziéj sarkastyczny, kréśli z życia zdjęty obrazek takiego wychowania. „Powraca (na wieś) z trzyletniéj edukacyi ulubione dziecię, pełno ma na pozór wiadomości, popisuje się

nieustannie z różnemi talentami, ale za to wszystko ją na wsi nudzi, z niczego nie kontenta, sąsiadki jéj nie rozumieją, bo nawpół po francusku mówi (a i to bardzo mierną francuszczyzną), gra cokolwiek na gitarze, śpiewa francuskie romanse i wnosi do męża (żeniącego się z nią dla znacznego posagu, który najczęściéj na procencie się kończy) zbiór złego humoru, kaprysów i wymagań różnych, nie umie się trudnić gospodarstwem, ile na jéj majątek przystoi, nie ma dosyć gruntownych wiadomości, ażeby ją prawdziwie literatura zająć mogła, zapomni grać na gitarze, bo nie ma nikogo, któryby jéj talenta uwielbiał, i znowu tymże trybem córki swoje prowadzić będzie.“

Jako małe objaśnienie tego obrazka możemy dodać, że Nakwaska kreśląc go miała na myśli szczególnie córki średniéj a nawet mniéj zamożnéj szlachty. Dla panien z téj klasy społeczeństwa edukacya, jaka była w zwyczaju na ówczesnych pensyach, mogła w istocie najszkodliwsze sprowadzać następstwa. Ojciec lub matka, a najczęściéj oboje, cieszyli się, że ich córka, jakby jakie dziecko magnackie, u francuskiéj „madam“ w Warszawie się edukuje, ale pewnie nieraz gorzko potém odpokutowali, kiedy się skutki takiego wychowania w życiu pokazały. Panna, co się po francusku paplać i na gitarze grać nauczyła, wnosiła do domu rodziców a późniéj męża tysiące kaprysów i pretensyi, jakie tylko krociowa arystokratka miéć by od biédy mogła. Zbliżając się blichtrem wychowania do sfer uprzywilejowanych, sądziła, że i w rzeczywistości staje z niemi na równi, i w podobny sposób, jak one, żyć może i powinna. Nakwaska bardzo słusznie położyła nacisk na fałszywe wychowanie tych córek szlacheckich dworów, a nieraz i z pod słomianéj strzechy, bo jeśli kto, to one właśnie rozsądniejszéj i praktyczniejszéj edukacyi potrzebowały, i dla nich zły kierunek najbardziéj mógł być szkodliwy. Zupełnie inaczéj wyobrażała sobie nasza autorka to wychowanie, a ideał jaki sobie o nim utworzyła, trzeba uznać za zgodny z prawdą i odpowiadający potrzebom téj klasy społeczeństwa. „Nie byłażby taka osoba szczęśliwszą (mówi daléj, bezpośrednio po skreśleniu owego obrazu fałszywie edukowanéj młodéj szlachcianki), żeby wychowana w rodzicielskim domu, uczyła się zawczasu wszystkich szczegółów wiejskiego gospodarstwa, kształcona przez nauczycielkę (jak z poprzedniego wynika, Nakwaska mówi o nauczycielce Polce) moralną ale nie uczoną, nie znała innéj muzyki, jak Śpiewów historycznych, innéj poezyi, jak Krasickiego i Karpińskiego, a oprócz historyi polskiéj, pisania i rachunków, nie miała wyobrażenia o innych wiadomościach? Dosyć dla niéj oświaty, jeśli równie wolna od zabobonów jak i od niedowiarstwa, będzie pobożną bez bigoteryi,

rozsądnie dobroczynną i tyle biegłą w sztuce lekarskiéj, ile dla matki familii.... nieodbicie bywa potrzebném."

Francuszczyznę zatém i edukacyą z cudzoziemskim pokostem chciałaby zupełnie wygnać z domów szlacheckich dlatego, że one to głównie prowadzą do życia nad stan, do śmieszności, a co więcéj do ruiny. Dla tych, co na zbytek pozwolić sobie mogą, Nakwaska jest względniejszą — wielcy panowie mogą mówić po francusku, dzieci rodzin arystokratycznych mogą się uczyć języka francuskiego, jako kosmopolitycznego, przyjętego przez cały świat i posiadającego bogatą literaturę, byle jednak przytém mowa ojczysta nie była nigdy zaniedbaną.

Dama z wielkiego świata przebija bezwątpienia w tém ustępstwie, a raczéj w tym przywileju dla klas wyższych. Ani dobrego tonu, ani elegancyi, ani salonowego zachowania się Nakwaska bez francuszczyzny nie pojmowała; była ona dla niéj najważniejszym pierwiastkiem cywilizacyi i postępu, i dlatego musiała pierwszego miejsca ustępować nawet narodowości. O polskości nie zbyt ona miała dobre wyobrażenie i narodowy obyczaj w jéj oczach był prawie tém samém, co dawny okrzyczany „sarmatyzm." Prawdziwy Polak, według jéj mniemania, musiał być nieokrzesanym i rubasznym, musiał „głośno kichać", jak się w jednym ze swych listów wyraża. Kilka lat temu utyskiwała przed siostrą, że będzie mieć z syna pedanta, ona zaś (siostra) ze swojego „małego Faublasa", dodając przytém z całą naiwną szczerością: „a przyznam się ze wstydem, że wolę Faublasów, i że Henryk (syn) do rozpaczy mię przyprowadza swoją miną pedagoga." Później (już w r. 1816) na ten sam temat, tylko dosadniéj wyrażając o co jéj chodzi, rozwodzi znowu swoje żale: „Henryk nie będzie niczém innćm, tylko *Polakiem*, jak powiada p. Verdelet (jego guwerner), *c'est à dire une bête*, ale trzeba się tém pocieszać, że będzie mieć cztery miliony współkolegów. Dosyć łez wylałam nad tém dzieckiem, i nie chcę już dłużéj tém się martwić."

Gdybyśmy nie uwzględnili okoliczności, pośród których sama była wychowaną i błędnych wyobrażeń, jakie miała o narodowości, trzebaby doprawdy albo zapłakać, albo głośno się rozśmiać z tych żalów matki Polki, że syn jéj rośnie „tylko" na Polaka!

Przez parę lat ostatnich pojęcia jéj pod tym względem znacznie się sprostowały, wyobrażenia ogólne zmieniły się także o wiele na lepsze; urok francuszczyzny, podniesiony tak wysoko ostatniemi czasy przez Napoleona i nadzwyczajną chwałę Francyi, zbladł zdaje się zarówno z gwiazdą „wielkiego narodu", a słabe podmuchy romantyczności, mającéj sprawić przewrot w wyobrażeniach literackich i estetycznych, dawały się już uczuwać. Zmianę tę widać rów-

nież w dwóch pedagogicznych artykułach Nakwaskiéj, o których tu właśnie mówimy, ale że nie mogła ona być zupełną i radykalną, że wiele z zakorzenionych w młodości pojęć musiało zostać w głowie naszéj autorki nie tylko w tym czasie około 1820 r., ale i przez całe życie, tego, kto zna choć trochę naturę ludzką, łatwo się domyśli. Zresztą dlaczegożbyśmy się dziwili téj kobiecie wyrosłéj w epoce najwyższéj wybujałości francuszczyzny, jeżeli dzisiaj, po pięćdziesięciu latach postępu i różnych nauk, które nie powinny były zostać bez wpływu i skutków, też same pojęcia i ten sam brak poczucia swojskości w niektórych sferach w najlepsze kwitną!....

Zgodnie z takiém zapatrywaniem się na rzeczy, Nakwaska odpiera stanowczo ostatni z zarzutów czynionych Polkom, że wychowanie cudzoziemskie wytępia w nich narodowość i miłość ojczyzny. „Jeżeli pod wyrazem narodowości (pisze w końcu swojego artykułu) miłość ojczyzny ma się rozumieć, Polki nie przestając wpajać téj cnoty w młode umysły potomków tego pokolenia, które do jéj oswobodzenia tak dzielnie się przyłożyło, dają najpewniejsze dowody, że ta cnota nigdy z ich serc wygluzowaną nie była. Jeżeli zaś do tego słowa przywiążemy szanowanie dawnych nałogów i przesądów narodowych, zatratę onego nie Polkom ale szerzącéj się oświacie, napływowi cudzoziemców i licznym podróżom współrodaków naszych przypisać należy.“

Trzeba przyklasnąć i z uszanowaniem czoła pochylić przed gorącém sercem, z którego te słowa wypłynęły, przed tém świętem oburzeniem, z jakiém Nakwaska ciężki zarzut uczyniony jéj spółrodaczkom odpiera. Ale z drugiéj strony trudno się oprzéć żalowi, że tak fałszywie i powierzchownie patrzyła się na rzecz godną najgłębszego zastanowienia. Miłości ojczyzny i narodowości czyni się według niéj zadosyć, jeźli się wpaja w młode umysły uczucie honoru i odwagę wojskową, które w pewnych wyjątkowych chwilach mogą przynieść chwalę narodowi, bo nie zawsze, jak przykłady uczą, pożytek, — ale o tém ona nic nie wié, ile ta narodowość traci codziennie, na każdym kroku, jeśli ci, co wszystkie oznaki, pamiątki i objawy, szanować i utrzymywać powinni, odrzucają je ze wzgardą i lekceważeniem jako nierozsądne, niepotrzebne i śmieszne, widząc w nich tylko „dawne nałogi i przesądy“, godne jedynie, aby je szanował i przechowywał gmin i pospólstwo, nie zaś ci, co się wybranymi nazywają. Jest-to patryotyzm *sui generis*, którym zawsze osłaniali się i osłaniają ci, co w cudzoziemskim wychowaniu i sposobie życia prawdziwe poczucie narodowości zatracili.

Dwa powyższe artykuły są jedynemi pedagogicznemi pracami Nakwaskiéj. Pomimo że oryginalną twórczość od téj gałęzi rozpo-

częła, nie było jej przeznaczeniem iść drogą, którą równocześnie z nią poszła Klementyna Tańska. Dopiéro przy końcu znowu karyery literackiéj powraca w jéj pismach myśl pedagogiczna, ale tylko jako tendencya, nie zaś jako teoretyczne obrobienie kwestyi. O jéj działaniu na tém polu wiemy zresztą to tylko, że należała do rady dozorczéj nad wychowaniem kobiecém, jakie w każdém mieście departamentowém Izba Edukacyjna r. 1808 utworzyła. Kiedy jednak została taką „eforką“, tego dokładnie oznaczyć nie umiemy. W każdym razie, jéj pedagogiczne rozprawy i ta honorowa godność muszą być w pewnym związku z sobą, i albo Nakwaska została mianowana eforką, zwróciwszy poprzednio na siebie uwagę temi artykułami, albo też, co prawdopodobniejsza, rozprawy te były wynikiem jéj bliższego zapoznania się z wykształceniem kobiecém i z zakładami wychowawczemi wskutek obowiązku, jaki na siebie w radzie dozorczéj przyjęła.

(D. n.) *Adam Bełcikowski.*







ZE SŁOWACYI.

II.

(Wejście w dolinę orawską.—Trawnice.—Rodzina ornitologa polskiego w puszczy.—Pieśń, opowieść i klechda słowacka.—Dowcip kobiecy).

Droga z Zakopanego na Osobitę i Rohacze nie wielu znana turystom. Na zachód samotnie i zdala położone od uczęszczanego pasma Tatr, góry te nęcą ku sobie tylko wytrwałego lub szukającego niebezpieczeństw i świeżych wrażeń podróżnika. Ale część drogi, prowadzącéj tamtędy, zwłaszcza w dolinę Orawską, nie wydaje się zupełnie obcą dla miłośników fauny tatrzańskiéj. Od lat kilku przesuwają się w to ustronie tak z Królestwa Polskiego, jak jeszcze bardziéj z Węgier co raz to częstsi i liczniejsi goście, szukający—co prawda—tak strasznych mieszkańców tatrzańskich, jakimi są orły, dziki i niedźwiedzie, ale przy warunkach zupełnego bezpieczeństwa dla tych nowożytnych Nemrodów i co ważniejsza—w nadziei przypatrzenia się naraz tym, jak i wielu innym czworonożnym i skrzydlatym mieszkańcom gór naszych.

Sposobność taka może się stać udziałem każdego, kto nie pożałuje kilku godzin wędrówki z Zakopanego i zechce nadużyć gościnności p. Kocyana w Orawicy.

Któż to jest—zapytacie—pan Kocyan i gdzie się znajduje ta Orawica.

Nie dojeżdżając z Zakopanego do doliny Kościeliskiéj, w tém miejscu, gdzie się kończy Hruby Regiel, a Kir w łuk się wygina, jeden dotąd gościniec rozpada się na dwa ramiona: południowe prowadzi do owéj doliny, a północnozachodnie obok karczmy, leśniczówki i tartaku, ku granicy węgierskiéj, przez las. Nie bez żalu w pierwszéj chwili schodzimy z drogi kościeliskiéj i po przejściu Czarnego Dunajca zapuszczamy się w gęstwiny leśne, które odtąd z małemi przerwami, jak np. na polanach Siwéj i Witowéj, ciągną się na

kilka mil wzdłuż. Nie są to jeszcze lasy dziewicze, właściwa puszcza, nietknięta siekierą człowieka. Posunęły się one bardziéj ku wirchom zachodnim, zdala od ścieżek wydeptanych w dolinach. Ale téż nie widać tu owych groźnych olbrzymów tatrzańskich, tych wyniosłych, dzikich, poszarpanych turni skalnych, co się tak smutno piętrzą nad doliną Zakopańską i nagiemi szczytami swemi stawają w ciągłych zapasach z chmurami i burzami, wypłaszają nawet ze szczelin swoich świat roślinny i zwierzęcy. Przeciwnie, falujące tu łagodnie, zazielenione wzgórza z jednéj i drugiéj strony ścieżek, bujne bogatą roślinnością lasy, a wśród nich często ścielące się wzorzystym kobiercem łąki, skropione licznemi strumykami i szerokiemi potokami,—roztaczają przed okiem krajobraz mniéj majestatyczny, mniéj groźny, ale miły, błogi, niekiedy głuchy i tajemniczy, ale często uśmiechnięty i tak łagodny, że zapomniałbyś, iż jesteś wśród Tatrów, gdyby ci tego nie przypomniał gdzieniegdzie z hałasem szumiący potok, wyzierająca tu i owdzie z za zielonych świerków skała, świst świstaka lub orzeł szybujący w powietrzu od Osobitéj i skał Siwońskich.

Kraj to ten sam niby, a jednak odmienny: przechodzisz zwolna od pochyłości północnéj do sieci wód, spływających z Dunajem do Czarnego morza; nie jesteś w puszczy, a czujesz jéj zapach i powiew; oddaliłeś się zaledwo mil parę od Zakopanego i trochę więcéj od Swinicy, Granatów i całego pasma turni, stojących na straży całéj doliny nowotarskiéj, a straciłeś z oczu nietylko ich widok, ale i tę naturę płonną, złotawo-szarawą, która stanowi ich tło wybitne. Te same jodły i świerki obrzeżają tu łąkę, ale gdy się zapuścisz poza niemi w gęstwinę leśną, czujesz jak się miękko stąpa nietylko po suchych mchach borów iglastych, ale i po pulchnych, tłustych warstwach humusu, ścielącego się u stóp grabów, osiki, a niekiedy dębów i buków; drobnolistna paproć doliny strążyskiéj rozrosła się tu w szerokie, wspaniałe wachlarze, uczepione jakby na długich łańcuszkach—na niciach zwieszającego się ze smerek blado-zielonego mchu powojowego, tak zdobiącego dolinę Małéj Łąki, a tak gęsto splotami swemi osłaniającego dziewiczość lasów tatrzańskich; obok wesołego modrzewia i fantastycznéj limby, tyle powabnéj dla turystów, spotkasz sporadycznie rosnący cis, jeszcze bardziéj powabniejszy dla góralskich junaków (jako ozdoba ich kapeluszy); obok rozkosznego wiązu—skromna rumieniejąca się malina; przy ciernistym spalonym głogu, wijący się po leszczynie ciemno-zielony świeży bluszcz, a pomiędzy niemi wyzierający lękliwie jaskier i miryady macierzanki, dzwonków, białych astrów i chryzantemów alpejskich, tych nieodłącznych towarzyszy chat tatrzańskich.

Bujna to roślinność dla świata zwierzęcego, dziwna ustroń dla kontrastów natury! Szemrzącéj wodzie cichéj wtóruje świegot wesoły ptasząt, brzęczenie owadów, szmer różnolistnych krzewów przerywany świstem świstaka, a o parę zaledwo staj daléj głucha, tajemnicza cisza wśród ostępu leśnego, zamącona niekiedy łomotem gałęzi przez ciągnącego od regli dzika, lub rykiem posuwającego się ku dalekim legowiskom niedźwiedzia.

Wśród takiego to otoczenia podążałem tamtędy od strony Zakopanego w ostatnim dniu sierpnia 1883 r. w towarzystwie M., medyka wrocławskiego i dwóch przewodników górali. We dwie godziny od Kościelisk przekroczyliśmy suchą granicę węgierską i pod Witową weszliśmy na Orawę. Wypocząwszy chwilkę i posiliwszy się zapasami podróżnemi na jednéj z owych hal, których gleba raczéjby służyć mogła ogrodnikom, niż wędrownym juhasom, szybko podążaliśmy ku dolinom Cichéj i Orawicy. Niebo było okryte lekkiemi chmurami, odsłaniając z poza ich przejrzystéj kotary kawałki jasnego błękitu, a w powietrzu panowała ta orzeźwiająca świeżość półwiosny, półjesieni, właściwa Tatrom. Toć mimo zwilżonéj parodniowym deszczem ziemi i śliskiéj lub grząskiéj drogi w ostępach leśnych, mogliśmy po wczesnym obiedzie w Zakopanem ujść prawie cztery mile do wieczora.

Przy skręcie z jednéj dróżyny na drugą przyłączył się do nas przewodnik słowacki, wracający z komitatu zemplińskiego, dokąd chodził na żniwa. Żwawy, wesoły, 25 letni Jurko przesadził zręcznym skokiem strumyk, który nas dzielił od niego z pieśnią na ustach:

Cicha woda brehy myje, to prawda,
Uż mne moja mila lubić ne żada:
Pobanujesz (1), mila moja, aż wtedy,
Ked ja pujdu druhej milej w ohledy.

Zdala widział tylko naszych górali, a gdy i nas wychylających się z zarośli ujrzał, urwał pieśń, wyprostował się i zasalutował po wojskowemu.

— Pewnoście służyli w wojsku? zapytałem.

— Ano, pam moj, kralowski som sluha poweky (2).

— Co u licha: śpiewacie po zemplińsku, a mówicie po nowohradsku!

---

(1) Pożałujesz.

(2) Węgrzy nie lubią nazywać cesarza austryackiego cesarzem, jeno królem, aby zaznaczyć, że uznają w nim godność tylko króla węgierskiego. Słowacy dopóki są w służbie wojskowéj, nazywają monarchę swego kajzerem, cisarzem; ale gdy wracają do kraju bądź ostatecznie, bądź na urlop, poddają się modzie madiarskiéj.

— La, pam moj, z Zemplina mam aj peniaze a diewcza; w Honte ale kuwikau nam kuwik na dome, a matka prazdnu kolisku (1) nekolisala.

Ośmielony przez nas a rozmowny z natury szuhaj (chłopiec) zaczął nam opowiadać, jak otrzymawszy urlop, pracował przy łupkowskiéj kolei, gdzie zarobiwszy trochę grosza i zakochawszy się, wraca teraz do domu, do Nowohradu, czy Hontu, ale po drodze zboczył w orawskie, gdzie kamrat jego z jednéj kompanii ma rodzinę, a gdzie słyszał, że wielki wyrąb bywa lasów i gdzie przeto spodziewa się jeszcze więcéj coś zarobić przed ożenieniem się. — Ale nie wiem— dodał—-czy mi się to uda, bo dzierżawcy żydowscy lasów mało płacą.

Przechodziliśmy obok polanki, zkąd doleciał nas świeży głos dziewczęcy:

Bola som na trawe w Kubińskom chotare,
Hajnik ma nahanial bodaj nohu zlámal.

— A daleko ztąd do Kubina? zapytałem przewodników.

— Dobrych ośm godzin, proszę pana.

— Za daleko chodziła ta dziewczyna—zauważyłem z uśmiechem,—i niegrzeczny gajowy źle postąpił, że tak dalekiego gościa wypędził.

— Ona ino tak śpiéwa, proszę pana.

Zaglądnęliśmy przez zarośla: hoża dziewoja żęła trawę; głos jéj dźwięczny odbijał echem od sąsiednich wzgórz:

Tam pri moste trawa rostie,
trawa diatelinka;
bude to diewczynka,
Ked' narostie, ked' narostie.

A ja rada, ze som mlada;
nakosim trawiczky
pre sztyry krawiczky
Z winohrada, z winohrada.

Z wesołéj, nuta stała się rzewną, kiedy dziewczyna zmęczona pracą usiadła na zżętéj trawie:

Spiewaj si, slawiczku, w zelenom hajiczku,
a ja si zaspiewam iduc na trawiczku.

Trawiczka zelena, kade ja chodiewam,
lebo ju ja czasto slzami poliewam.

Usta mi spiewaju, oczy sa mi smeju,
ale od srdieczka slzy sa mi leju.

Nebudem wesela, ani nemożem byt',
Szuhaj ma zanechal, czo ma poczal lubit',

Tak sme sa, szuhajko, my dwa rozleteli,
jako tie holuby, ked' medzi ne streli.

---

(1) Gdzie w domu nad rankiem kuwik huka, tam wkrótce urodzi się dziecko. Próżnej kolyski troskliwa matka nie powinna kolysać, bo to odbiera sen dziecięciu. Powyższy wiec frazes oznacza: w Honcie urodzilem się i tam mię matka troskliwie wychowała.

Dziewczęta idące na żęcie (sierpem) lub zbiór trawy, zowią się tu *trawnicami*. Powiadają o nich: „Trawnice, trawnice, w poli zaszkodnice, ale ste do domu dobre robotnice.“ Idąc na trawę, śpiewają po drodze i na miejscu piosnki wolnego *tempo*, przy czém ostatnią zgłoskę wiersza znacznie przedłużają. Pieśni te, w rodzaju powyżéj przytoczonych nazywają się także *trawnicami*, chociaż wpierw tém mianem zwano piosnki także „wolnego ruchu“ dwunastozgłoskowe (aleksandryny, krakowiaki) (1). Słowackich tych krakowiaków ogromna ilość obiega po kraju, a większa część jak nasze osnute na niespodzianych porównaniach, np.

Beži woda, beži, po kamienkoch huczy,
Kto wzdychat ne umie, laska (2) ho nauczy.

Na tichom Dunaji biela huska plawa:
Kde je welka laska, tam skoro prestawa.

Horiczka zelena, zimozelenawa
Žiadna mamka ne wie, komu dceru dawa.

Niepospolitym wdziękiem i urokiem nacechowane są te piosnki, chociaż częściéj niż wesołość i rubaszność krakowska, wieje z nich rzewność, a nieraz tęsknota jak z dumek ukraińskich.

Nie należy tego charakteru brać wzbyt ścisłém znaczeniu, a jeno w porównaniu krakowskich żwawych i raźnych piosnek. Wzięte same przez się, przedstawiają one szeroką skalę uczuć, począwszy od śmiechu do łez, jak w życiu, jak w naturze, na łonie któréj one powstały. Toć prostota i naturalność wieje z każdéj zwrotki, z każdego wiersza. Nieraz ta harmonia i łączność z naturą jest tak wielką, tak naiwną, że zdajesz się widzieć świat pierwotny, świat tych dziewiczych omamień, których nie wynaturzyła konwencyonalność społeczna. Po dolinach i borach, gdy nastaje pora jagód, rozbrzmiewa pieśń miłośna dziewcząt i chłopaków, dających sobie nawzajem odzew śpiewny, lecący echem wśród gór i ostępów, jakby pary słowików, ciągnących w trelach rozmowę miłosną w noc majową:

Młodzieniec.
Hora, hora, lesy:
Powiedz diewcza czie si?

Dziewczyna.
Powedala by som,
sama ne wiem czia som.

Dziewczyna.
Hojže szuhaj dwe doliny
Krajszie diewcza lež maliny:
Na maliny slnko swieti,
a na diewcza krasa leti.

Młodzieniec.
Hojže diewcza samopaszno,
czos hladalo to si naszlo:
hladalo si szuhajiczka,
czierne oczy, biele liczka.

---

(1) P. „*Slovenske Spevy*“ wydane pod kierownictwem Jana Francisciego, Pawla Mudronia, Andrzeja Haluszy i Jana Kadawego; oraz „*Prostonarodnie Obyczaje*“ p. Pawla Dobszyńskiego. — (2) Miłość.

Młodzieniec.
Ma mila, premila,
Pod'me na mallny;
budeme sa diwat'
z wrszku do doliny.

Dziewczyna.
Z wrszku do doliny
na zelenu luczku
Podam ti na jaseń,
Mily, prawu ruczku.

* * *

O samym prawie zachodzie słońca opuściliśmy ostatni gęsty ostęp świerkowy i weszliśmy w rozwartą na perspektywę paru kilometrów dolinę, łagodnie pochyloną ku płynącemu w dalszą puszczę potokowi.

— Orawica! — zawołali jednocześnie obadwaj przewodnicy.

W końcu skręcającéj się dużym łukiem doliny na polanie pochylonéj ku potokowi, a wdzięczącéj się ku nam z jednéj strony wełnianką śnieżnéj białości, a z drugiéj jasnozielonym tamarysem i grupą ciemnych przepysznych wierzb, ukazała się z dala biała, murowana kaplica, a o paręset kroków od niéj modrzewiowy bronzowéj barwy dworek z maleńką facyatą i biegnącą do koła galeryą. Parę jesionów przy ganku, mały ogródek warzywny i kwiatowy z jednéj strony, a parę lamusów gospodarskich z drugiéj — to całe otoczenie dworku — to Orawica.

Nad pasmem wspinających się ku polanie wirchów wznosi się od południowego zachodu Osobita, od Chochołowskiéj szczyty Bobrowca i Wołowca, a poza doliną u drugiego końca łuku, poza polanką znów się ciągną ciemne lasy, gubiące się w puszczy dziewiczéj. Taką jest Orawica. Półtory mili od wsi, a półtrzeciéj do Trzciany (Trsteny) — to najbliższe etapy dla świata ludzkiego.

I w téj to puszczy, zdala od ognisk cywilizacyi, spotykacie człowieka na skromném stanowisku leśniczego, pracującego dla nauki; znajdujecie zbiory, dające nam wspaniały obraz organicznego świata Tatr, zasilające od lat kilkunastu gabinety prywatne i publiczne Polski, Węgier i Niemiec, a będące dziełem tegoż jednego człowieka, przy pomocy skromnéj jego rodziny.

Gdyśmy się zbliżyli ku dworkowi i weszli na ganek jego, zastaliśmy p. Kocyana, jak żołnierza na posterunku, przy ulubioném jego zajęciu: na pożółkłéj i zbronzowanéj wiatrami górskiémi ścianie zewnętrznéj domu, wśród mnóstwa klatek, wazonów i kwiatów wychylających się z ogrodu, stérczała olbrzymia głowa dzika, świéżo wypchana i spreparowana do użytku muzealnego, a pogromca onéj, stojąc obok i wpatrując się z lubością w srébrnopłową jéj szczeć, tudzież w misternie osadzone sztuczne oczy, dokonywał ostatniego mistrzowskiego przyłożenia ręki do jéj wydłużonego i przed chwilą napełnionego kitem ryja.

— Właśnie wczoraj o téj porze przemogłem bestyę — mówił gospodarz, przywitawszy nas gościnnie — a że w ciemności nocnéj strzały podziurawiły skórę, zostawiłem więc tylko łeb na okaz; takiż sam los spotkał przed dwoma tygodniami niedźwiedzia, którego głowę również mam zaszczyt panom przedstawić — dodał, zapraszając nas do wnętrza domu.

Komnata, do któréj przedewszystkiém weszliśmy, już na pierwszy rzut oka sprzętami, urządzeniem i dekoracyą ścian najwymowniéj świadczyła o potrójnym charakterze zajęć jéj mieszkańca. Bogatéj kolekcyi torb myśliwskich, sideł i sieci odpowiadała niemniéj doborowa armatura z lefoszówek, pistoletów i kordelasów, złożona z pewnością nie dla parady, bo ponad nią ze wszystkich czterech ścian występowały dziesiątki rogów sarnich, jelenich, kozic, głowy lisów, zajęcy, szpony sępów i orłów, a przy łóżku i sofach — skóry wilcze i niedźwiedzie, jako trofea myśliwca. Przy oknach rachunki ekonomiczne z rubrycelami dokładnemi dla rozległych działów lasowych, agendy gospodarskie dla kierownika i parobków, kalendarze z wypełnionémi na każdy dzień i godzinę rubrykami — to zajęcia leśniczego postępowego i gorliwego o powierzone mu dobra. Przy oknie długi warsztat ze śrubsztakami, zapełniony nożami, skalpelami, szkłami i różnemi świeżemi preparatami chemicznemi, świadczyły o nieustającéj pracy preparatora gabinetów i muzeów; nad warsztatem przy oknie szematy meteorologiczne, nadesłane z węgierskiego Towarzystwa tatrzańskiego dla stacyi orawickiéj, skrzętnie a umiejętnie wypełniane we wszystkich możliwych rubrykach najwyższéj i najniższéj temperatury każdego miesiąca, średniéj stanu zachmurzenia nieba, sumy opadu atmosferycznego i t. p., przypominały ustawiczną czujność badacza, który musiał niepospolicie wywiązywać się ze swego zadania, jako umiejętny preparator, dzielny łowiec i zdolny badacz, skoro każda z czterech ścian poniżéj trofeów myśliwskich ozdobiona trofeami naukowemi, dyplomami, pozyskanémi na różnych wystawach krajowych i zagranicznych.

Ale nie dość na tém.

Korzystając z chwilowéj nieobecności gospodarza, który w widokach gościnności przedsięwziął krótką wycieczkę gospodarczą i poszedł na zwiady do apartamentów niewieścich, — przenosimy wzrok od szafy, zapełnionéj dziełami przyrodniczémi i poświęconemi łowiectwu, ku stołowi okrytemu najnowszemi publikacyami i czasopismami tegoż rodzaju. Tam pomiędzy stosami zadrukowanego papieru, rzuca nam się przypadkowo Jaskółka, jako pięknie wykonany drzeworyt i tytuł illustrujący miesięcznik „Wiédeńskiego Towarzy-

stwa Ornitologicznego (1)" wydawany przez redakcyą dra Gustawa Haycka i Aurelego Kermenica. Bierzemy go do rąk i zaraz w najnowszym zeszycie z sierpnia 1883 r. spotykamy prace p. t. Ptaki północnych Tatrów przez Antoniego Kocyana, leśniczego w Orawicy (Arva) na górnych Węgrzech (2), poprzedzoną następującą przedmową p. Tschusi zu Schmidhoffen:

„W badaniach nad tatrzańskim światem ptaków podali w swoim czasie nader cenne materyały hr. Kazimierz Wodzicki (3) i jeszcze bardziéj Ernest Schauer (4), który w 1861 r. dwa miesiące z rzędu poświęcił badaniom ornitologicznym na centralnym stoku Karpat. Temu ostatniemu też głównie zawdzięczamy dokładne określenie ptastwa tatrzańskiego, co do którego panowały przedtém — zgodnie z podaniami Zawadzkiego — błędne często poglądy.

Od tego czasu minęło 22 lat (5), a żadna wiadomość o skrzydlatym świecie Tatrów nie mogła się do nas przedrzéć; mimo to ówczesna wycieczka Schauera spowodowała powstanie pracy, która właśnie teraz leży przed nami. On to w powabnie położoném Zakopaném dał pierwsze wskazówki preparowania (okazów naukowych dla muzeów) tamtejszemu podówczas leśniczemu, p. Ant. Kocyanowi i rozbudził jego zamiłowanie dla świata ptasiego. Od téj pory p. Kocyan gorliwie bada i zbiéra, tudzież posiada w miejscu obecnego swego pobytu, na leśniczówce w Orawicy orawskiéj, wielce ciekawy zbiór, przedstawiający dokładny obraz ptastwa tatrzańskiego. Obecnie p. Ant. Kocyan podjął się wdzięcznego zadania zestawienia swych dwudziestoletnich przeszło spostrzeżeń i publikowania onych pod tytułem: „Ptaki północnych Tatrów". Oby tak zasłużony badacz mógł długie jeszcze lata poświęcać się swym ulubionym studyom, które każdemu pracującemu w tym zawodzie z dniem każdym dodają zachęty."

---

(1) Towarzystwo to zostaje pod protektoratem następcy tronu, arcyksięcia Rudolfa, który jest też onego i członkiem rzeczywistym, zamieszczającym często swe prace w powyżéj zaznaczonym organie Towarzystwa: Mittheilungen des Ornithologischen Vereins in Wien.

(2) Die Vögel der Nord-Tatra von Anton Kocyan Förster in Orawitz (Arva) in Ob. Ungarn.

(3) W dziele p. t. Wycieczka ornitologiczna w Tatry i Karpaty galicyjskie na początku czerwca 1850 r.

(4) Przebywający pono już podówczas w Muzeum Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. (Otto).

(5) Niedawno również pojawiła się publikacya p. Wł. Taczanowskiego p. t. „Ptaki krajowe".

Po czém następuje sama praca p. Kocyana podług przyjętéj klasyfikacyi i z nomenklaturą łacińską, polską i słowacką.

Zajmujące czytanie téj pracy przerwało wejście gospodarza, który wprowadziwszy nas do pokoju bawialnego, przedstawił żonie i córkom. Tchnące wdziękiem i powabem niewieścim urządzenie saloniku, tworzyło zarazem harmonijne pendant do widzianéj przed chwilą komnaty męskiéj.

Zwykłe ubranie pokoju obrazami, sztychami, zwierciadłami i porcelaną znikało pod wrażeniem uzupełniającéj je świéżéj a oryginalnéj ornamentacyi, którą tworzyły kolekcye motyli i kwiatów tatrzańskich w formie bukietów, wieńców, bas-reliefów i t. p. ułożonych staranną rączką, a z taką umiejętnością, zamiłowaniem i gustem, że z trudnością przychodziłoby oderwać wzrok od tego obrazu skrzydlatych i kwiecistych mieszkańców gór, gdyby nie obecność tych, które ich uwięziły, tych żywych kwiatów i motyli, wyrosłych tak wdzięcznie na gruncie tatrzańskim, a mających powab nietylko piękna, ale i życia. Gwoli takiego towarzystwa można się było nawet skazać dobrowolnie na wieczne uwięzienie pod kloszem, gdyby oczywiście, posiadało się warunki przynależności tatrzańskiéj i naturę kwiatu lub motyla. Gdy nam jednak, niestety, takowych niedostawało, musieliśmy poprzestać na czasowéj biesiadzie i przeciągnąć ją do północy, nadużywając w ten sposób gościnności, którą nam z taką uprzejmością ofiarowała pani domu.

A zaprawdę biesiada ta miała dla mnie wiele rozmaitości i uroku. Miłe i nader ujmujące córki gospodarza domu, pełne wdzięku prostoty i zamiłowania do otaczającéj ich natury, przeniosły to zamiłowanie z przyrody, na ludzi, na kraj cały, na Słowacyą, która stała się dla nich drugą ojczyzną. Wszystko co dotyczyło tego ludu, obchodziło je na równi z ich własnym losem. Lubowały się one jego zwyczajami, pieśnią, podaniami, a interesując się jednocześnie i szerszym światem, wśród niego zaszczytne miejsce zostawiały Słowakom. Gdy na żądanie ich opowiedziałem parę epizodów z podróży moich na Wschód, one wywzajemniły mi się opowieściami, podaniami i klechdami tego ludu. Była mowa o charakterze i umyśle kobiet słowackich z ludu. Starsza panna Kocyanówna podała w oryginalnéj gwarze liptowskiéj opowieść o dowcipie kobiecym:

„Kiedyś, może i nie tak dawno, żyli dwaj chałupnicy: jeden ubogi, drugi bogaty. Ubogiego całe mienie składało się z jednego prosiaka; a i tego nie było czém hodować, skoro w chałupie było jak na dłoni. Bogaty miał z dziesiątek tych tucznych, karmiąc je jęczmieniem. Że się to działo w jednéj zagrodzie, prosiątko nie raz

zabiegło w ciągu dnia do trzody bogacza i nałykało się jęczmienia. Obmierzło to bogaczowi, schwycił za pałkę i nuże po łbie prosię. Przewróciło się na ziemię, i było już po niém.

Ubogi poszedł na skargę do pana stolicznego (1), że mu się krzywda stała.

Bogaty bronił się, że i on miał szkodę, i nie chciał płacić za prosię. Pan stoliczny nie mógł ich pogodzić: „No, dobrze — powiada naostatek, — obu się wam stała szkoda i ten zostanie odszkodowany, kto jutro rano przyniesie odpowiedź na zagadkę: Co jest najtuczniejszego? Co najrychlejszego? Co najczystszego?

Oba odeszli do domu ze spuszczonémi nosami.

Bogatego przywitała żona: „No, czoze chodisz, ako opareny?“— „Ej, daj mi aspoń ty pokój“,—odburknął jéj,—„wed' by to ani czert ne wymyslel. Eszte ti nam hadky zahadal, że wraj toho bude prawo, kto jich uhadne“. — „Nuż czo za hadanky?“ — „Że wraj, czo je najtucznejsze, czo najrychlejsze, a czo najczystejsze?“ „Nuż ale eszte aj na tém hlawu lamesz, ty trubiroh, ty? Wed, si to hned mohol pomysliet: czożeby balo tucznejsze, ako nasza krmnica, ktoru aż od troch roków krmime; czoże by balo rychlejsze, ako nasze kone, czo jich kazdy deń obrokujeme; a czożeby balo czystejsze, ako nasza studnia, do któréj kazdy rok dwa centy soli wrhneme“! — „A weru prawdu masz, żeno moja“! Rozjaśniła się twarz bogaczowi, który już sobie z góry wyobrażał jak go starosta poklepie po ramieniu za jego mądrość.

Ubogi człowiek przyszedł do domu zasmucony. Na spotkanie mu wyszła szesnastoletnia córka i wnet mu z oczu wyczytała, że sprawa wcale dobrze nie poszła: „Nuż czoże wam je, apko? Ból by to hrom, nie rabata, ak by ste boli przehrali“! „Przehrat' som eszte neprzehral, ale ani newiem, czo dohram“,—rzekł ojciec i opowiedział córce całą sprawę. — „Nicz nebojte sa, apko: wed' ja si to do rana premyslim“, uspokaja córka i z tém udali się na spoczynek.

Nazajutrz rano córka poszeptała ojcu na ucho, i ten poszedł weselszym do pana stolicznego. Czekał już tam bogacz, hardo się stawiając pierwszy do sądu. Ale trzeba było widzieć, jak się mu twarz wyciągnęła, gdy pan stoliczny na jego gadanie pogroził, aby mu z takiémi plotkami nie chodził do domu.

„Nuż a tyże? czoże si ty wyhutal?“ — zwrócił się teraz do ubogiego. — „Nuż prosim poniżene pana urodzeneho, ja len tak powiem, że *najtuczniejsza je nasza maticzka zem*, lebo z nej wszetci tyjeme

(1) Stolica=powiat, okręg, komitat; pan stoliczny=naczelnik komitatu, starosta, żupan, sprawujący też urząd sądowy.

(tuczymy się, karmimy); *najrychlejszy je ale mesiac*, bo ten kazde sztyry tyżdne zem i nebe obehne; a *najczystejsze je slnce*, lebo naweky rownak pekne swieti" (1).

Pan przysądził ubogiemu ową maciorę (krmnica), którą od trzech lat karmił bogacz; ale nie dowierzając mądrości ubogiego, wydobył od niego zeznanie, że odpowiedzi owe podała mu córka.

— „No, kiedy masz tak mądrą dziéwkę— powiedział mu — na, zanieś jéj tę garść lnu, właśnie tylko-co mi ją z pola donieśli. Niech mi ją we trzy dni wymoczy, wysuszy, wytrze, wyczesze, sprzędzie, a z przędzy utka płótno i wybieli; z tego płótna niech uszyje dla mnie piękną koszulę na wesele. Gdy mi to zrobi, poprowadzę ją do ołtarza na to wesele; a jeżeli nie zrobi, to postąpię z nią jak z taką, co mi się wtrącała w moje prawo, i sąd mój zniszczyła. A teraz ruszaj mi z oczu."

Aj, jak ruszał. Wolałby był nigdy nie chodzić na to prawo (2).

Z garści lnu przygotować całą piękną pańską koszulę, i do tego w trzy dni! To rzecz niesłychana! Ale gdy dziewczęciu opowiedział rzecz całą, ono nic się nie zafrasowało, jeno odłamało młody pręcik z gałęzi, podało go ojcu i rzekło:

— „Weźcie tato mój, pójdźcie jeszcze raz do tego pana z odpowiedzią, że gdy mi z tego pręcika przygotuje do rana kądziel, wrzeciono, motowidlo, krosna, kołowrotek i to wszystko co potrzeba, aby z garści lnu zrobiło się płótno, i koszula, to ja mu to wszystko wykonam jak rozkazał."

Miły pan poznał z kim ma do czynienia. Czy tak postąpił, czy inaczéj, dość, że przygotował dla niéj to wszystko, czego żądała. Ona téż mu na trzeci dzień posłała ślubną koszulę.

— „Dobrze —powiada pan stoliczny ojcu — kiedy twoja córka jest takim majstrem, to niechże już teraz przyjdzie na wesele. Ale niech nie przychodzi ani w dzień, ani w nocy, ani piechotą, ani wozem, ani na koniu, gościńcem i niegościńcem, ani obleczona, ani naga, a niech mi przy tém przyniesie dar i nie dar!"

Ojciec pokręcił głową i zafrasował się. Ale córka go uspokoiła. Pan od téj pory ciągle siedzi w oknie, wygląda małéj dziewuchy. Na trzeci dzień rano, jeszcze wszyscy spali, bo ledwo zaczęło świtać, a już znów był w oknie. Widzi, młoda dziewczyna zdąża ku jego

---

(1) Opowieść ta ma wzbiorze Pawła Dobszyńskiego jeszcze drugi waryant, podług którego pytania tak brzmiały: co *najmilsze* człowiekowi (bogacz: *żona*, ubogi: *życie*); co *najsłodsze* (bogacz: *miód*, ubogi: *sen*); co *najchytrzejsze*—w znaczeniu staropolskiém—(bogacz: *koło młyńskie*, ubogi: *myśl*).

(2) W znaczeniu sądu.

dworowi, a było to ani w dzień, ani w nocy, jeno o świcie; zdąża ani piechotą, ani wózkiem, ani na koniu, bo siedziala na capie i od czasu do czasu dotykała ziemi, i to gościńcem i niegościńcem, bo cap kroczył koleją ścieżkową; ani obleczona, ani naga, bo miała sak na sobie przepasana jeno zaścieżką; na piersiach miała koszyk, miał to być także jakiś dar i nie dar.

Pan wnet jéj posłał służącą z pięknemi szatami ślubnemi, aby mu już w nich podała ten dar i nie dar.

Śliczna jak róża w pączku, weszła do jego komnaty i podała mu dwa gołąbki. A gdy chciał wziąć do ręki, ona je puściła. Zatrzepotały gołębie skrzydlami i wylecialy przez otwarte okno na świat szeroki. Tak mu więc dała dar i nie dar, bo miał je, ale wnet nie miał.

— „No, duszo moja — mówił jéj pan — myśmy od téj godziny swoi. Ale żeś taka mądra, a ja téż mam swój rozum, sama przyznasz, iżby nie gładko toczył się wóz naszego życia, gdybyś mi nadal wtrącała się do mego prawa, przeto ci jeszcze przed ślubem zapowiadam, iż jeśli coś najmniejszego dostrzegę, że wkraczasz w moje prawa, to się rozstaniemy.

Ona zgodziła się na to, i poszli tak oboje przed ołtarz.

Żyli jak dwa gołąbki — przykładnie i lubo.

Razu pewnego stanęli przed sądem dwaj podróżni. Jeden pędził stado koni, drugi stado wołów. Obadwaj zanocowali razem. W nocy ożrebiła się koniarzowi klacz i źrebię zabłąkało się pomiędzy woły. Wolarz znalazł je przy wole i nie chciał oddać koniarzowi. Pan stoliczny przysądził źrebię wolarzowi, który lepiéj snać umiał smarować.

Narzekającego na taką krzywdę koniarza spotkawszy pani stoliczna na podwórzu, doradziła, aby po południu, gdy mąż jéj przechodzić będzie przez łąkę obok potoku, wziął kosę i kosił po wodzie, a późniéj — sak i łowił nim rybę w trawie.

Jakoż po południu, gdy pan stoliczny wyszedł na przechadzkę i ujrzał koniarza koszącego po wodzie a łowiącego ryby w trawie, zdumiał się.

— „Cóż ty na opak światu robisz, ośle Chrystusa Pana.“

— Napróżno mnie pan stoliczny mianuje osłem — odrzecze koniarz — skoro to może być, że się wół ożrebił, to tak samo trawę w wodzie można kosić, a rybę w trawie łowić.

Pan za przyrzeczenie przysądzenia napowrót źrebięcia, wydobył przyznanie się koniarza, że mu tak doradziła żona pańska.

Wolałby był dożyć nie wiem czego, niż téj wiadomości, bo lubą swoją pieszczotkę turkawkę coraz bardziéj miłował, ale inaczéj

nie wypadało, jeno rozstać się z nią i odesłać ją do domu ojcowskiego, jeżeli chciał się postawić na słowie. Jakoż powróciwszy, wypowiedział jéj dom. — „Zbierz sobie manatki — rzekł na ostatek — co ci się najbardziéj podoba, a idź mi z domu.“

Ona nic nie przeczyła, jeno jako ostatnią łaskę wywodziła, aby mu mogła jeszcze sporządzić wieczerzę, by po raz ostatni razem powieczerzali. Pan przyzwolił. Wieczerza była smaczna, a do tego dobre winko. Sama mu dolewała „jeszcze na ostatek“, a miły pan tak się podochocił, że do dna samego wychylił — i usnął. Można było pasy drzéć z niego, a nie obudziłby się.

Wóz pani stał już w pogotowiu. Kazała pana posadzić do wozu, a sama usiadła przy nim i kazała się zawieść wprost do chałupy ojcowskiéj. Skoczyła z wozu, swoją ubożuchną wieśniaczą pościel usłała i męża na niéj ułożyła.

Nazajutrz zaczął urodzony pan stoliczny dobrze oczy przecierać, gdzie się ocknął, co się stało, żeby jego pańskie komnaty tak za jedną noc przemieniły się w izdebkę wieśniaczą? Tu się zbliżyła ona ku niemu i rzekła:

— „A dobrze ci się spało, mój miły? Widzisz, dobrze się sypia i w wieśniaczéj chałupie. Snać dobrze nam tu będzie, możemy tu pozostać na wieki.“

— „Dobrze, ale jakże to się stało? Coś ty zrobiła ze mną?“

— „Niezapomnij, mój miły, że dopiéro wczoraj wieczór wywołałeś mnie z domu; pozwoliłeś mi oprócz tego wziąć z sobą, co mi się najbardziéj podoba, co najwięcéj lubię. Wzięłam ciebie!“

— „No, że téż to nikomu innemu chyba kobiecie przez głowę nie przejdzie!“—rzekł pan,— a wszystko zakończyło się dobrze. Powrócili do stolicy i ojca zabrali z sobą. Dumnie wiózł pan żonę swoją do domu.

Nazajutrz dopiéro byliśmy w stanie rozpatrzyć się we właściwych zbiorach zoologicznych gabinetu p. Kocyana, tworzących istne muzeum, a umieszczonych w oddzielnéj dużéj komnacie, zastawionéj oszklonemi szafami, w których i na których mieściły się spreparowane i zakonserwowane podług najnowszych wymagań nauki nietylko okazy ornitologiczne, jak powyżéj zaznaczył p. Tschusi Schmidhoffen, lecz wogóle fauny tatrzańskiéj. Dział ptaków a zwłaszcza drapieżnych, jużci świetnie tu jest reprezentowany: samych orłów tatrzańskich naliczyć tu można sztuk kilkanaście, a obok tego drugie tyle sępów i sów, pomiędzy któremi wspaniały okaz białéj sowy przedewszystkiém rzuca się w oczy. Do jakiego jednak stopnia zbiór ten jest zupełny i obfity, dość powiedziéć, że w nim liczebnie nawet wydatne zajmuje miejsce dział ptaków błotnych i wodnych,

tak skąpy w faunie tatrzańskiéj! Ale nie byłby on zupełnym, gdyby w nim brakowało ssaków, owszem stanowią one prawie połowę całego zbioru i obok okazów, wspólnych naszéj strefie, zawierają osobniki, będące wyłączną tylko przynależnością Tatr, jak np. kozice i świstaki; co więcéj nawet, dla uzupełnienia obrazu fauny p. Kocyan sprowadził i włączył do swego zbioru takie okazy dalekich stref, jak wampiry, kolibry, papugi i t. p. To téż nic dziwnego, jeżeli oprócz ptaków i ssaków znajdują się tam i okazy innych działów fauny, jak ryby, płazy, gady etc.

Cały zbiór wynosi przeszło 800 osobników, nie licząc zapewne drobniejszych okazów i kolekcyi motyli, much, jaj itp. Działo się to w 1883 r. Wówczas taką odezwę zamieściłem w dziennikach krajowych.

Zbiór orawicki p. Kocyana znany jest dobrze niektórym naszym uczonym, specyalnie interesującym się tym przedmiotem, jak prof. Rehmanowi i Wrześniowskiemu, a wreszcie i d-rowi Chałubińskiemu. Musiał go téż poznać i zoolog nasz, profesor jagielońskiéj wszechnicy d-r. Nowicki, który często bywa w Zakopanem i wogóle w Tatrach. Węgrzy znają go oddawna i nie od dziś korzystają zeń w sposób praktyczny, nabywając oddzielne zeń okazy i całe partye dla swoich muzeów prywatnych i publicznych. Tych ostatnich nie wiele mają nasi sąsiedzi. Najcenniejszém „Muzeum Narodowe“ w Peszcie, któremu były właściciel Szmeksu (Tatra Füred), Reiner darował cały swój zbiór ornitologiczny, jedyny na Węgrzech pod względem doborowych okazów. Że zaś z tamtéj strony Tatrów zamiłowanie do zbiorów, mogących ułatwić poznanie gór rodzinnych wzrasta z dniem każdym, przeto postanowiono założyć w Popradzie „Muzeum Tatrzańskie“ i w tym celu rozpoczęto już budowę odpowiedniego gmachu. By zaś nie czekać długie lata na zapełnienie onego, zwłaszcza gdy niewielkiemi środkami przyjść można do posiadania gotowego zbioru, przeto tamtejsze Towarzystwo Karpackie upoważniło d-ra M. Greisigera z Beli do wejścia w układy z p. Kocyanem i skłonienia go do odprzedania swojéj kolekcyi na rzecz pomienionego Muzeum. List d-ra Greisigera pisany w téj sprawie do p. A. Kocyana z d. 9 sierpnia b. r. należy uważać za początek zawiązania pertraktacyi, które prędzéj lub późniéj mogą się zakończyć przeniesieniem zbiorów naszego rodaka do Popradu.

Czy wolno nam w tym razie pozostać bezczynnymi i pozbawić się jedynéj w tych czasach sposobności nabycia zbioru tak cennego dla kraju?

Zdaje się — nie.

Zakupmy zbiory orawickie i pomieśćmy je w Zakopanem, gdzie utworzą nasze „Muzeum Tatrańskie,“ mogące się stopniowo uzupełniać takiemi samemi, jako też botanicznemi, mineralogicznemi itd. okazami.

W przeświadczeniu, że myśl taka, jako pożyteczna, zostanie przyjęta przez ogół, a jako łatwa do urzeczywistnienia znajdzie chętnych potemu ludzi czynu—prosiłem p. Kocyana o wstrzymanie się na czas krótki z odprzedażą swego zbioru na Węgry, w nadziei, że się uda je zakupić dla Muzeum Zakopańskiego.

P. Kocyan z wielką gotowością zgodził się na tę propozycyą, pozostawiając pierwszeństwo zakupu rodakom.

W obec nawiązanych z Węgrami pertraktacyi, potrzebaby się śpieszyć z zebraniem odpowiednich funduszów. Sądzimy, że każdy wielbiciel cudów tatrzańskich i miłośnik natury, podzieli myśl naszą i przyczyni się do jéj urzeczywistnienia choć skromnym nawet datkiem. Idzie tylko o pośpiech, aby sąsiedzi nie sprzątnęli z przed nas, co dla nas niejako jest przeznaczoném.

P. Kocyan oznaczył cenę 1000 zł. (tysiąc złotych reńskich), podług inwentarza, który właśnie zaczął spisywać dla d-ra Greisigera podczas mojego w Orawicy pobytu, a który w razie nadziei szybkiego zebrania funduszów mógłby być wydrukowany i podany do wiadomości publicznéj.

Mniemam jednak, że tysiąc reńskich nie wystarczy, Należałoby zebrać nadto jeszcze 200 zlr. do rąk p. Kocyana na koszta przewozu, na kolekcyą motyli (która pono nie jest objęta inwentarzem), na parę szaf i drobiazgi, a 100 zł. do rąk jakiéjkolwiek pewnej a miejscowéj w Zakopanem osoby—na pierwsze urządzenie i najem stróża; jednocześnie zaś zbierać drugi fundusz na budowę odpowiedniego lokalu, który na razie może być skromny i tani—na cenę np. również 1300 zł. Za pieniądze te możnaby postawić nowy budynek lub zakupić chatę włościańską w Zakopanem, gdzie jeden z gospodarzy ma nawet przy głównéj ulicy we wsi do zbycia swoję realność.

Potrzebaby więc było w takim razie 2600 guldenów.

Towarzystwo Tatrzańskie, albo po prostu miłośnicy Tatrów w Krakowie, a zwolennicy niniejszego projektu, w razie zebrania funduszu zapewne najchętniéj zajmą się tymczasowém w imieniu założycieli Muzeum przeprowadzeniem téj sprawy, pozostawiając ostateczne urządzenie zbiorów i ustalenie tytułu własności onych do letniego zjazdu gości w Zakopanem.“

Jan Grzegorzewski.



KANTAK KAZIMIERZ

(ur. 23 marca 1824, um. 28 grudnia 1886).

Zostawmy mu ten porządek w nazwie, bo tak się nieboszczyk pisał, z téj wychodząc zasady, że rychléj był Kantakiem niż Kazimierzem. Dajmy mu na wolę po śmierci i w tém, jemu, co tak mało widział spełnionéj woli swéj najlepszéj, co tak mało w życiu doznał pociechy, prócz téj, którą znajdował w pełnieniu dzieł chrześciańskich dla bliźnich, rodaków, w pełnieniu służby dla dobra ogółu i w serdecznym stosunku do szczerych a wyrozumiałych przyjaciół, którzy mu wynagradzali samotność, na jaką skazanym był przez całe życie.

A zatém od smutnego tonu rozpoczynać nam wypada rzecz o człowieku wielkiego serca, wielkiego talentu, wielkich zasług, o téj postaci za życia popularnéj u bardzo wielu (po śmierci prawie u wszystkich), ale troskami bytu dręczonéj jak Ahaswer, a pokrywającéj pozorami swobody i wrodzoną pogodnością umysłu najcięższe bóle publicznego i prywatnego życia. Nigdzie ludzie téj miary nie zwykli wić żywotnéj przędzy w swobodzie i niezamąconém szczęściu; u nas mniéj niż gdziekolwiek, zwłaszcza gdy obok serc, rozumu, talentu i zasług wyrobili sobie w pewnéj mierze charakter męski, a chociażby biernie obstawali przy swojéj woli i swojém zdaniu, wchodząc w ten lub ów sposób „w sprzeczność z inszemi podobnemi organizmami psychicznemi“ (1) — i rozumie się, z własnym interesem.

Takim mężem był Kantak. Nie mógł więc stąpać za życia po różach. Sam ich hodować nie umiał, ani ich rwać tam, gdzie mu się

(1) Tak się wyraziło o zmarłym jedno z pism poznańskich.

nastręczały w pochodzie życia. Nie myślał o tém bynajmniéj w gonitwie za ideałem ludzkim, towarzyskim, społecznym i narodowym. A od pierwszéj młodości do śmierci uganiał się za nim niepowstrzymanie, na swój sposób: myślą, słowem, uczuciem i czynem. Choć go najcięższe spotykały zawody i raniły najdotkliwsze ciosy, szedł daléj a daléj, zawsze ten sam, „niepoprawny“, mówili ludzie. A szedł drogą prawdy, drogą miłości. Prostota duszy dziecięca jednała mu serca, szczerość cnót odejmowała żądło szorstkościom nawyknień, niepodejrzana dobra wola przekonywała każdego do człowieka „najniepraktyczniejszego z niepraktycznych“, ale uczciwego do szpiku kości.

Dziwny to był człowiek: cnoty i przymioty były u niego nieraz szorstkie, a wady zawsze miękkie i nie drapieżne, wyłącznie przeciwko własnéj osobie i własnéj naturze skierowane w działaniu. Jego ambicye nie zdolne były pokrzywdzić nikogo, rosły na gruncie poczucia godności, nie na przecherstwie i zawiści. Objawem urazy był u niego smutek, jego niechęć zawsze była zaprawiona pobłażliwością i wyrozumieniem. Oto klucz do sympatyj, jakie wzbudzał około siebie. Dobrego człowieka nie był zdolnym pogniewać na siebie.

Każdy człowiek wyższy ma nieprzyjaciół, a nawet chlubą bywa mieć nieprzyjaciół, zwłaszcza gdy źródło nieprzyjaźni na zewnątrz położone. Nieprzyjaciołmi tedy pochlubić się mógł i Kantak, a przeciwników miał tylko takich, którzy boleli nad jedynym zbytkiem, na który sobie pozwolił, t. j. na zbytek niepraktyczności — w téj naszéj erze ekonomii i rachunku.

Takim jest wizerunek „człowieka“; przyjrzyjmy mu się bliżéj w społecznéj składni.

Kantak Kazimierz urodził się w Poznaniu d. 22 marca 1824 r. z ojca Franciszka a matki Konstancyi z Leitgebrów. Ojciec pochodził z Prus Zachodnich, z Cerekwicy, pod Chojnicami. Rodzina Kantaków do dziś dnia osiadła jest na Krainie, mianowicie też w Koronowie, mieście sławném ze zwycięstwa Jagiełły nad Krzyżakami. Ojciec Kazimierza, poświęcający się karyerze sądowéj, jako urzędnik dostał się do Poznania. Tu zostawszy referendaryuszem sądowym ożenił się, ale już w rok po urodzeniu syna Kazimierza, odumarł go. Dziecko pozostało pod opieką i na wychowaniu matki w domu dziadków, u których zamieszkała. Jak zacną i szlachetną musiała być ta opieka i to wychowanie, dowodzi żywot męża, który z domu tego wyszedł. Dom, „dom rodzinny“, to pierwsza szkoła życia. Wedle

wrażeń ze szkoły téj wyniesionych kształtuje się dusza. Różnie się losy człowieka pokierować mogą, dusza zawsze będzie taką, jaką wyszła z rodzicielskiego domu.

Kazimierz rósł, jak nieraz jedynakom i gagatkom się zdarza, gdy obok najserdeczniejszéj opieki, brak kierunku twardej ojcowskiéj ręki. Pieszczony zachował skutki rozpieszczonego usposobienia na całe życie, miękkość i nieradność o sobie, obok energii i dzielności, gdzie chodziło o drugich lub o ogół. Nie tyle wszakże pieszczonym był i „psutym" przez matkę, co w wieku chłopięcym przez stryja księdza, bardzo zamożnego proboszcza inowrocławskiego. Ten go zbyt hojnie obsypywał nie tylko pieszczotami, ale co gorsza pieniędzmi. Tylko wpływowi i baczności zapobiegliwéj matki oraz szczęśliwym stosunkom koleżeńskim w szkole, zawdzięcza Kantak, że hojność stryja nie popchnęła go na bezdroża.

Oddany w r. 1834 do gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, odznaczał się obok pilności, daleko więcéj talentem niepospolitym. A gdy się z chłopca kształtować zaczął młodzieniec, zawidniała odrazu w istocie jego przewaga najczystszego idealizmu, zaczerpniętego oczywiście z duszy matki, a podniecanego poezyą i przyjaźnią.

Był to czas, w którym duch narodowy kipiał żarem politycznéj romantyki. Co w narodzie było światłego i szlachetnego, podnosiło się przez nią moralnie w odwet za poniesione klęski. Niepomiernym działaczem w tym nastroju społeczeństwa była poezya; a mieliśmy wtedy jeszcze nie tylko poetów ale i wieszczów natchnionych. Zachwycali się ich pieśniami i ukształcali duchowo zarówno dorośli jak młodzież. Nasz Kazimierz od książki szkolnéj wedle możności odbiegał, to do biblioteki Raczyńskich, to do księgarni Stefańskiego i tam chłonął w siebie piśmiennicze owoce piękna i wszystko, co podnosiło szlachetne porywy duszy. Szczególnie zaś umiłował Mickiewicza i Krasińskiego. Psalmodyczny nastrój Spirydyona Prawdzickiego przypadał mu do pragnień duszy. Do najpóźniejszych lat życia chował on w pamięci długie ustępy poetyczne, za młodu wyuczone, i lubił się niemi popisywać (1).

---

(1) Jak każdy prawdziwy idealista był téż Kantak entuzyastą dla piękna przyrody. Zachwycał się pięknościami Tatr i częstym gościem bywał w Zakopanem. Robiłem z nim kilka wycieczek. Na jednéj z nich zdarzył się następujący wypadek, w dziedzinie jego zamiłowania do poezyi. Szliśmy przez Waksmundzką na Krzyżnę. Deszcz lał jak z cebra, nocowaliśmy w schronisku pod Krzyżnem na kosodrzewinie. Mimo umęczenia nie spaliśmy całéj nocy, strojąc różne figle i żarty z niewygody, z położenia naszego, z niepewnego jutra. O świcie, wśród mgły gęstéj rozpoczęliśmy w desperackim humorze wędrówkę na przełęcz Krzyżnego. Kantak pierwszy zawołał „hura" na szczy-

Z młodym Kantakiem żyło całe kółko poetycznych entuzyastów. Ci postanowili ideały filaretów mickiewiczowskich zaszczepić na gruncie poznańskim. Naprawa stosunków społecznych, pielęgnowanie przyjaźni, nauki dziejów i literatury ojczystéj, były zakresem ich dążeń, a od tak wzniosłego celu dziwnie odbija humorystyczny tytuł organu, który w rękopiśmienném wydaniu obiegał u stowarzyszonych. Był to „Bigos hultajski.“ A w bigosie tym młodzieńczym, obok całéj romantyki filareckiéj, znalazła się jeszcze właściwość odrębna, która mianowicie na charakterze Kantaka wyryła niezatarte piętno. Do kółka filaretów poznańskich należał i Józef Wilczyński, dusza głęboka, z przyrodzenia do ascetyzmu nastrojona. Ten usposobienia swoje starał się zaszczepić w gronie przyjaciół, a pociągnięty szlachetném sercem i wyższemi zdolnościami a wrażliwością Kantaka, jego przedewszystkiém usiłował wyrobić na apostoła swego kierunku. Wyrazem jawnym téj dążności miała być przedewszystkiém jaknajwiększa prostota obyczajów w obejściu oraz dobroczynność chrześciańska. Kantak już wtedy obficie korzystał z hojności stryjowskiéj, któréj zasoby Wilczyński wraz z drugim jeszcze kolegą (1) kierowali na szlachetne cele i dzieła miłosierne. Świadek owych czasów opowiadał nam, jak młodziutki Kazimierz, za stryjowskie pieniądze całemi furami zakupywał pieczywo i między łak-

---

cie. I o dziwo, ledwieśmy się skupili koło niego, a mgły się zaczęły rozwiewać, słońce błysło, a zdumionemu wzrokowi turystów przedstawiały się w przelocie owe czarodziejskie *dissolving views*, właściwe położeniu Krzyżnego. Szczyty, stawy, przepaście, Siklawa, to się zjawiały na oczy, to znów niknęły w pomroce. Upojeni widokiem staliśmy wszyscy, wydając od czasu do czasu wykrzykniki. Nad głowami naszemi krążyło kilka potężnych orlów, wtórując nam krakaniem. Kantak wpadł w taki zapał, że uczuł potrzebę wylania go w słowie. Zaczął deklamować! Deklamował improwizacyą Mickiewicza. Co prawda głos jego między przepaścią a dziedziną orłów, rozwiewał się w nicość, jak mgły poranne, ale on dobywał z siebie sił coraz więcéj. Nabożnie słuchaliśmy, bujając wzrokiem po niewypowiedzianych pięknościach krajobrazu. Wtém wzrok wszystkich opadł na podnoże. Czy orły z swych wyżyn opuściły się w przepaść? U stup naszych odezwało się coś podobnego do ich krakania. Lecz złuda trwała krótko. Nie orły to krakały, lecz w chwili, gdy deklamator stawał na szczycie patosu improwizacyi, górale nasi przewodnicy, którzy się byli pokładli w swéj ulubionéj pozycyi na skale, zaczęli w najlepsze chrapać. Romantyka położenia przedzierzgnęła się w humoreskę. Jednakże, ze względu na naszego dostojnego towarzysza, zachowaliśmy należytą powagę. On zaś nie tracąc fantazyi, energiczném hasłem przebudził śpiochów, a dawszy za wygraną improwizacyi, zadeklamował wiersz o jednym z bohaterów ludowych. Podparłszy uśmiechnięte twarze na dłoniach, górale przysłuchiwali się z zajęciem i zrozumieniem. Honor poezyi był ocalony, aleśmy w dalszéj podróży nie rozmawiali o jéj wpływie na lud.

(1) Ze zmarłych oprócz Wilczyńskiego i Kantaka, należeli do téj plejady Leon Wegner i Ludwik Kurnatowski.

nących rozdzielał. Ascetyzm i dobroczynność miały położyć fundamenta do wyższéj, nieznanéj dotąd moralności społeczeństwa. A jeżeli celu tego nie osiągły, to jednak praktyki te właśnie przedewszystkiém naszego pieszczocha stryjowskiego odwiodły od skierowania się na bezdroża, zgubne dla młodzieży, rozporządzającéj przedwcześnie zbytniemi zasobami pieniędzy.

Wilczyński w kierunku ascetyzmu zapędzał się tak daleko, że następnie wyszedłszy ze szkół, popadł w melancholią i ostateczne jéj skutki. Kantak żywem z przyrodzenia obdarzony usposobieniem, uchronił się od skrzywienia umysłu w tą stronę; w dalszém życiu bynajmniéj nie był ascetą, bo lubił żyć i musiał żyć do pewnego stopnia, ale pozostała w nim na zawsze jakaś bluzowa (1) skłonność do wyszukanéj prostoty obyczajów, niekiedy w przesadnym kierunku rozwiniętéj. Pod tym względem wyrobił sobie w zażylszych kołach sławę oryginała, któremu, jak rozpieszczonemu dziecku wszystko uchodziło. Tenże sam Kantak jednak w danym razie nieco afektowaną prostotę umiał okraszać wyszukanym wykwintem uprzejméj ogłady, zwłaszcza gdy mogła być połączona z towarzyską zabawą i uczynnością.

Mimo rozerwania umysłowego, któremu Kantak przy takiém życiu pozaszkolném ulegać musiał, byłby z łatwością i chlubą ukończył szkoły, gdyby go nie była dotknęła straszliwa choroba, która w następstwach swych nie tylko oszpecała jego piękne oblicze, ale i złamała całe jego życie. Była to, jak się zdaje, odziedziczona choroba skrofuliczna. W r. 1841 wystąpić musiał ze szkół z prymy, żeby przez energiczną kuracyą przeszkodzić postępowi choroby. Kuracyi téj poddawał się w Greiffenbergu, Ciechocinku, a późniéj w Berlinie. W chwilach zwolnienia choroby spotykamy go w Wrocławiu na studyach uniwersyteckich, a następnie na praktycznéj nauce rolnictwa w Kobelnikach pod Inowrocławiem, gdzie go zapewne stryj osadził, pragnąc go przygotować do stanu ziemiańskiego.

Cóż miał począć biédny rozbitek? Z całego usposobienia Kantaka wynikało, że przy świetnych talentach, jakie posiadał, byłby, skończywszy szkoły, poszedł torem jakiéj karyery urzędniczéj. Teraz zaś uległszy chorobie i kalectwu, skazanym był na to życie praktyczne, do którego nie czuł pociągu.

Nie długo téż wytrwał na nauce rolnictwa. Rygor włódarski ani przypadał mu do gustu, a właśnie téż na dobre rozpoczęło się w kraju podziemne życie, którego praktyki, zaprawionego na poezyi polityka, więcéj nęciły, niż chów bydła, lub uprawa roli. Całą

---

(1) Ideałem tych filaretów była między innemi i bluza.

duszą oddał się temu kierunkowi, zamieszkał w Poznaniu, robił wycieczki do Prus, aż pod koniec r. 1845, czy też w początku r. 1846 w Poznaniu został uwięzionym. O zacnéj matce jego jest wspomnienie, że żegnając się z nim, zalecała mu stałość i ochranianie towarzyszy. Więźnia wywieziono do Grudziądza a następnie razem z innymi osadzono w Moabicie.

Naoczny świadek procesu a przyjaciel zmarłego, takie nam z tego czasu podaje szczegóły: „W r. 1846 dostał się Kazimierz jako przestępca polityczny do więzienia pruskiego. Ale i tam umiał sobie wyższością umysłu i szlachetnością zjednać szacunek nieprzyjaciół. Sędzia śledczy w akcie oskarżenia dał świadectwo jego talentowi i szlachetności. Niemniéj pochlebnie wyrażał się o nim naczelny prokurator w ustnym wywodzie, któremu się przysłuchiwałem. Dał też dowód swéj zdolności Kantak, broniąc się sam przed sądem. W obronie téj tłómaczył z wielką biegłością (1) z Psalmów Przyszłości, mianowicie z Psalmu Miłości całe ustępy, chcąc udowodnić, że na ziemi być tém, czém on jest z urodzenia, to żyć bosko i szlachetnie a nie można robić zarzutu zbrodni temu, kto takich jak Krasiński, czci poetów.“

Pamiętał też snać o słowach pożegnalnych matki, bo w aktach procesowych wyraźnie zapisano takie oświadczenie.—Panie asesorze, rzekł do pruskiego sędziego śledczego, postaw się pan w mojém położeniu. Gdybyż chodziło tylko o mój los. Nie mogę się przyznać do niczego.—Ostatecznie też Kantak należał do tych, którym winy nie udowodniono i odzyskał wolność.

„Po wypuszczeniu z więzienia,“ pisze daléj jego przyjaciel, wówczas dla egzaminu w Berlinie przebywający, „wprowadził się do mnie, mieszkającego przy ulicy Doroty, u krawca zwanego *Vater Dieben*. Wkrótce znała go cała ulica a przedewszystkiém dzieci i ubodzy. Jakby pragnął wynagrodzić sobie długie dni odosobnienia, szukał wciąż towarzystwa ludzi, dzieci obdarowywał łakociem (2), obrazkami a ubogich hojną jałmużną. W oszczędności się nie lubował, ale z dobrego serca. Jednak do pewnego stopnia robił usiłowa-

---

(1) Kantak tak był biegłym w tłómaczeniu z polskiego na niemiecki i odwrotnie, że wziąwszy w rękę jakąkolwiek rzecz drukowaną w jednym języku, potrafił ją czy w oryginale czy też w tłomaczeniu równie szybko odczytywać *ex abrupto*. Nieraz w kółku dobrych znajomych popisywał się tą sztuką. Przetłómaczył też kiedyś podobno „Odę do Młodości“ na język niemiecki, ale rękopis zaginął, albo co prawdopodobniejsza jest w ręku którego z niemieckich kolegów sejmowych.

(2) I w późniejszych latach za pobytu swego w Berlinie, jeśli nie co innego to między posługaczy ulicznych rozdarowywał cukier przy kawie oszczędzany w kawiarni. Pierwszeństwo wtedy dawał ojcom rodzin i drobnych dziatek.

nie, żeby się przezwyciężyć do jakiegoś stopnia ekonomii. Gdy od księdza stryja nadeszły pieniądze na całe pół roku, rozdzielił je na 6 równych rat i w osobne rulony z napisem miesiąca zawijał. Lecz zanim pierwszy miesiąc minął, musiał się zapożyczyć u następnych, po talarze, po kilka talarów, aż w połowie piątego miesiąca okazały się pustki w ostatnim rulonie. Stryj zaradził znów potrzebie. Po kilku miesiącach wyprowadził się do osobnéj stancyi, gdyż ja w moim zawodzie musiałem dobrze fałd przysiadać, tymczasem on lubił przy tureckiéj fajce czytać gazety i nowe książki czasem aż do świtu. W Berlinie doczekał do wypadków marcowych r. 1848, a potém z nami akademikami, w rządowém umontowaniu puścił się do Księstwa. Wiadomy dalszy przebieg rzeczy, znane téż koleje jakie przebył oddział akademików, aż do osadzenia w twierdzy kistrzyńskiéj. Jako więzień znalazł tamże prędko sposobność widywania się z kolei z jeńcami po wszystkich kazamatach. Umiał wojskowym kucharzom narzucać się do roznoszenia w cebrach jadła do innych kazamat a postawiwszy w obcéj kazamacie w swoje miejsce nowego roznosiciela, zostawał do dnia następnego. Dowiadywał się wszędzie o potrzebujących i zbierał składki u kolegów. W więzieniu równie był wesoły jak na wolności.“

Po odzyskaniu wolności trzeba się było zastanowić na seryo nad przyszłością. Okoliczności ułatwiły mu wybór zawodu. Właśnie stryj ów bogaty umarł i zapisał mu cały fundusz z warunkiem jednak, że kupi majątek ziemski i osiądzie na wsi. Ulegając woli swego dobrodzieja, nabył w powiecie szubińskim wieś Dobieszewko. Było to w r. 1853.

Rozpoczęła się więc teraz trzecia epoka jego żywota. Pierwszą zakończył chorobą, drugą więzieniem, a idylla wiejska, powiedzmy to naprzód, zakończyć się miała bankructwem ale rzeczywiście bankructwem idylliczném, pełném poezyi, a rozgrzeszonem tysiącem dzieł miłości chrześciańskiéj.

Już sam akt kupna był takim czynem. Wieś szła na subhastę. Na prośby biednych wierzycieli, którzyby byli na licytacyi wszystko stracili, zniósł subhastę i kupił wieś z wolnéj ręki, przejmując wszystkie długi na siebie. Zatém było drogie kupno. Przyjaciel zmarłego tak w téj mierze się rozpisuje:

„Ziemia była wyniszczoną, budynki jedne trzeba było nowe stawiać, drugie restaurować, toż i dwór i mieszkania komorników. Tylko zapobiegliwość i spreżystość, jemu właściwa w pewnych razach, mogły równocześnie zadosyć uczynić wszelkim potrzebom. Z energią poświęcił się gospodarstwu, zaprowadził ład i porządek, kupił i dbał o dobry inwentarz, zaprowadził płodozmian, zregulował

ogrody a użyzniał ziemię pól, topiąc w nich sztuczne nawozy i sprowadzając piękne, zdrowe siewy. Lud znalazł w nim najlepszego pana i ojca prawie. Dbał o dobrobyt (1) swych poddanych, każdemu uboższemu komornikowi dopomógł do kupna krowy, dbał również o to, żeby służebni dworscy mieli zdrowe pożywienie i nie łaknęli strawy. Nie chcąc by wszyscy jadali z jednéj wspólnéj misy, dla każdego sprawił osobny talerz, nóż i widelec. W każde święto i niedzielę musiała jego służba cała być w kościele, nie wolno było w dni te zajmować ich zarobkową pracą lub wywózką.

„Dworek w Dobieszewku“, pisze nam inny wielbiciel zmarłego, „był nader skromnym. Dla samego dziedzica były dwa pokoje. Pierwszy obszerny, gospodarski, w którym o ile był w domu a nie w polu lub na wycieczce, zawsze przebywał. Tuż obok alkierz, a zarazem gabinet archeologiczny i biblioteka. Resztę wraz z salką zajmowała ciotka, kuzynka, rządca i goście, na których nie zbywało.“

Odwiedzali go chętnie sąsiedzi nie tylko dla uprzejméj gościnności, ale i dla wyższego nastroju życia, jakie w Dobieszewku panowało, przy całéj prostocie. Ściślejsze stosunki łączyły Kazimierza z Karolem Libeltem, z miejscowym proboszczem i dr. Wicherkiewiczem z Kcyni.

Kantak polubił i lubił życie wiejskie, ale od zajęć publicznych i interesów wielkiego świata nie potrafił się nigdy oderwać. Już od r. 1854 piastował w powiecie różne urzędy a w roku 1858 spowodował przez swoję skrzętną agitacyą pierwszy tryumf wyborczy w okręgu szubińsko-mogilnickim i przeprowadził dwóch posłów Polaków. Wymowa jego na zebraniach przedwyborczych porywała lud, budziła samowiedzę. Gospodarz Dobek z Mogilnickiego przystąpił po zebraniu takiém do Kantaka, z prośbą, żeby mu nazwisko swe zapisał, bo pragnął je zachować w pamięci, żeby je w domu powtarzać każdemu. Była to piękna zapowiedź wpływu, jaki następnie wymowa parlamentarna Kantaka wywrzéć miała na najszersze koła społeczeństwa.

Rok 1858 był zwrotnym rokiem szczęścia w jego idylli wiejskiéj. Był to rok piękny. Wiosna, ciepła jak nigdy, złociła słoneczną promiennością wiejskie ustronie, które od czasu kupna do niepoznania na korzyść się odmieniło. Trawniki koło domu rozlegały jak miękkie kobierce. Zieloność urozmaicały kwiaty przeróżne i rzadkie krzewy. W sadzie były szkółki i inspekta a pola kołysały się

---

(1) Dbałym téż był, jak nam pisze inny, o oświatę ludu. Zapisywał dla włościan swych Gwiazdkę Cieszyńską, Przyjaciela Ludu i Nadwiślanina. Pisma te czytywano głośno w czeladnicy pod dozorem gospodyni Marczewskiéj albo u włodarza.

zbożem, obfity plon rokującém. Z dumą i rozkoszą patrzał Kantak na swoje dzieło i cieszył się nadzieją, że życie pójdzie mu zawsze gładko i uroczo. Niestety inaczéj stać się miało. Przybywało ładu i plonu, ale w daleko większym stosunku powiększały się wydatki.

Miłosierny do zbytku, Kantak ku zgorszeniu najbliższych, nie miał czasami całego obuwia, bo najlepsze rozdarował między żebraków. Bieliznę ostatecznie ciotka zamykała, bo takowa zbyt szybko ginęła na podarki dla każdego włóczęgi. „Oszczędny dla siebie", czytamy o nim w liście do nas pisanym, „grzeszył jednak zbytnią hojnością dla drugich. Poczta codziennie przynosiła cały szereg listów z prośbami o wsparcie. O ile pieniądze były w domu, nieboszczyk listy otwierał i natychmiast załatwiał. Gdy zbrakło pieniędzy, listy pozostawały nieotwarte; w tym razie nawet nieraz listy od najdroższych mu osób. Dopiero gdy zebrał lub pożyczył pieniędzy, siadał do przeglądu korespondencyi i prośby załatwiał. Proszącym o rady pisywał podania, prośby itp., błagającym o wsparcie udzielał go hojną dłonią (1). Nie starczyła jedna pożyczka, zaciągał drugą i trzecią, by innych ratować z nędzy. O sobie nie myślał. Była to lekkomyślność, ale któż jéj nie uniewinni!" Zwracającym mu uwagę, ze ostatecznie Dobieszewka nie starczy, że sam doczeka się biedy, zwykł odpowiadać : dzisiaj oni są w nędzy;—czy i kiedy ja sam doczekam się biedy, nie wiem. Zresztą każdy inny dziedzic Dobieszewka potrzebowałby na swoję osobę kilka tysięcy talarów, a ponieważ ja potrzebuję na siebie zaledwie kilka set talarów, to mi wolno tą nadwyżką uszczęśliwiać innych."—Tak żyjąc popadł w długi. Odtąd idylliczne życie wiejskie zaprawiło się goryczą i kłopotami. Otrząsał się z nich jak mógł pożyciem z ludźmi (2), ale ani życie towarzyskie,

---

(1) W téj mierze pisze nam jeszcze: „Sercem swém złotém obejmował wszystkich, szedł daléj aniżeli ś-ty Marcin, bo nietylko dzielił się połową tego co miał, ale dawał nawet więcéj, bo wszystko, co tylko do niego należało, było na rozkazy drugich. Zaciągał nawet zobowiązania, z których się przez lata długie wywiązać nie mógł, a wszystko to robił, żeby drugim dopomódz!" Drugi pisze: „Każdy chory (na wsi) był kilkakrotnie przez niego odwiedzany, w razie potrzeby lekarz, apteka darmo."—Inny znów pisze: „W dawaniu postępował prawdziwie jak Chrystus Pan chciał, że lewica nic nie wiedziała co prawica dała. Nie wymagał téż nigdy żadnej wdzięczności, sam zaś za świadczone przysługi odwdzięczał się jak i czém mógł." Inny z czasów Berlińskich sejmowych, tak pisze: „Żyliśmy skromnie bo kasa często potrzebną była dla biednych, których nigdy z próżną ręką nie odprawił. Często się zapożyczał, żeby udzielić pomocy proszącym. Raz pamiętam, pantaly zdjął ze siebie, by je dać proszącemu rodakowi". O takich wypadkach wielu opowiada.

(2) Sam tak pisze do przyjaciela: „Mnie potrzeba od czasu do czasu kilka chwil spędzać w gronie dobrych i miłych mi ludzi; z takich chwil czerpię siłę do codziennego życia, orzeźwiając się niemi na długo, ja, który więcéj ze wspomnień przeszłości, niż w nadziei przyszłości zwykłem składać cegiełki do budowy mego szczęścia.

ani obywatelskie, ani cnoty wszelkie, nie zdołały niczego zmienić w stanie majątkowym, z dnia na dzień się pogorszającym. Poradzono mu zwykłą w rozwoju bankructwa wiejskiego operacyą finansową. Zamienił drobne, cisnące długi na stały dług hipoteczny. Błysła mu nadzieja, że się utrzymać zdoła, a podziwiano go, jak zaprowadzając największe oszczędności, sam sobie umiał wszystko odmówić. Wszystkiego się wyrzekł, prócz dobroczynności. Na pamiątkę tych smutnych czasów postawił w r. 1859 na dwóch przeciwległych krańcach wsi dwa krzyże, zarazem poświęcone pamięci dwóch pań zaprzyjaźnionych z Królestwa, które zawsze „aniołkami swemi" nazywał.

Do smutków prywatnych przybyły niebawem smutki publiczne. Nastały lata 1861, 1862 i najnieszczęśliwszy rok 1863, którego wypadki śledził a klęski odczuwał głęboko (1). Odrywało to bądź co bądź uwagę jego wrażliwego ducha od kłopotów gospodarczych. Już też w r. 1862 poraz pierwszy otworzyło mu się szerokie owe pole działania, na którém następnie miał zasłynąć. W roku tym został wybrany posłem z okręgu szubsko-inowrocławskiego.

Chętnie od kłopotów, które go ścigać nie przestały, poszedł tedy na arenę życia publicznego. Ale jeszcze lat kilka zarządzał majątkiem, nie mogąc się pogodzić z myślą sprzedaży. Ciężkie w téj mierze ze sobą staczał walki. Mianowicie zaś od r. 1863 stosunki finansowe stawały się w Dobieszewku coraz uciążliwszemi. Współobywatele okoliczni chcieli mu przyjść w pomoc. Hr. S. chcieli przez p. R. M. urządzić rodzaj administracyi na lat kilkanaście. Tego Kantak nie przyjął, bo pensya nie byłaby wystarczała na dawanie jałmużn bieżących, do których się czuł zobowiązanym. Inne grono obywateli zamierzało zakupić od niego Dobieszewko, ale cena, choć wygórowana, nie byłaby pokryła należności kilku sąsiadów a mianowicie dwóch sierot.

— „Spłaćcie długi, wszystko wam oddam, wszystko, nawet moje urny (2)", mawiał Kantak. Blisko rok trwały bezowocne per-

(1) W papierach po Kantaku znajduje się zawezwanie, wystosowane do niego przez dyktatora Langiewicza, żeby się stawił bezzwłocznie do główněj kwatery. Kantak był już wtedy na sejmie, ale pojechał do obozu. Jest też nominacya jego na sekretarza dyktatora, ale ponieważ datowana jest na dzień przed upadkiem dyktatury, zapewne Kantak urzędu nie objął.

(2) Na gruncie dobieszewskim, w parowie znalazło się bardzo rozległe cmentarzysko przedchrześcijańskie. Na zawołanie, opowiadał nieraz Kantak, skoro do mnie zajechał jaki miłośnik badań archeologicznych, mógłem zawiózłszy go jakby na zapowiedziane przedstawienie, w przeciągu kilku godzin w oczach jego wydobyć nieraz kilkanaście urn. Przedstawienie takie dawał Kantak przed Libeltem, Łepkowskim, Antonim Małeckim i wielu innymi. Gabinety archeologiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego i To-

traktacye. Ostatecznie zjawił się nabywca narodowości niemieckiéj i kupił Dobieszewko za cenę 94000 tal. Tyle właśnie było potrzeba na spłacenie wszystkich długów. Popłacił je co do grosza, a wyjechawszy z Dobieszewka znalazł się Kantak w Poznaniu z funduszem 360 talarów wobec niepewnéj przyszłości.

Tak się skończyła trzecia epoka życia Kantakowego, skończyła się znów ciosem nowym, w ciężkiéj i bez tego doli. W delikatném uczuciu jego nieznośną mu była rola bankruta, od którego z wyjątkiem najszczerszych przyjaciół, powoli odsuwać się zaczęli towarzysze wesołych chwil i przyjaciele dobréj doli.

Nie można jednak społeczeństwu bynajmniéj zrobić zarzutu, żeby siłę taką jaką był Kantak, dla owego bankructwa, było odepchnęło i ryczałtem potępiło. Owszem, ponieważ już jako dziedzic Dobieszewka, wprawdzie nie bez trudności (1), dostał się był do publicznego zawodu parlamentarnego, odtąd nieprzerwanie przez lat 24, aż do śmierci na stanowisku pozostał (2). To téż zasmakowawszy publicznego życia i dumny z niezachwianego zaufania, nie pragnął porzucić zawodu, do duszy mu przystającego. Na wieść o sprzedaży Dobieszewka ofiarowano mu z Warszawy urzędy, odpowiednie jego zdolnościom, a zapewniające mu dobrobyt. Nie przyjął ofiary. Tak samo jak i w Poznaniu późniéj nie chciał się wiązać stałym urzędem, „bo czuł,“ jak nam pisze jeden z jego powierników, „że na sejmie najlepiéj się krajowi przysłuży (3). Nie mógł nie spełnić tego, co miał sobie za święty obowiązek i nie mogło go odstraszyć od publicznego zawodu życie prawie ubogie. Wytrwał na tém stanowisku do ostatka dni swego szlachetnego żywota, bo miał i siły i woli dosyć do znoszenia złéj doli dla *ideału cnoty obywatelskiéj*“.

---

warzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu obdarował sowicie najciekawszemi okazami urn. Śmiało twierdzić téż można, że on pierwszy rozbudził w Wielkopolsce zamiłowanie do badań archeologicznych. Łepkowski dziękując mu listownie za 117 naczyń glinianych do Krakowa przesłanych, zachęcał go do spisania pamiętnika z dobywania wykopalisk. Jednakże daremnie. Piórowstręt jego był większym niż zamiłowanie do „swoich śliczności“, jak zwykł nazywać swoje zbiory. U nabywcy swego Niemca zostawił w śpichlerzu kilka skrzyń z urnami do późniejszéj dyspozycyi. Skarby te zmarniały. I do Paryża wysłał 97 urn, co ładniejszych „by je Francuzi podziwiali“.

(1) W r. 1858 pisze Libelt do niego z powodu jakiegoś listu Pseudonima: „Zgadzam się z pseudonimem, żeś ze względu na Twoje zdolności i serce wart i lepszych czasów i lepszych zatrudnień. Aleć nasza to dola, że wszystkie siły nasze marnieją a kwiaty nasze więdną, zanim owoc wydadzą“.

(2) Od r. 1862—66 reprezentował okręg wyborczy Szubińsko-Inowrocławski, od r. 1866—86 okręg mogilnicko-wągrowiecko-gnieźnieński.

(3) Krótki czas tylko był kontrolerem w Spółce Pożyczkowéj Przemysłowców miasta Poznania.

Wiemy już z jakich stosunków życia prywatnego i obywatelskiego Kantak wystąpił na wielką arenę polityczną. Potrzeba nam się rozpatrzyć jeszcze w samychże stosunkach politycznych tego czasu.

Rok 1862 był przededniem straszliwéj tragedyi, jaka się odegrać miała w téj smutnéj dobie dziejów kraju naszego. Przed nadejściem katastrofy długo walczyły i ważyły się dwa prądy przeciwne: roznamiętniona a na wszelkie względy rzeczywistości zaślepiona i po części zdemoralizowana romantyka polityczna z niedojrzałym racyonalizmem, nieświadomym celu.

Po któréj stronie stał Kantak stwierdzić nam niepodobna żadnym dokumentem, ale zapewne się nie omylimy twierdząc, że jak każdy prawy Polak łatwo był przystępnym dla illuzyi, a pragnął być rozumnym, żeby nie uchodzić za szaleńca. Nie robi mu się z tego zarzutu, bo zarzutem takim musiałby się nim podzielić cały ogół. Z ogółu tego należał on niewątpliwie do najlepszych bo najszczerszych. A wszakże to romantycy owego czasu byli hipokrytami, spekulującymi na „jutro brzemienne w wypadki“, racyonaliści zaś zaledwie odczuwali potrzebę hartu i woli ducha, których nie posiadali, i dla tego nie potrafili zawładnąć wypadkami.

Kantak jako dziecko epoki 1846 i 1848 r., zresztą jako idealista skończony, musiał lgnąć duszą do politycznego marzycielstwa, ale czy to ulegając chwilowym prądom zewnętrznym, czy jakiéjś reakcyi wewnętrznéj, dość że na arenę parlamentarną i do koła polskiego w sejmie wszedł z zamiarami, noszącemi cechę nie tyle *zasad* umiarkowanego racyonalizmu, co racyonalnego *usposobienia*.

Dzieje koła polskiego w sejmie pruskim jeszcze nie napisane i nigdy pewno do tyla nam się nie odkryją, żebyśmy dokładnie rozmotali nici, wiążące pasmo jego parlamentarnéj kroniki. Dziś już nie wielu żyje weteranów z pierwszéj epoki polskiego parlamentaryzmu w sejmie pruskim. Zmarli o ile wiadomo, nie pozostawili pamiętników, a czy żyjący spisać je zechcą, wątpić wypada.

Dla badacza, ciekawego przyczyn i związku rzeczy, pamiętniki takie byłyby bardziéj zajmującemi, dla dziejów społeczeństwa daleko bardziéj pouczającemi, niż stenograficzna kronika mów, wniosków, protestów, replik i wzmianek osobistych, ostatecznie z stereotypową jednostajnością się powtarzających.

Nie chcąc ani mogąc wnikać w głąb rzeczy, nie myślimy się silić na charakterystykę koła polskiego, do którego Kantak wstąpił. Wyliczymy tylko wszystkich jego kolegów, a nazwiska niech starczą za opis. Zajmowali tedy razem z nowo wstępującym Kantakiem, krzesła poselskie następujący mężowie: Ks. Bartoszkiewicz (z Prus)

Wład. Bentkowski, St. Chłapowski, A. hr. Cieszkowski, sędzia Dekowski (z Prus), hr. T. Działyński, A. Guttry, ks. Janiszewski, Nestor Koszutski, dr. Karol Libelt, Bog. Lubieński, ks. Olszewski (z Prus), dyrektor Morawski, dr. Wł. Niegolewski, sędzia Pilaski, hr. Plater, ks. Prusinowski, ks. dr. Respondek, Stablewski (z Zalesia), Thokarski (z Prus), Żółtowski z Ujazdu i Żółtowski z Czacza.

Piękny to był zastęp mężów, a o ile go przyozdobił nowy nabytek w osobie Kantaka, zaraz zobaczymy.

Wszyscy mężowie ci zarówno ulegali wpływom chwili, brzemiennéj w wypadki. Zaznaczyliśmy już powyżéj czém u nas w kraju zajęte były umysły. Wielopolski dobywał ostatnich sił w przeprowadzeniu swego dzieła i już zaczął tracić równowagę spokojnego męża stanu. Na wielkim świecie europejskim, wstrząsało umysłami rozpoczęte dzieło zjednoczenia Włoch a w Berlinie na arenie parlamentarnéj zanosiło się na wielki konflikt o reorganizacyą armii. Głosy polskie mogły szale przeważyć na tę lub ową stronę.

Chwili téj użyła nasza reprezentacya sejmowa zręcznie, żeby wystąpić z żądaniem, bardzo skromném, ale nieposledniego dla kraju znaczenia. Była to epoka wiary w Towarzystwa rolnicze. Więc i w W. ks. Poznańskiém usiłowano dla Centralnego Towarzystwa Gospodarczego wywalczyć wpływ znaczniejszy, mianowicie przez uzyskanie rządowego uznania i rządowéj zapomogi. Przekonani będąc, że rząd czysto polskiemu stowarzyszeniu, nie zechce użyczyć swéj opieki, mężowie zajmujący się losami Towarzystwa, postanowili posunąć się do ostatecznéj granicy „ustępstw“, byle osięgnąć cel zamierzony. Chcieli się zobowiązać do *dwujęzykowości* w Towarzystwie, statut i zaproszenie na wspólną naradę nad założeniem centralnego związku rozesłali do wszystkich towarzystw powiatowych, tak polskich jak niemieckich, a ostatecznie posłowie usiłowania ich poprzeć mieli w sejmie odpowiednim wnioskiem. Stało się to w d. 16 sierpnia 1862 r. a nowego posła Kantaka, jako członka zarządu Towarzystwa wydelegowano w téj sprawie na mównicę (1).

Zanim opowiemy, jak się wywiązał z zadania, niechaj nam wolno będzie rozwieść się nad pojęciami, jakie miał o swym parlamentarnym obowiązku i zawodzie.

Szczęśliwy to może wypadek, że jesteśmy w posiadaniu listu, pisanego przez Kantaka w przeddzień tego pierwszego wystąpienia. List ten zawiera niejako program jego całéj, przyszłéj działalności parlamentarnéj. Złożony okolicznościowo, bezwiednie, ale wyko-

---

(1) Poprzednio już był dwa razy się odzywał, ale z bardzo krótką repliką Vinckemu, „żeby mu nie zostawić ostatniego słowa“.

nany z konsekwencyą, zasługuje na uwagę pod względem nie tylko historycznym ale i psychicznym.

„Donoszę Ci, pisze Kantak do przyjaciela, że jutro mam po raz pierwszy zabrać głos w izbie... przy kwestyi Towarzystwa Centralnego Gospodarczego W. X. Poznańskiego. Piszę krótko tylko, bo mam jeszcze kilka ważnych listów napisać i podatki do Szubina (miasto jego powiatowe) odesłać i chcę być dzisiaj *koniecznie* na Dziewicy Orleańskiéj w teatrze. Co prawda, chciałem ja i przejrzeć jeszcze materyały, które sobie nagromadziłem, ale zdaje się, że do przeglądu ich dopiero jutro rano, wstawszy trochę rychlej się zabiorę!

„Tyle mi tu głowę suszą: ten chce, żebym tak gadał, ów, bym mało mówił, trzeci bym o politykę zahaczył, — słowem, od samych przyjacielskich rad aż głowa boli i tylko mi fantazyą psują. Wam powiem, że nie będę się *sadził na frazesa* i fantazye, które w oddaleniu ładnie brzmią i dają popularność: „a to im powiedział", — ale trzymać się będę ściśle rzeczy, dotyczącéj towarzystwa gospodarczego i miał wzgląd na przeprowadzenie jéj. Do polityki indziéj będzie pora, a *błyszczenie* pozostawię tym, którzy występują przy kwestyach językowych lub wyłącznie politycznych. Może to *nie będzie korzystném* dla mnie w opinii, ale będzie rozsądnie i sumiennie. Zresztą będzie zależało, co i jak przemówię, *od usposobienia*, bo całe moje przygotowanie, obeznanie się z rzeczą. Mowy pisać nie myślę".

Z listu tego wynika:

1) że Kantak umiał rozróżniać materye, w których przemawiać wypadało, na ekonomiczne, szkolne i polityczne, a dla każdego rodzaju przemówień czuł potrzebę pewnéj metody;

2) że czuł wstręt do czczych frazesów, obliczonych na efekt chwilowy i drażnienie;

3) że z góry uważał za potrzebne rządzić się na trybunie umiarkowaniem, żeby nie zrażać sprzymierzeńców;

4) że wszystkie zamiary i zasady i u niego zależne były, jak u każdego prawdziwego Polaka, od *usposobienia.*

Tym to programem rządził się Kantak mniéj więcéj przez cały ciąg swéj działalności parlamentarnéj, ulegając zawsze wpływowi usposobienia. Wtedy mówili jedni: to utylitarysta, umizga się,—a drudzy uważali, że się znów poprawi, że z niego jeszcze coś być może, byle go „ostro trzymać" — a tymczasem rzeczy się miały zupełnie inaczéj: był to człowiek *myślący* a zarazem *Polak* z przyrodzenia, nerwów i charakteru.

Jednakże istota myśląca miała w nim przewagę i to mu zgotowało w ciągu karyery parlamentarnéj dużo nieprzyjaźni, ale i nie

mało, jak na polskiego posła, tryumfów. Takim tryumfem było zaraz pierwsze wystąpienie. Było ono bardzo stanowczém, ale nacechowane rzeczowością i umiarkowaniem (1), zniewoliło izbę do przyjęcia wniosku Kantaka dość znaczną większością głosów. Zwycięztwo jednak było tylko moralném, bo rząd oczywiście nie uwzględnił wotum izby, ale Kantak wyrósł od razu na koryfeusza, z którym się wszyscy liczyć musieli.

Chcąc przedstawić dalszą działalność parlamentarną Kantaka, trzebaby napisać księgę. Przez 24 lat parlamentarki wygłosił on kilka set mów i odezwań, w sprawach najrozmaitszych, wchodzących w zakres wystąpień posła polskiego. Jak wiadomo bowiem, po dziś dzień koło polskie w Berlinie wyznaje zasadę, żeby ile możności nie wdawać się w prace i walki parlamentarne, nie dotyczące bezpośrednio polityki polskiéj i katolickiéj. Wyjątek dotąd stanowiły sprawy celne, rolnicze a ostatniemi czasy przybyły do repertoaru sprawy robotnicze. Spodziewać się należy, że z czasem zakres prac i zajęć się jeszcze bardziéj rozszerzy, choćby tylko dla gruntowniejszego zapoznania się naszych statystów ze sprawami „państwa“.

Kantak, wysoko czcił zasadę solidarności i niejednokrotnie jéj nienaruszalność z mównicy zaznaczał; nie upatrywał jednak naruszenia zasady téj, że tak powiem przez wystąpienie drugiego rzędu. W pierwszym rzędzie i u niego była oczywiście „obrona“ narodowości, kościoła, języka, praw poręczonych, boskich i ludzkich, ale w drugim rzędzie lubił także mówić czy to o regulacyi Warty, o roz-

---

(1) O pierwszém wystąpieniu Kantaka tak pisano w Poznaniu: „Szanowny poseł pierwszy raz nieco dłużéj przemawiał i odrazu objawił się jednym z *najlepszych* i najcenniejszych mowców koła polskiego. Mówił nader jasno i nader logicznie, *spokojnie*, *umiarkowanie formy wielką nadawało siłę*, a przytém lubo całkiem z pamięci mówił, wysławiał się najplynniejszą niemczyzną. Wszystkie te zalety, do których dodam jeszcze jaknajgruntowniejsze i najpracowitsze przestudyowanie całéj dość zawiłéj kwestyi, sprawiły, że go słuchano z uwagą, z interesem a po skończeniu mowy każdy bezstronny dostrzegacz. mógł po moralnéj atmosferze izby wywnioskować, że audytoryum niemieckie jest przekonane o słuszności przedstawionéj sprawy. *Głosowanie téż oświadczyło się za Kantakiem.* Niewątpliwie wielka część zasługi tego małego zwycięztwa, wybornéj i przekonywającéj jego należy się mowie, taić sobie wszelako nie należy, że usposobienie Izby Pruskiéj dla Polaków i wszystkich ich praw, wniosków i interesów tego jest rodzaju, że chociażby sam Demosthenes przemawiał za niémi, chociażby prawda jasna jak słońce na stole leżała, nie potrafiłoby to jednak skaptować ich głosów, gdyby poboczny jeszcze do tego nie zachodził powód“. *Vossische Zeitung* zaś tak się wyraża o pierwszém wystąpieniu Kantaka: „W izbie poselskiéj wczoraj znów był polski „wykrzyk boleści“. Frakcya wystawiła na plac nowego mówcę, który w *najpiękniejszéj niemczyznie* i jak to przyznać trzeba, *pomiarkowanie używając wolności słowa*, przez dwie godzin rozwodził skargi polskie“.

szerzeniu przejazdu w fortecznych śluzach poznańskich, o kierunku téj lub owéj kolei, wybudowaniu dworca itp., za co w wysoko politycznych kołach poznańskich niejednokrotnie się na niego zżymano, zwłaszcza gdy jakim grzecznym frazesem pogłaskał ministra. W wielkie kwestye ekonomiczne nigdy się nie zapuszczał, bo dla nich nie miał zmysłu, a szkoda; bo byłby niewątpliwie miał odwagę, żeby niemi koło polskie głębiéj zainteresować.

Jak już powyżéj powiedzieliśmy, nie mamy zamiaru ani możności spisywania w tym ulotnym szkicu kroniki mów Kantaka. Nawet obszerniejszy wybór chronologiczny znaczniejszych występów zadaleko by nas zaprowadził. Ograniczymy się więc tylko na bliższém jeszcze naszkicowaniu jego metody i zestawieniu argumentów, któremi wojował. Poznamy z tego istotę jego działania a ocenę formy pozostawimy specyalniejszemu badaniu.

Jako znakomity dyalektyk, zawsze gotów *ex abrupto* do repliki, występował najczęściéj, zwłaszcza w późniejszych czasach, w odwodzie, skoro potrzeba było zbijać zarzuty nam czynione, zawstydzić i do muru przyprzéć zapaleńców z pomiędzy naszych najserdeczniejszych, pokonać ich czelność lub złą wolę. Po mistrzowsku umiał wtedy stwierdzać faktami i wykazywać, że w stosunkach polsko-niemieckich żywioł polski jest żywiołem zgody i zgodności a Niemcy są żywiołem odstręczającéj pychy i niesłychanéj niewyrozumiałości. Powtarzał wielokrotnie i zapewniał, że Polacy, stojąc twardo i niewzruszenie przy zasadzie narodowości, naród niemiecki, jako taki, szanują, życzą mu powodzenia w zjednoczeniu, że téż z powodu tego milczeli na wszystkie aneksye, wewnątrz Niemiec dokonywane, że dalej Polacy uznają potrzebę uczenia się języka niemieckiego. A dopiero z tak „umiarkowanego“ stanowiska tém dobitniéj zwykł był uzasadniać wywody polskich żądań i zażaleń.

Jak w swém pierwszem przemówieniu, o którém było wyżéj, najczęściéj występował „z umiarkowaniem“. Zwykł był częstokroć rozpoczynać mowy swe zapewnieniem, że *chce* mówić przedmiotowo i z umiarkowaniem, tłumaczył kolegów napastowanych o drażliwość tém, że nie każdemu dano zachować zimną krew w obec nadużyć i cynizmu przeciwników, ale wszystkie tego rodzaju oświadczenia, nie były, jak to nieraz błędnie tłómaczono, objawami jakiéjś abdykacyi, jakiegoś *grzesznego* umiarkowania, lecz po prostu figurami retorycznemi, metodą. Mówca ten urodzony (1) mówca zawołany,

---

(1) Już jako uczeń miewał w zaświadczeniach w rubryce obyczajów, nieraz „malam notam“: *schwatzhaft*—trzepak, a do dyalektyki zaprawiał się w szkole, interpelując swych przełożonych nieraz pytaniami kłopotliwemi. Między filaretami był Demostene-

wygłaszający mowy swe wprost z duszy a nie z pamięci, grał i chciał mieć prawo grać na całéj klawiaturze swego talentu, prawo zużywania wszystkich akordów, na jakie jego twórcza dusza zdobyć się mogła.

Mowców téj miary nie można sądzić wedle tego lub owego frazesu, oderwanego od całości, a przedewszystkiém nie trzeba u nich formy brać za istotę. Jeżeli kto, to Kantak dowiódł stokrotnie, że umiał rzecz wywodzić z rozumu i umiał się skarżyć z serca, rzucać na nieprzyjaciela gromy odurzające i pociski zjadliwe, a jeżeli w potrzebie uznał za właściwe, rozpocząć od tonu łagodnego, lub odmieniać broń ciężką na lekką, choćby nawet czasem zatknąć na groźnym szyszaku liść oliwny, to czynił to naprzód jako mistrz słowa, a powtórnie ze względu na tę część słuchaczy i kolegów Niemców, o których zwykł mówić, że i oni przecież walczą za wymiar sprawiedliwości i inne najwyższe dobra ludzkie. Było to centrum katolickie. Z członkami stronnictwa tego łączyły go liczne osobiste stosunki. Szukał ich i znajdował, żeby mieć wpływ i znaczenie w potrzebie, żeby zapewnić sobie i swoim, wspólność broni i poparcie potężnéj za czasów Kantaka frakcyi. Jako reprezentant rzekomego najczęściéj umiarkowania, poparcie to utrwalał i zapewniał. Zatém trzymając się swéj metody, położył właściwie największe zasługi około reprezentacyi naszéj sejmowéj. Chronił ją od zupełnego odosobnienia.

Ile za to doznał goryczy, wywodzić nie będziemy. Rzucamy zasłonę na wszystko, czém mu dokuczyć usiłowano (1). Śmierć mu przyniosła tyle wawrzynów, że usprawiedliwiać go nie potrzeba. Nie

---

sem a osiadlszy na wsi, na pogrzebie jakiegoś sąsiada powiedział mowę, która sławę jego wymowy utwierdziła w powiecie.

(1) O stosunku Kantaka do kolegów w kole także pragniemy zamilczeć. On sam, jak nigdy o nikim nie mówił źle, tak i o kolegach zawsze się wyrażał z szacunkiem lub milczał. Co najwyżéj w bardzo poufném kole użalał się na swoje „osamotnienie“ W marcu r 1886 zaś pisze do przyjaciela: Koło tak jak było, mówców w niém nie zbraknie, a nasłuchać się debat można aż do zbytku nad każdą wielką i małą sprawą, choćby nie inaczéj to do porządku obrad. Ja już zupełnie zszedłem na stanowisko mówcy do odpowiadania w izbie, zawsze w rezerwie, myślę jednak, że w ciągu sessyi, *choć z raz uda mi się* wysunąć na *pierwszego* mówcę. Ha! niech tam już sobie będzie jak chce; — wreszcie człek się i nagadał i może żyć dawnemi wspomnieniami. Znasz mnie z resztą, że nie pchałem się nigdy a może i teraz sam zanadto się usuwam. Ale mi wygodnie z tém, tak samo jak i z tém, że żyję sobie najwięcéj sam“ A w innym liście także z marca r. 1886 tak pisze: „A co do obrad koła, to z własnego wiesz doświadczenia. To też do *osamotnienia* mojego.... łączy się jeszcze moralne i fizyczne znudzenie i zmarnowanie“.

jego też się tłómaczy, tylko tych, co *nie rozumieli* „mówcy“ i „taktyka“, bo przypuszczać się nie godzi, żeby w złéj wierze, lub przez zazdrość jawnie i pokątnie przeciwko niemu występowali.

Gdyby zaś kto wątpił rzeczywiście o jego uczuciach, niechaj przeczyta list, jaki mamy pod ręką, pisany do przyjaciela właśnie śród walki w sprawie kolonizacyjnéj, w któréj jako mówca, tak świetny wziął udział. Pisze on tak: „Namordowali nas w téj sesyi. Zda się obudził się w nich i odradzał duch niczém nie uglaskanego i nigdy nie sytego krzyżactwa.... Wszystkiego się wyrzekają, byle niszczyć i tępić.... W namiętności o... opinii wobec świata i ludzi zapominają. Słusznie powiedział Windhorst: gdyby anielskiemi do nich przemawiać słowy, wszystko odbiłoby się, by o skałę granitową, o zatwardziałe ich serce. Jedna dla nas moralna pociecha, że świat cały cywilizowany, ludy i narody potępiają ich postępowanie, nie będące nawet wypływem niemieckiego ducha. A złość ztąd idzie, że widzą ... jak u nas rozbudza się życie i poczucie i wstępuje w coraz szersze warstwy. Przeczuwają dziś już, że brutalna siła nie zabije ducha, a nie, to niech posłuchają co nasz Kochanowski śpiewał:

Nie porzucaj nadzieje,
Jakoćkolwiek się dzieje;
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi
A po złym czasie piękny dzień przychodzi i t. d.

„Więc i my się ostoimy, byleśmy wytrwali w wierze w Boga i jego sprawiedliwość.... w miłości do braci rodzinnéj... a nie przestaniemy wołać: krzywda nam się dzieje. Ludzie.... nikną i zmieniają się, prawda i prawo wieczne, wieczne i niezmienne. A prawo i prawda z nami. Więc przy nich stójmy a Bóg doda siły do wytrwania, bo zaprawdę na poczuciu siły wewnętrznéj jeszcze nam nie zbywa... Mogą powstrzymać rozwój, ale nie mogą nas zmienić. Otwórzmy serca dla młodszéj braci, dźwignijmy słabnących na duchu....“ i t. d. i t. d.

Przeczytawszy list ten, któżby jeszcze mógł twierdzić, że Kantak „uwłaczał godności narodu“ i nie był zdolnym do reprezentowania go wobec Niemców.

Wyborcy też przez 24 lat sądzili inaczéj, a zapewne i nadal byleby mu pozostali wiernymi. Po śmierci zaś Kantaka, jeden z kolegów jego, odwiedzając ciało, wyrzekł te rzewne słowa: „Stu innych mogło było umrzéć, byle on nam pozostał.“

Tak głęboko odczuwano jego potrzebę, jego użyteczność, doświadczenie parlamentarne, zaczęto też cenić jego metodę, potrzebniejszą i pożyteczniejszą dziś, jak wszelkie zasadnicze aspiracye i romantyczne sylogizmy.

Kantak bowiem, obok tego że był wielkim mówcą, był również wielkim taktykiem, ale politykiem o własnych oryginalnych zasadach nie był, ani nie miał aspiracyi przewodniczenia. Taktyka była jego własna, ale zasady były zasadami „ogółu“, „większości“, a choć też miał swoje zapatrywania, należał do ludzi ustępujących natarczywemu lub zręcznemu parciu, choćby takowe uważał za fałszywe i zgubne. Zgodę lubił i zgodność wszędzie szczepił, choćby z poświęceniem własnych pojęć i zapatrywań, co go oczywiście pogrążać musiało w bierności. W takim stanie bierności odszkodowywał się myśleniem i *marzeniami*, które tak kochał i wysoko cenił. Był on jak każdy Polak politykiem-poetą, tylko że niekiedy — wedle usposobienia — w prozę wpadającym.

Ale zobaczmyż, jak się w rezultacie swego politycznego myślicielstwa, swéj poezyi politycznéj, przeplatanéj prozą, przedstawia na trybunie.

Stał on przedewszystkiém na stanowisku prawa historycznego. Opierał prawa, których bronił, na traktatach wiedeńskich, na przyrzeczeniach i słowach królewskich, a zarazem na protestacyach, zanoszonych przez poprzednie reprezentacye nasze w ważniejszych wypadkach politycznego rozwoju wewnętrznego Prus i Niemiec. Sam też w r. 1867, jako członek parlamentu, zaniósł protest przeciwko wcieleniu W. Ks. Poznańskiego do Rzeszy Północno-Niemieckiéj.

Daléj opierał się w wywodach swych na prawie natury i sile odpornéj przyrodzenia od Boga nadanego. Ileż to razy, a w r. 1872 nawet w odpowiedzi potężnemu kanclerzowi, wołał z głębi duszy: „Niemcami nigdy nie będziemy, bośmy się Niemcami nie urodzili!“

Z męską odwagą wobec własnego uczucia i uczuć swych wyborców lub krytyków, nie wahał się przyznawać, że się liczymy i liczyć musimy z faktem naszego poddaństwa, z pruską konstytucyą, wprawdzie zaprzysiężoną ale przenigdy dobrowolnie nie przyjętą. Fakt zaprzysiężenia takowéj nie zawiera bynajmniéj zrzeczenia się praw. Nauczywszy się liczyć ze stosunkami i sądząc je wedle rzeczywistości, niemiłéj lecz nieuniknionéj, tém śmieléj żądać możemy, aby z nami rząd pruski postępował wedle prawa i sprawiedliwości. Jeśli wykroczymy, niech nas ściga prawo, ale póki i ponieważ stoimy na stanowisku lojalném, wszelkie bezprawie jest nieuzasadnioném, jest krzywdą, o którą z trybuny upominać się musimy, żeby z milczenia naszego nie wnoszono, jakobyśmy się zgadzali na to, co się z nami dzieje. Konstytucya pruska praw naszych, w sposób międzynarodowy poręczonych, nie zniosła. W pierwszym projekcie tejże konstytucyi przyjęto poprawkę Philipps'a, że W. Ks. Poznańskie

ma otrzymać odrębne stanowisko i osobne prawa. Ale sejm wtedy rozwiązano, a z projektu przedłożonego następnemu sejmowi, poprawkę tę skreślono. Nasi posłowie zaprotestowali, złożyli mandaty i na nowo zostali wybrani, a że ich lud ciągle wybiera na nowo, jest to dowodem, że są wyrazem jego woli, jego życzeń, jego żalów i oburzenia, które coraz więcéj się pogłębia.

Zatém i niema możności, abyśmy się niemieckiéj cywilizacyi poddali i w niéj rozpłynęli. Wszakże mamy cywilizacyą własną, tysiącletnią, któraby była daleko daléj postąpiła, gdyby jéj z zewnątrz nie stawiano przeszkód. Inteligencya niemiecka i kapitał niemiecki, nie byłyby dla nas groźnemi, gdyby ich rząd najpotężniejszemi środkami nie popierał. A nie jest to dla téj kultury i cywilizacyi niemieckiéj zaszczytem, że wobec nas słabych uciekać się musi do protekcyi tylu i tak potężnych środków przewagi państwowéj.

Niemcy nas i cywilizacyą naszą lekceważą, bo jéj nie znają. O Chinach i Japonii wiedzą więcéj, jak o Polsce. Do nas kiedyś uciekali się w wiekach gwałtów religijnych. U nas pod osłoną prawa i swobody kwitła niemczyzna i rozwijała się, doznając zupełnéj autonomii. A my dziś żądamy tylko *równouprawnienia*, a wołamy daremnie. Jest-że państwo pruskie tak słabem, że znieść nie może, żebyśmy się rozwijali językowo, w literaturze, społecznie i materyalnie w rolnictwie, przemyśle, w używaniu wszelkich praw obywatelskich, nam poręczonych?!

Utwierdzać się w świadomości tych praw i bronić się musimy na wszystkich punktach. Przedewszystkiém bronimy języka, bo to jest dar Boży i główne znamię plemienia. Téj cechy zmieniać nie można, jak się zmienia formy państwowe. Co nam przyrodzone, tego na bok odrzucać nie możemy. Jest to wynikiem konieczności a nie objawem separatyzmu. Językiem niemieckim nie gardzimy. Niech będzie w szkołach tyle godzin niemczyzny, ile zechcą, ale niech nam dzieci nie męczą nabywaniem materyału naukowego za pomocą niemieckiéj mowy. Albowiem za pomocą mowy niemieckiéj Polak nie może rozwijać swych pojęć.

Tymczasem szkoła przybrała charakter instytucyi politycznéj z pominięciem zasad pedagogicznych. Skarżą się w szkolnictwie niemieckiém na przeciążanie dzieci nauką. Cóż my na to powiedzieć mamy, których dzieci ze zdwojonemi walczyć muszą trudnościami?

Najboleśniejsza zaś walka „kulturowa“ zburzyła wychowanie religijne, a nauka religii poszła na usługi systemu germanizacyjnego. Nie dosyć jest sposobów przeróżnych szerzenia niemczyzny, „z du-

chem i siłą niemieckiego języka“ dzieci nasze zapoznawać się mają i przez naukę katechizmu a zasad wiary!

Skutek walki „kulturowéj“ objawia się jaskrawo w obyczajach. Doszła rzecz tak daleko, aż król Jegomość założyć musiał swe *veto* i zawyrokować, że narodowi zachowaną być ma religia. Walka „kulturowa“ odtąd (z upadkiem Falka) słabnąć zaczęła zwolna, u nas tylko utrzymywała się najdłużéj w pierwotnéj ostrości. Gdzie indziéj duchownych przywracano do inspekcyi szkolnéj, u nas tylko nie przywracano wpływu kościoła na szkołę, twierdząc, że duchowni nakłaniają nauczycieli, żeby tylko mechanicznie traktowali naukę języka niemieckiego, a przeciwko twierdzeniu temu najuroczyściéj Kantak protestował.

Żądał on w szkole powrotu do polityki Fryderyka Wilhelma IV, w kościele—zupełnego odwrotu z drogi zgubnego dla państwa „kulturkampfu.“

Prewencyjna polityka uśmierzania żywiołu naszego zupełnie nie ma sensu, bo o gwałtownych przewrotach u nas nikt nie myśli. Rozwijamy się intelektualnie, moralnie, ekonomicznie. Co w złéj wierze nazywają agitacyą, to jest tylko lojalném korzystaniem z praw i swobód konstytucyjnych. Innéj agitacyi u nas niema, chyba ta, którą państwo samo wywołuje, budząc niezadowolnienie, pogłębiające się i ogarniające coraz szersze koła.

Otóż główne pojęcia, otóż materyał, na którego podstawie roztaczała się i piętrzyła parlamentarna wymowa Kantaka, w najrozmaitszych sposobach wystąpień.

Wstępował on na mównicę bądź z samodzielnemi wnioskami, z odparciem nowych a szkodliwych praw, ze skargami w obradach budżetowych, nareszcie z repliką na zaczepki i prostowaniem fałszywych faktów, nie licząc licznych uwag pobocznych lub osobistych.

Specyalnością jego były przedewszystkiém sprawy szkolne. Nie minęły obrady żadnego budżetu, żeby nie wytoczył całego szeregu skarg na szkolnictwo pruskie w prowincyach polskich. Na tém polu nawet zdołał osiągnąć niejakie korzyści.

Tak od r. 1863 począwszy przez 8 lat walczył uporczywie o to, żeby w miejsce zniesionego w Trzemesznie katolickiego i polskiego gimnazyum, wywalczyć założenie innego. Gimnazyum trzemeszyńskie zniesiono wskutek wypadków r. 1863. A jest to dla Kantaka nie małą chlubą, że już pod koniec roku tego, kiedy jeszcze namiętności wrzały wzburzeniem, siłą argumentów swych zdołał izbę porwać z sobą tak dalece, że *wielką większością* oświadczyła się za przywróceniem tegoż gimnazyum, w którego murach już się mustrowało wojsko i bale się odbywały. Rząd jednak uchwały téj nie uwzglę-

dnił. Więc w r. 1865 Kantak wystąpił ponownie tak przekonywająco, że teraz uzyskał w izbie *jednomyślną* uchwałę na założenie w innem mieście *katolickiego gimnazyum* z polskim wykładem.

Dumnym był Kantak z tego tryumfu i często a dosadnie uchwały te przypominał izbie i rządowi. Przypominał tak często i uporczywie, że ostatecznie po 8-letniéj walce wymógł otwarcie katolickiego gimnazyum w Wągrowcu, lubo bez polskiego wykładu. „Oszukano mnie o polski język wykładowy", przypominał to jeszcze w izbie w r. 1879, chyba już nie „dla umizgów."

Mniéj szczęśliwym co do praktycznego skutku był Kantak w innych sprawach kościelnych i szkolnych, czy to się odzywał w sprawie gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, czy w sprawie założenia uniwersytetu w Poznaniu, czy też w ogólnych sprawach petycyi szkolnych, języka wykładowego, inspekcyi szkolnéj, wykładu religii i t. p. Rzeczowych korzyści w sprawach tych nie odnosił, moralne (1) tryumfy zawsze, bo materyał, który przywodził, był obfitym, niezbitym, należycie go używał, z umiarkowaniem a potęgą.

Najczęściéj zwykł był Kantak występować w obradach budżetowych. Jest obyczajem we wszystkich parlamentach przyjętym, że ciała prawodawcze, stanowiąc wydatki państwowe w budżecie, korzystają z téj sposobności, żeby rządowi i ministrom wytykać niedostatki lub nadużycia administracyi, przypomnieć obietnice, nastawać na wykonanie praw i t. p. Ztąd i nasi posłowie korzystają bardzo często z obyczaju tego, mianowicie przy obradach nad budżetem spraw wewnętrznych i szkolnictwa. Na tém polu Kantak nie miał sobie równego, a jego zawsze najgruntowniéj uzasadnione „skargi polskie" robiły głębokie wrażenie nie tylko na izbie, na wyborach, ale i w całym kraju (2). Tak mianowicie świetna mowa jego budżetowa z r. 1872, o której już wyżéj wspomnieliśmy. W niéj to

---

(1) W roku 1872 pisze Kantak do przyjaciela, przysyłając mu zapiski stenograficzne: „Starałem się, o ile to możebne było, trzymać się w granicach dyskusyi nad poddaną pod obrady pozycyą etatową, a korzystałem ze sposobności, żeby odeprzéć zarzuty potężnego kanclerza, zarazem też otwarcie i jasno wypowiedzieć stanowisko polskie wobec rządu. Ograniczony przedmiotem, musiałem niejedno przemilczéć, co leżało na myśli i sercu. O ile mimo to *osiągnąłem* zamierzonego celu, oceń sam. Tyle tylko, jako przyjacielowi, przed którym bez zarumienienia się pochwalić się mogę, powiem, że wrażenie w izbie było wielkie, słuchano mnie w głębokiéj ciszy, a ze wszystkich stron odbierałem jeszcze następnego dnia pochwały, jak: „mit Würde gesprochen" (mówiłeś z godnością), „ausgezeichnet gesprochen" (wyborna mowa) i t. d."

(2) W r. 1870 d-r M. Zyblikiewicz, członek rady państwa, odebrawszy zapiski stenograficzne budżetowéj mowy Kantaka, tak się o niéj z podziękowaniem wyraża: „za śliczną Twoją i pełną godności improwizacyą dziękuję...." a zarazem wywnętrza się przed kolegą co do trudnego stanowiska delegacyi polskiéj w Wiedniu.

objaśnił on zasadniczo sprawę politycznéj wiary i stosunku jéj do Opatrzności, rozporządzającéj losami ludzkości i narodów, a mowa ta pozostanie nazawsze klasyczną odpowiedzią na wszelkie prowokacye i zgromieniem banalnego zarzutu „agitacyi.

Wspomnijmy chociaż pobieżnie udział jego świetny w walce o język urzędowy (1876), wielokrotne wystąpienie przeciwko przenoszeniu polskich sędziów i nauczycieli w niemieckie strony, wystąpienie w sprawie aresztantów z r. 1863, których obronił od zarzutu niemoralności. Przypomnijmy, jak się ujmował za przywróceniem polskiego wykładu religii w szkołach „simultannych“, jak się oburzał na poniżenie nauki języka polskiego do szkolnéj nieobowiązkowości, jak występował przeciwko skasowaniu języka polskiego w szkołach elementarnych (1874), w sprawie ordynacyi powiatowéj dla W. Ks. Poznańskiego (1877), w sprawie katedry literatury sławiańskiéj w Berlinie (1877), przeciwko zamianie szkół katolickich na „simultanne“ (1), w sprawie zmiany nazw polskich miejscowości (1879 i 1880), o języku w stowarzyszeniach (1881), o władzy dyskrecyonalnéj, z powodu któréj powiedział jednę z najświetniejszych mów swoich. Śpiewem jego łabędzim a zarazem najwspanialszą mową było wystąpienie w obradach nad prawem kolonizacyjném, po któréj napisał list znany nam już z powyżéj zamieszczonego ułamku. W mowie téj biją wszystkie tętna jego serca, wszystkie moce jego ducha. Wiedząc, że zwyciężyć nie może, chciał jakoby zostawić ślad niezatarty i pomnik wspaniały dla stanowiska, którego bronił.

Nareszcie pominąć nie możemy i téj cechy, że Kantak jak był wielkim mówcą, gdy mu chodziło o rzecz, tak umiał się stać straszliwym, gdy chodziło o pokonanie bezwzględnie występującéj osobistości. Gołębia dusza jego wtedy zamieniała się w drapieżnego sępa. Nigdy w życiu nikomu nie dokuczył; na mównicy był nieubłaganym i bezwzględnym i to zawsze z zachowaniem zimnéj krwi, powagi i godności.

Tak prosił kiedyś posła Heniga, żeby dał pokój sądom o polskiéj kulturze, bo tyle o niéj wié, co o egipskich hieroglifach. Panom Wittowi i Tempelhofowi, występującym wiernie z obawami przed spolonizowaniem, odpowiedział z dumą: „Toć chyba musimy być bardzo silni i nie tak mało warci, jak utrzymujecie, jeżeli was potrafimy polonizować.“

---

(1) Odebrał za to własnoręczne podziękowanie od jego eminencyi ks. kardynała Ledóchowskiego, „za podejmowaną wytrwale i świetnie na sejmie obronę najdroższych nam interesów.“

Osławiony swego czasu Hundt v. Hafften, gdzie mógł, dokuczał Polakom a wszystkie sposoby germanizacyjne rządu uważał za pół środki. Temu Kantak tak się dał we znaki, że Hundt dostawał nerwowego drżenia, ilekroć Kantak po nim głos zabierał. Z dumą i ironią zjadliwą odwołał się w obec niego Kantak na świadectwo ludu, któremu się Hundt (1) śmiał narzucać niby na prawdziwego i prawdziwie życzliwego reprezentanta jego interesów. Nie polski mówca, ale on Hundt, jest „Bauernfaengerem,“ bo nie jego lud polski wybiera, ale posłów polskich od tylu lat i tylokrotnie. Więc nie do niego lecz do swoich posłów ma zaufanie, które jest ich całą a sowitą nagrodą. Odtąd Hundt był, jak to mówią, pogrzebanym.

Z jakąż godnością odparł też napaść Platha na „partyą polską.“ „Nie jesteśmy stronnictwem, rzekł, bo jesteśmy reprezentantami narodowości. Stronnictwa mogą być u nas na wewnątrz, w obec was jesteśmy zwartym szeregiem, jedni i zgodni jak mur.“ To samo usłyszał Tiedemann na zaczepki podobne: „Nie jesteśmy partyą ani arystokratyczną ani rewolucyjną, bo my reprezentujemy część kraju i występujemy tu nie z partyjnemi, lecz z narodowemi przekonaniami. Nasz ultramontanizm, to obrona kościoła od przewagi świeckiego ramienia, bronimy go jako katolicy i nie znamy ani pruskiego kościoła ani pruskiego episkopatu, jeno katolicki.“ Nazwał on też Tiedemana godnym następcą Hundta. jako rycerza, co dostaje ogrożenia, skoro się wspomni o używaniu naszego języka, jako uczonego, który rozprawia o polskim języku i polskich nazwiskach a sam się przyznaje, że o polskim języku nie ma wyobrażenia. Ostatecznie gdy i to go nie uspokoiło, zaprowadził go Kantak do hiszpańskiego cyrku i jako dzielny matadore, z łatwością pokonał.

Taki Haugwitz kazał nam śpiewać: „*Deutschland*, *Deustchland über alles!*“ Na co Kantak: „Nie ma się dwóch dusz, dwóch ojczyzn, dwóch narodowości a spójnia państwowa nie jest spójnią plemienną!“

I po za sejm padały ciosy jego na zaczepne i ubliżające nam osobistości. Tak mianowicie uwolnił on Poznań od dwóch urzędników archiwalnych, którzy naukowego stanowiska swego nadużywali do antypolskich agitacyi politycznych a z największym despektem odzywali się o przeszłości polskiej. Tak ich przyparł do muru Kantak wobec ministra, tak odkrył ich złą wolę a przytém nieuctwo, że pod jakimtakim pozorem pan minister ich z Poznania usunął.

Tém śmieléj mógł Kantak tu przemawiać, że swego czasu głównie on się przyczynił jako poseł do założenia archiwum prowincyonalnego.

---

(1) Był posłem z Księstwa.

Był to więc nie tylko mówca ale oraz, jak na polskiego męża stanu w Berlinie—człowiek wielce wpływowy. Miał przystęp do ministrów i powag parlamentarnych a wśród stronnictwa centrum miał licznych przyjaciół i wielbicieli (1).

W grubszych zarysach staraliśmy się przedstawić parlamentarne przymioty naszego szermierza. Nie spisaliśmy kroniki jego działalności, bo w ciasnych ramach publicystycznego życiorysu byłoby to niepodobném. Kto się bliżéj interesuje sprawami sejmowemi, niech zasiędzie do odczytania *zapisków stenograficznych*, które się przecież znajdować powinny w każdéj większéj bibliotece publicznéj (2) i dziennikarskiéj. Jest to mozolna praca, przejrzéć tyle roczników, ale nagrodzi się korzyścią, że dopiero z zupełnego materyału można sobie urobić wizerunek moralnego i intelektualnego stanowiska męża, żeby sobie z dobrém sumieniem powiedziéć: był to człowiek gorącego serca, wielkiéj duszy, bojownik zawsze gotów ku potrzebie, nieustraszony, umiarkowany a tém dosadniejszy, uzdolniony i umiejący używać talentu (3).

---

(1) Jeden z przyjaciół zmarłego pisze nam o Kantaku: „z Niemcami politykował ażeby uzyskać ich dla nas dobre usposobienie.“ To się odnosi do jego stosunków z posłami katolickiemi, z któremi po części był w ścisłéj zażyłości. Robili mu też oni niejednokrotnie owacye, pisali wiersze na jego i koła polskiego cześć. Otóż wyjątek z jednego z takich wierszy:

In Preussens zweiter Kammer
Sitzt eine Heldenschaar;
Freund Kantak schwingt den Hammer
Und haemmert fest—fürwahr!

Doch auch Ihr Andre alle
Steht muthig auf der Wacht,
Was auch spein Gift und Galle
Anbeter irdischer Macht.

Odnosi się koniec ten oczywiście do serwilizmu liberałów, do których rzekł Kantak: I wy miewaliście ciężkie czasy, a wtedy rodzili się u was wielcy i sprawiedliwi mężowie, dziś jesteście w szczęściu a pycha was zaślepia. Gdyby żyli Waldeki i Howerbecki, partya wolnomyślna nie popierałaby bezwzględnie systemu Falka.

(2) Towarzystwo Przyjaciół Nauk posiada taki zbiór dzięki Kantakowi, który liczne tomy sprawozdań do księgozbioru Towarzystwa przekazywał. Brak kilku roczników dawniejszych, a niektóre są zdefektowane.

(3) We wspomnieniu pośmiertném, zamieszczoném w *Kraju* (Nr. 1 r. b.) a podpisanym z Gniezna przez „Wiarusa“ zaliczony jest Kantak do szeregu nieboszczyków, w których nie należy upatrywać wielkości, a jednakże tenże sam korespondent w dalszym wywodzie powiada o nim, że „stanął na wysokości jednego z najznakomitszych *w wieku naszym* trybunów.“

Powiedzieliśmy już poprzednio, że Kantak nie był politykiem samodzielnym, z ideą nową, przebojem wywalczaną. Nie dla tego, żeby go nie stać było na taką ideę i na odpowiedni zasób woli i hartu, ale że pole, na którém stał i stać musiał, nie nadawało i nie nadaje się do zajęcia, takiego stanowiska. Nie był „wielkim politykiem," bo nie chciał i nie pragnął być wielkim koniecznie i przez gwałt, tam, gdzie w danych okolicznościach „wielkim" być nie można. A ta wstrzemięźliwość w uganianiu się za nieujętą, niepochwytną mrzonką, stanowi tło jego rzeczywistéj i odrębnéj wielkości. Wstrzemięźliwość ta pozwoliła mu nie być wprawdzie wielkim, oryginalnym, przewodnim politykiem, ale stanąć w szeregu *największych parlamentaryuszy* swéj epoki, myślicieli zawodu parlamentarnego.

Tem się téż tłómaczy, dla czego Kantak, poświęciwszy się raz parlamentaryzmowi, nie był zdolnym do zajęcia w społeczeństwie jakiegokolwiek stanowiska, któreby mu przez pracę organiczną, zapewniało byt.

Mówiono o nim, że nie lubi pracować, że ucieka od zarobkowéj, obowiązkowéj pracy ściśle określonego zawodu. I rzeczywiście od niéj uciekał. Ilekroć się skończyła kadencya sejmowa, nie wracał ani do warsztatu, ani do bióra, ani do pługa, gdy mu go okoliczności z rąk wytrąciły. Wtedy, jeśli go stosunki nie zmuszały do pustelniczego życia w Poznaniu, odwiedzał przyjaciół a najchętniéj pędził w świat daleki, orzeźwić umysł pięknem przyrody, czy to nad brzegiem zburzonego morza, czy na szczytach alpejskich lub téż najchętniéj na dzikich turniach i ustronnych dolinach rodzinnych Tatr. Tak robi wielu „próżniaków." Ale ciężko by zgrzeszył pochopny sędzia pozorów, któryby wyrok taki na Kantaka dziś jeszcze wydał, kiedy życie całe niepospolitego człowieka leży przed nami jak otwarta księga, któréj treść należycie wyrozumiéć należy.

Cała działalność parlamentarna Kantaka nosi na sobie przedewszystkiém cechę myśliciela. A myślenie jest zaiste ciężką i wyczerpującą pracą. Nie myślał zaś, nie pracował myślą, żeby coś powiedziéć i dopiero kiedy głos zabrać należało, lecz wystąpienia jego były raczéj okolicznościowym objawem ciągłego i nieustannego procesu myślenia, który wtedy może uskarbiał i że tak powiem magazynował w duchu najcelniejsze zdobycze, gdy człowiek „próżnował" lub się bawił. Wieczór przed pierwszym wystąpieniem w sejmie, koniecznie przepędzić zamierzał i spędził na przedstawieniu „Dziewicy Orleańskiéj." Nie z próżniactwa, nie z chęci zabawy, lecz żeby podnieść ducha—poezyą.

Zatém dla „człowieka", wielkim to było zapewnie uszczerbkiem, że wyparty od pługa, już nie zdołał zająć stanowiska zarobko-

wego, ale wielkie pytanie, czy oddawszy się procederowi, byłby tém, czém jest, — chlubą polskiego parlamentaryzmu.

Bywają szczęśliwcy, którzy bez ujmy potrafią z pożytkiem i skutkiem pracować na kilku obszarach działania. Ale nieskończenie więcéj jest takich, którzy przez rozstrzelanie marnują siły. Iluż to widzi się ludzi ambitnych i łaknących sławy, którzy nie tylko twierdzą, że sami wszystko potrafią, ale i od drugich wymagają, żeby potrafili najsprzeczniejsze rzeczy. Otóż temu wymaganiu Kantak nigdy się nie poddał a jeśli skutkiem tego za życia ulegał wielokrotnie zarzutowi próżniactwa, to dziś, po śmierci, stwierdzić należy, że skutkiem tego rodzaju „próżniactwa" wolen jest od odpowiedzialności za liczne prace, przedsiębrane po dyletancku albo dla ambicyi, albo z niepohamowanego „powołania" do pełnienia obowiązków, którym się nie dorosło. Zaiste bowiem i najszlachetniejszy dyletantyzm może być rakiem, który stoczy skołatane społeczeństwo. Ileż sił, ileż zasobów, ileż najlepszych chęci on marnuje, ile nadziei zawodzi, ile sprowadza nieszczęścia i demoralizacyi w prywatném i publiczném życiu.

Że nie był leniwcem w zwykłém tego słowa znaczeniu, tego Kantak dowiódł jako rolnik i jako parlamentaryusz. Mowy jego zawierają, o ile nie są polemicznemi, nie tylko dobrze obmyślany, ale i skrzętnie zebrany i uporządkowany materyał. Że dalej umiał pracować ściśle i sumiennie, dowodzą i te nieliczne prace (1) obywatelskie, któremi się po za czynnością parlamentarną zajmował. Sprawy opiekuńcze załatwiał zawsze z największą skrupulatnością, a Towarzystwo Tatrzańskie znalazło w nim w Wielkopolsce delegata, który iście cudów dokazywał w gromadzeniu składek na piękne cele tegoż towarzystwa.

Powiedzieliśmy już poprzednio, że myśli jego głównie i przeważnie skierowane były w stronę jego działalności parlamentarnéj. Owocem téj działalności są całe tomy mów jego. Po za tym plonem, rzeczywiście Kantak nic lub prawie nic nie pozostawił, coby owocem myśli jego nazwać można. Ludzie myślący owoc swéj duchowéj pracy składać zwykli na piśmie. Kantak zaś, i to najcięższy zarzut jaki mu zrobić można, chorował na nieprzezwyciężony piórowstręt. Prócz kilku brulionów mów okolicznościowych i dość licznéj a zaj-

---

(1) Opowiadają o nim, że raz pragnął się przymusić do pracy terminowéj, na kilka dni obliczonéj, zabrał z sobą do domu jakiegoś biedaka, któremu podarował jedyną parę butów. Zanim szewc zrobił nowe, minęły trzy dni, a Kantak nie mogąc wyjść z domu „na gazetę", przysiedział fałdów i pracę ukończył.

mującéj korespondencyi (1) nic po nim nie pozostało. Co się z nich przytacza, a co charakteryzuje sposób myślenia Kantaka, sam czytelnik osądzi. Co zaś umysł ten, wzbogacony bardzo obszerną, ale zbyt różnorodną i nieraz za osobliwościami goniącą lekturą, uskarbił sobie i posiadł, to oczywiście ze śmiercią przepadło, o ile się nie uwydatnia w jego stosunkach z ludźmi, rzucających światło na jego ideały społeczne i towarzyskie.

Jako wychowaniec epoki politycznego i społecznego romantyzmu, nie miał Kantak zmysłu dla spraw ekonomicznych i nie zapalał się też do prac organicznych, ale żywo się niemi interesował i z wyrozumieniem patrzał na coraz nowe eksperymenty. Od stowarzyszeń nie stronił, ale w niewielu brał udział czynny. Szczególną jednak życzliwością otaczał owo najstarsze i najżywotniejsze palladium naszych prac organicznych t. j. Towarzystwo Pomocy Naukowéj imienia Karola Marcinkowskiego. Przez wiele lat należał do zarządu tegoż towarzystwa i był w nim zawsze orędownikiem największéj hojności. Światła więcéj, jaknajwięcéj światła, było jego głównem hasłem społecznem.

Jakkolwiek z urodzenia i kierunku wychowania należał do t. z. warstw średnich i dumnym był z tego, nie wygłaszał nigdy haseł, któreby warstwy narodu rozdzielały a rozpierały, i owszem występował zawsze w duchu pojednawczym. Demokrata był w nim owiany echem haseł Spirydyona Prawdzickiego. W obec sfer arystokratycznych umiał zawsze zachować swą samodzielność i godność, a w obec sfer, z których pochodził, powagę, nakazującą milczenie namiętnościom. Wielkim nie schlebiać ponad zasługę, a małych podnosić, było jego zasadą. Nie bawić się w stronnictwa, gdzie do tego niema pola i potrzeby, ale wszelkie organiczne części społeczeństwa, wieść równolegle do jednego celu, to jego było pragnieniem. Dumnym też bywał z tego, ilekroć na zebraniach przedwyborczych zdołał zażegnać burzę powaśnionych żywiołów. Z wyrozumiałością zapatrywał się zwłaszcza na zapalność młodszych sfer społecznych i ledwo do współudziału w życiu publicznem powołanych. Do sfer tych,

---

(1) Kilku przyjaciół zmarłego oddało nam z uprzejmością, powodującą nas do wyrażenia im wdzięczności, kilkadziesiąt listów Kantaka lub do Kantaka pisanych, z których w ciągu téj pracy stosowny zrobiliśmy użytek. Jesteśmy przekonani, że daleko więcéj listów takich znajduje się w tekach licznych jego przyjaciół. Listy te nie powinny zaginąć.

W młodych latach napisał był powieść osnutą na stosunkach poznańskich. Ale mu ciotka rękopis spaliła z napomnieniem: nie rób sobie nieprzyjaciół. Miękka dusza Kantaka na zawsze się tém odstręczyła od pisania do druku.

mianowicie przemysłowych, odzywał się też nieraz słowem poważnego upomnienia (1). W pozostałości rękopiśmiennéj po nim jest brulion przydłuższéj mowy, którą raz powiedzieć miał na jakiéjś uroczystości poznańskiego Towarzystwa Przemysłowego.

To też w sferach tych uważano go, zwłaszcza że był dzieckiem miasta Poznania, jako chlubę a jeśli nie jako przewodnika, to jako wyobraziciela mieszczaństwa polskiego. W tych sferach najchętniéj obcował a żadna majówka przemysłowa i rzemieślnicza nie odbyła się w Poznaniu, żeby Kantak jéj nie uświetnił swą obecnością. Podnosiło to samowiedzę i szlachetną dumę sfer tych, że mąż tak znakomity, że „nasz Kantak“ nie uważa sobie za ujmę, wyprowadzić poloneza, powiedzieć mówkę, zagrzewającą serce, pograć w gry (2) z młodzieżą a pogwarzyć przy kieliszku lub kuflu ze starszyzną. Ztąd też w tych właśnie sferach używał niesłychanéj popularności, dobrze zasłużonéj.

Nie mniéj sympatyi spotykał w dalszych i najszerszych kołach. W rodzinie go kochano, bo był życzliwym i wyrozumiałym a przedewszystkiem najlepszym synem dla ukochanéj matki (3), która go odumarła w lutym 1876. Przyjaciół miał wielu i niepospolitych, nie od zabawy, lecz od serca i myśli. Umiał ich kochać i pragnął być kochanym (4). Karol Libelt kochał go jak młodszego brata, zaliczał go jakby do rodziny. Nie minęła żadna uroczystość familijna, żeby nie bywali u siebie. Wyższy nastrój ducha i głęboka nauka Libelta uszlachetniły przez to obcowanie umysł Kantaka. Libelt nie tylko że go kochał, ale cenił w nim zdolność i powołanie do pracy publicznéj. Jego wpływowi zawdzięczał kandydaturę do sejmu (5). Kiedy zaś Libelt z powodu zatargu, jaki miał z kołem o wystąpienie w sprawie Duńczyków, dobrowolnie ustąpił przed opinią, pisał do Kantaka, że w nim jednym upatruje najwłaściwszego po

(1) Zaproszenie na wykłady dla tychże sfer otrzymywał aż ze Lwowa.

(2) Na majówkach takich zwykle się odbywają loterye fantowe na cel dobroczynny lub na zasilenie kasy towarzystwa. Kantak niekiedy po kilkadziesiąt (zapożyczonych) talarów wydawał na zakupno fantów, które rozdarowywał, żeby tylko jego protegowani powiedzieć mogli, że im się zabawa udała.

(3) I nie mam już Matki, pisze do przyjaciela, którą tak czule kochałem i dla któréj czułem tak wielkie przywiązanie, szacunek i cześć. O, nie wiem zaprawdę, jak będzie mi podobna oswoić się z tą myślą, że ją mam pochować i potém jéj nie zobaczę.

(4) Głupi strasznie, pisze, ten wyraz: życzliwość. Nie chcę go, protestuję przeciwko niemu, wolę by ludzie, do których czuje ową logarytmiczno-arytmetyczną średnię, mnie nienawidzili, jak żeby się podpisywali w listach do mnie: „życzliwy“.

(5) Z razu kandydatura ta nie miała powodzenia — dla nosa.

sobie następcę na urząd prezesa koła i prosił go, żeby ze względów skromności nie odmawiał. Wybrano wtedy prezesem Włodzimierza Brezę.

Prócz z Libeltem był Kantak w przyjaznych stosunkach z mężami takimi jak Łepkowski, A. Małecki, dr. Zyblikiewicz, sędzia Waltowski, K. Koczorowski, St. Thokarski, Różański, Sypniewski i tylu innych. A ilekroć się pokazał w dalszych stronach kraju, przyjmowano go i czczono uroczyście (1). Stowarzyszenia i instytucye ubiegały się o jego współudział i opiekę. A wszakże był w ostatnich czasach i członkiem komitetu do pomnika Mickiewiczowskiego w Krakowie, jednakże osobiście w pracach komitetu nie brał udziału.

Nie dziw zaiste, że skoro niespodziewanie i po krótkiéj chorobie zgasł w Poznaniu po wyczerpujących trudach ostatniéj kadencyi sejmowéj (2), w całym kraju odezwało się najżywsze współczucie i wyraz żaloby. Trumnę najdzielniejszego szermierza zasypano wieńcami. Ludność Księstwa sprawiła mu książęcy nieledwie pogrzeb.

— Niepotrzeba przecież być bogatym, — rzekła na widok pogrzebu wspaniałego, jakaś biedna kobieta,—żeby taki mieć pogrzeb!!

Kobieta ta mówiła prawdę, bo Kantak umarł nieledwie w biedzie (3) materyalnéj, ale ilużbogaczów mogło mu pozazdrościć tych

---

(1) W Zakopanem w r. 1881 A. E. Odyniec, taki przy uczcie wniósł na jego cześć toast:

Z różnych stron Polski zebranych
Cześć nas tu łączy jednaka,
Dla cnót i zasług uznanych,
Dla Kazimierza Kantaka.
Wiemy, że w walce z przemocą,
W obec ojczyzny i świata,
Tyś jest jak Dawid, co z procą
Stanął przeciw Goliata.
Świat patrzy dziwu oczyma,
Lecz Bóg ostatni sąd wyda,
Co większe: siła olbrzyma
Czy duch i wiara Dawida.
Lecz kto tak ojczyznie służy,
W myśli, w sercu, w czynie, słowie,
Oby żył jaknajdłużéj;
Panowie, Kantaka zdrowie!

(2) W listach pisanych w ostatnim czasie do przyjaciół skarży się niejednokrotnie na pracę sejmową, wyczerpującą siłę podczas obrad nad wnioskami antypolskiemi i prawem kolonizacyjném.

(3) Na miesiąc przed śmiercią tak pisał o sobie do jednego z przyjaciół. „Przez cały czas wróciwszy po zamknięciu sejmu do Poznania, siedzę w nim kamieniem, ni

skarbów pośmiertnéj czci i miłości, któremi mogiłę jego otoczyli swoi przedewszystkiém, ale także i obcy.

Cała prasa niemiecka oddała mu cześć, a odwiedzający ciało zmarłego Niemiec jakiś, chwycił nieboszczyka za rękę i zawołał ze łzami: „*Du warst ein wahrer Christ! Lebevohl!*“ Któż wiedzieć może jaką temu Niemcowi lub komu jego bliskiemu wyświadczył usługę!

W pełnieniu usług i obowiązków chrześciańskich różnicy pod względem narodowości nie robił żadnéj (1).

Jak na samym wstępie się powiedziało, należał Kantak za życia niewątpliwie w rozumieniu zwykłem, do bardzo nieszczęśliwych istot. Dotknięty kalectwem, bankructwem, skazany na stosunkowo bezpłodne wyczerpywanie sił w walce politycznéj bez zadowolnienia z zewnątrz i wewnątrz, skazany przytém na dożywotnią samotność (2), o któréj rozerwaniu ani śmiał, ani mógł zamarzyć, nie byłże obrazem najsmutniejszego rozbitka? A jednak człowiek ten nie był nieszczęśliwym.

Umysł jego żywy i pogodny pomagał mu znosić i odbijać wszystkie, najsroższe ciosy zawistnego losu, a szczęście ludzkie pojmował jak prawdziwy mędrzec. Winszując przyjacielowi imienin (3), tak się rozpisuje: „Przedewszystkiém zdrowia (ci życzę). Ono podstawą i życia i szczęścia, a *choć znów nie zawsze warto żyć*, choć i w życiu nie zawsze i nie wszędzie jest szczęście, przecież bez niego i *życie niema wartości* i szczęścia być nie może. Szczęścia! długa to

---

gdzie nie wyjeżdżałem, w niczém, prócz jednego wyborczego zgromadzenia, na którém udało mi się uspokoić wzburzone fale, udziału nie brałem, u nikogo nie bywałem, a jeśli spotkałem się z kim, to przypadkiem chyba... Mogłoby być inaczéj, gdyby, gdyby nie to gdyby. Oh biéda nęka człowieka, to i humoru niema ani chęci do czegośkolwiek, ani możności. I do ludzi człeka nie ciągnie i najlepiéj mu w ślimaczéj skorupie. A do tego i na okół coraz gorzéj....“

(1) Wiemy już jak w Berlinie odznaczał się dobroczynnością dla swoich i obcych. W r. 1881 miał proces o obrazę urzędnika granicznego, wobec którego wziął w obronę jakiegoś Niemca, gdy tenże w podróży do choréj córki na granicy nie mógł wymaganiom urzędnika zadosyć uczynić.

(2) W r. 1855, o ile wiadomo, raz jednak „naganiano go w sidła“, ale przyjaciel jakiś w sekrecie mu powiedział: ożenisz się, pożałujesz; nie ożenisz się, też pożałujesz; rób jak chcesz. Wyliczając zaś talenta swe starokawalerskie tak Kantak kończy list: „Ot widzisz i ja czasem głupstwo napiszę, ale wierzaj mi, to głupstwo najsmutniejsze dla mnie! Eh precz z tem, a kysz! a kysz!“ — Tęsknota za życiem rodzinném nie dwuznacznie się przebija z tych słów.

(3) Był bardzo pamiętającym o wszelkich uroczystościach rodzinnych, swych przyjaciół, a lubił też gdy o jego dniu imienin pamiętano.

materya pisać o szczęściu. Niech je pojmują inni inaczéj, ja pozostaję przy swojém. Chcesz być szczęśliwym, *nie szukaj szczęścia* naokoło siebie, *nie żądaj go od świata* i ludzi, snuj jego nić z własnego serca, umiéj wśród nieszczęść być szczęśliwym, *uszczęśliwianiem tych, co cię otaczują.* Miéj tyle siły, byś nie uległ wśród przeciwności, śmiéj się w oczy ciosom losu, stój mocno i silnie wśród wszelkich dolegliwości, silny spokojem wewnętrznym, płynącym zawsze z dopełnionych powinności, jakie wkłada na nas życie, z dopełnionych obowiązków względem siebie i drugich. Umiéj poświęcać się — a będziesz szczęśliwym nawet wśród niedoli i ciosów, wśród smutków i cierpień, powiązanych z życiem; będziesz szczęśliwym o ile szczęście dane jest człowiekowi mającemu serce. Głupi tylko człowiek, bez serca, może pragnąć i doznać szczęścia bez cierpień i kolców. Ale to szczęście nie do pozazdroszczenia, to szczęście—głazu, któżby się na nie mijał (?), kto pragnął takiém żyć życiem. Życie jest piękne i wśród cierpień, bo są w niém *chwile piękne*, które wynagradzają długie godziny i dnie przykrości, są — *chwile szczęśliwe*!!"

Albo w innėm miejscu tak pisze: „Zdrów jestem, a co do usposobienia—dobre! Za nic nie oddałbym godzin moich marzeń, bo mówię, szczęśliwy ten, kto umiał i potrafi marzyć. Mnie wtenczas najlepiéj gdy marzę...."

A daléj odnośnie do marzeń: „Kto w ten sposób głupim być może, temu błogo. Ja nie oddałbym chwil podobnego głupstwa za wszystkie rozumy i skarby świata. Kto nie kochał i nie cierpiał, ten rzeczywiście głupim, a więc jeszcze biednym, nie zna szczęścia; szczęśliwym jest chyba tylko szczęściem głazu — żal mi go!"

Był więc, jak widzimy, w tym punkcie skończonym filozofem i w całéj pełni używać musiał chwil szczęścia, któremi rozporządzać mógł sam na zawołanie.

Posłuchajmy, jak pojmował zadanie życia (1):

„W miłości—wszystko, bez miłości nic. Niemasz w całym naszym polskim języku piękniejszego słowa nad to jedno: *kochać.*

„Miłość jest kamieniem probierczym wartości człowieka. W miłości zbawienie, a w przeniknieniu i urzeczywistnieniu się jéj we wszystkich stosunkach ludzi i narodów, państwa i społeczeństwa, jedyny prawdziwy postęp i przyszłość ludzkości.

„Kochać — to żyć."

Kto się tak zapatrywał na życie, mógł być szczęśliwym.

---

(1) Aforyzm ten umieścił w r. 1885 w „Okrężnem", piśmie zbiorowém, wydaném na rzecz Towarzystwa Czytelni ludowych w Poznaniu. Był to nadzwyczajny wypadek, że się chwycił pióra.

Szczęśliwym był jako myśliciel, szczęśliwym jako chrześcianin, bliźni. Jałmużna, uczynność, to były jego rozkosze. Wolny od goryczy, nie zdolny był nikomu dokuczyć, nie tylko skrzywdzić (1). Nigdy ust nie kalał kłamstwem, nie koszlawił duszy chytrością, obłudą, podstępem; nigdy się nie uciekał do intrygi lub intryżki. Unikał intrygantów i ramionami wzdrygał na wszelkie zaprawy namiętności i małostek ludzkich. Zwłaszcza też w późniejszém życiu żył coraz bardziéj zamknięty w sobie, unikał burz, a jak u nas najczęściéj — owych burz w szklance wody, w których bez korzyści i z niesmakiem demoralizującym, trwoni i ściera się tyle sił, godnych lepszego użycia.

Był tedy szczęśliwym przedewszystkiém dlatego, że wobec rodaków, bliźnich i ludzi miał *czyste sumienie.*

Był szczęśliwym, bo nawet gdy go już „ogół" opuścił i nie tak jak dawniéj „ubóstwiał", miał przyjaciół, przed którymi się mógł wywnętrzyć, dla których mógł być otwartym i zrozumiałym.

Był szczęśliwym, bo umierając nie pozostawiał w biédzie żony ni dzieci.

Był szczęśliwym, bo uchował sobie dobre imię, cześć i sławę, trwalszą nad wszelkie gorycze życia.

Był szczęśliwym, bo na szczęście zasłużył doczesne i wieczne, jako człowiek w całém znaczeniu tego wyrazu, d o b r y — *vir bonus!*

---

(1) Czekając na wsi na gości, którzy mieli powrócić z polowania, tak kończy list do przyjaciela: „co do mnie, nie lubię *zabijać nawet zajęcy.*"

Dr. Wł. Łebiński.





UCHWAŁY WALNEGO ZJAZDU W PIOTRKOWIE

Z 1444 ROKU.

Nieznane zgoła wydawcom *Voluminów legum* i Bandtkiemu w zupełnéj treści uchwały zjazdu walnego Piotrkowskiego, znajdują się w lichéj wprawdzie ale współczesnéj kopii w bibliotece hr. Wiktora Baworowskiego. Mówię: w zupełnéj treści, gdyż, jak wiadomo, i Długosz podaje nam niektóre uchwały (1) i adres panów królestwa pisany do króla Władysława Warneńczyka na dniu 26 sierpnia 1444 r. podaje treść ważniejszych uchwał (2). Kopia biblioteki Baworowskiego uzupełnia je długim szeregiem nieznanych skądinąd uchwał, z którego to względu pozwala nam bliżéj się przypatrzéć jednemu z najdawniejszych pomników uchwał parlamentarnych, dających pojęcie o zakresie czynności i ustawodawstwie zjazdów generalnych na schyłku pierwszéj połowy wieku XV. Dodać należy, że głośny manuskrypt biblioteki Dzikowskiéj z 1501 roku (3), zawierający tłómaczenie statutów polskich, pomieszcza pomiędzy innemi i treść uchwał zjazdu Piotrkowskiego w skróceniu—przytacza atoli uchwały nie znajdujące się w rękopisie Baworowskiego.

W jakim celu zwołano zjazd walny do Piotrkowa na dzień 24 sierpnia nieszczęsnego tego roku? Treść uchwał najlepiéj zdoła cel ten wytłómaczyć i potwierdza w zupełności relacye współczesnych źródeł, z których dowiadujemy się, że pobyt Warneńczyka na tronie i w królestwie Węgierskiem nie podobał się Polakom z dwóch względów; brak bowiem króla pogrążył królestwo tak pod względem stosunków zewnętrznych jako też i wewnętrznych w stan opłakania

(1) Księga XI. p. 712.

(2) Cod. ep. XV saeculi, pars. I. p. 140—144.

(3) Jest on własnością marszałka hr. Jana Tarnowskiego; obszerną wiadomość o nim z opisem treści podał dr. W. Kętrzyński w zeszłorocznym Przewodniku nauk i lit.

godny (1). To też rozejm zawarty przez Warneńczyka z Turkami w Szegedynie w lipcu 1444 r. wywołał w Polsce powszechne uczucie radości. Cieszono się nadzieją powrotu królewskiego. I nie dziwna— finanse, administracya, sądownictwa upadały w Koronie; ze Szląska groziły ustawiczne rabunki; pomiędzy Mazowszem a Litwą wzmagała się wojna a Tatarzy korzystając z tych zamieszek napadali i wyludniali Podole. Geniusz Oleśnickiego okazał się być słabym; nie mógł on zaradzić złemu, rabusiostwo dawało się i jemu we znaki; samowola szeroko rozpostarła się po wszystkich ziemiach Korony. Stronnictwo, które przed laty odrzucało przyjęcie korony węgierskiéj a to z obawy niepokojów grożących Polsce w czasie nieobecności królewskiéj, mogło sobie powinszować trafnego ocenienia rzeczy i bystrego przewidywania złych skutków z powodu wysłania króla młodzieniaszka do Węgier.

Tymczasem nadeszła niespodziana i hiobowa wieść o zerwaniu rozejmu Szegedyńskiego. W Polsce zapanowało powszechne zaniepokojenie. Trzeba było temu zaradzić. Natenczas to zwołali strwożeni panowie co rychléj zjazd walny Małopolan do Piotrkowa.

Piekące sprawy zewnętrzne były pod ówczesną chwilę bardziéj ważne aniżeli nieład wewnętrzny, z którego to powodu uchwalono zaradzić pierwszym i od nich rozpoczyna się szereg uchwał, w którym zresztą trudno ściśle logicznego dopatrzyć się systemu, dlaczego też należy bez względu na porządek, jaki w nim znajdujemy, traktować nasamprzód pierwsze a potém drugie, dotyczące wewnętrznych stosunków państwa.

Zjazd uchwala tedy wysłać najpierw znakomitych posłów do Litwy, do w. ks. Kazimierza i do panów rady litewskiéj z poleceniem, aby według instrukcyi im danych położyli kres wojnie toczonéj pomiędzy Litwą a książętami Mazowsza Kazimierzem i Bolesławem, bądź to za pośrednictwem trwałego pokoju bądź też tylko rozejmu. Na posłów delegowano: arcybiskupa Gnieźnieńskiego Wincentego i Jana Oleśnickiego wojewodę Sandomirskiego. Stanowisko możnowładców do w. ks. Litwy, objaśnia dodatkowa uchwała, na mocy któréj, wrogowi księcia i jego współzawodnikowi, ks. Michałowi Zygmuntowiczowi wyznaczono miasto Proszowice i dochód z żup Wielickich na utrzymanie. Również i mniemane sympatye Polaków do Piastów Mazowieckich (2) znajdują wyjaśnienie w uchwale, mocą któréj wezwać miano pismem księcia Władysława Mazowieckiego,

---

(1) Porównaj sumienną i wyczerpującą pracę S. Kwiatkowskiego: Ostatnie lata Warneńczyka w Przewodniku n. i. l. rok 1883.

(2) Porównaj Caro V. 247.

aby nie ważył się pewnemu szlachcicowi (w kopii wymieniony Slinisky) stawiać przeszkód w objęciu ojcowizny należącéj do jego siostry, ani téż zezwalał na lokacye wsi, lecz by wysłał baronów swoich celem rozpatrzenia téj sprawy, dokąd téż i ze strony Korony wysłani być mają posłowie.

Co do książąt Szląskich, z którymi ustawiczne były zatargi graniczne, których nie bez powodu podejrzywano o fałszowanie monety, postanowiono, aby wraz z obecnymi na zjeździe posłami tych książąt wysłać deputowanych do książąt Mikołaja Raciborskiego i Bolka Opolskiego, z wezwaniem, aby na św. Michał do Krakowa osobiście przybyli, gdzie téż ma być dokonane rozpatrzenie ich żądań i ostateczna decyzya.

Bardzo ważną jest uchwała, aby wezwać pismem wojewodę Mołdawskiego Stefana, iżby nie składał hołdu królowi i królestwu Węgierskiemu i zapewnić go, że Korona Polska jest zupełnie gotową do okazania mu szczeréj przyjaźni i życzliwości. Równocześnie—na co również nacisk kładziemy—miano piśmiennie upraszać króla, aby nie odbierał od tegoż wojewody hołdu w charakterze króla Węgier, ponieważ ziemia Mołdawska z dawna podległą jest Koronie Polskiéj a król Polski, zwykł był od tychże wojewodów hołdy przyjmować.

Do Węgier również, i to jest drugą z rzędu uchwałą—miano wysłać i solenne poselstwo do króla. Posłowie mieli nakaz szybko zdążać w podróży, aby mogli dopędzić króla zanim nie oddali się z wojskami (za Dunaj) i upraszać króla i perswadować mu, by był łaskaw przybyć czém rychléj do królestwa, gnieconego mocą szkód i ucisków—co wszystko mieli należycie królowi przedłożyć, a czemu niczém zaradzić nie było można jak tylko szybkim powrotem króla do Korony. Na posłów wyznaczono: Władysława biskupa Włocławskiego i Jana Pileckiego. We dwa dni późniéj zmieniono tę uchwałę o tyle, że wysłano zamiast posłów ów adres panów na zjeździe obecnych, nazywany przez prof. Caro „jednym z najlepszych wzorów parlamentarnego adresu.“

Celem zaradzenia rabunkom i łotrostwu deputowano nasamprzód wice rejentów a to Jana z Czyżowa kasztelana Krakowskiego i Wojciecha Malskiego kasztelana Łęczyckiego, ażeby ci obmyślili środki, zapomocą których starostowie ziem i grodów mieli karać złodziei i zbójców i w ogóle poskramiać szkodników królestwa. Tłómaczenie polskie z 1501 r. pokrótce streszcza tę uchwałę z odmienną myślą: Pan Krakowski a pan Wojciech Łączycki, namiestnicy ziem naszych i starosty mają złodzieje karać.

W związku z tą uchwałą stoi i inna, grożąca każdemu, ktobykolwiek przechowywał u siebie banitów jak: Krzyżanowskiego, Gawina Milostkiego, albo złodziejowi jakiemu dawał przytułek, lub przyjmował do swego domu służebników tychże banitów, dawał im radę lub udzielał pomocy, każdemu takiemu grozi kara taka sama, jakiéj ulegli owi banici, bez względu na stan świecki lub duchowny.

Żaden obywatel, opiewa daléj ustawa, niech nie śmie wychodzić za granice królestwa do zamków i miast wrogich Koronie Polskiéj, jak do Koszyc, Bardyjowa i innych, a skoroby ktokolwiek już się przedtém tam udał a obecnie od ogłoszenia téj uchwały do czterech tygodni nie wyszedł z tych grodów i nie powrócił do królestwa, taki traci cześć i ukarany być ma na swém mieniu i szyi.

Celem obrony ziemi Ruskiéj od napadów Tatarskich uchwalono wyprawę generalną wszystkich ziem polskich (tj. Mało-polski). Uchwałę tę powziął zjazd Piotrkowski za zgodą wszystkich obecnych tamże panów, jednakowoż panowie z Wielkopolski mają na zjazdach partykularnych w każdéj ziemi z osobna naradzić się co do téj materyi i w ciągu czterech tygodni dać znać panom ziemi Krakowskiéj, czy w téj wyprawie zechcą wziąść udział osobiście czyli też zamiast tego udzielić pomocy pieniężnéj.

Najobszerniejsze i najbardziéj wyczerpujące uchwały dotyczą drobnéj monety, uległéj tak skutkiem wybijania złéj drobnéj monety to jest denarów, jakotéż przez nadużycia fałszerzy, kompletnemu zepsuciu.

Celem zrozumienia tychże uchwał, zaczerpniemy kilka informacyi ze znakomitéj pracy F. Piekosińskiego: O monecie i stopie menniczéj w Polsce w XIV i XV w.

Do monety drobnéj denarowéj używano za Jagiełły dużo miedzi, aby pomimo małéj wartości wewnętrznéj uzyskać przecież monetę tak co do grubości jako téż objętości zdatną do wybicia na niéj obustronnego stempla. Tylko do monety grubszéj groszy, półgroszy i kwartników używano srebra lepszéj próby. Denary bite przez Jagiełłę od 1390 r. trzymają zaledwie IV próbę srebra, pod koniec panowania tego króla spadają do II próby. Taka niestałość i upadek stopy menniczéj polskiéj, zmieniający się ciągle stosunek monety pospolitéj do groszy praskich, dominujących jeszcze na targu pieniężnym, musiał się stać nieznośnym dla stosunków handlowych polskich.

Niedziwna, że wśród takich stosunków korzystają fałszerze tak postronni jak i swoi, zalewając kraj fałszywą monetą. Posądzano o fałszerstwo książąt Mazowieckich, Szląskich, wytaczano liczne pro-

cesy przeciwko fałszerzom w królestwie, aresztowano kupców szląskich przywożących do królestwa w wielkiéj ilości fałszywą monetę, lecz temi zarządzeniami kursu drobnéj monety nie polepszono. Skutkiem wojen husyckich grosz praski staje się w Polsce rzadkością; wierzyciele nie chcą przyjmować monety pospolitéj nawet z adżiem a przyczyną tego było zjawienie się lżejszych denarów w latach 1430—1440 a były one o 30 groszy na grzywnie fajnu lżejsze od denarów bitych w latach 1410—1414. Należało tedy postanowieniem zjazdu zaprowadzić przymusowy obieg monety pospolitéj i denarowéj polskiéj, a uchwały z 1444 roku są pierwsze pod tym względem w Polsce, gdyż lauda krakowskie z 1447 r. i uchwały zjazdu Piotrkowskiego z 1451 r. zawierają w głównych rysach myśli podniesione na naszym zjeździe.

Nakazano tedy, aby pospolitą monetę i drobną denarową, ale obrakowaną, tj. z wyłączeniem fałszywéj, przyjmowano tak w Polsce jak i na Mazowszu i to za czynsze, myta, dziesięciny tudzież za wszystkie inne dochody i to z racyi czynszów rocznych i dziesięciu wiardunkowych w szerokich groszach, ażeby więc w państwach i wsiach, gdzie kurs szerokich groszy jest w używaniu, tenże w drobnéj monecie był przyjmowany. Szlachta, mieszczanie i kmiecie tudzież kupcy, mają tę drobną monetę przyjmować za wszystkie towary wystawione na sprzedaż. Jeżeliby zaś którykolwiek szlachcic, duchowny lub świecki, nie chciał przyjąć téj monety, natenczas starosta miejscowy ma mu zająć wolu i to zajęcie tyle kroć powtarzać, ile kroć ktokolwiek wystąpi przeciwko uchwale. Wykupno wołu jednego ma kosztować wiardunek (12 groszy) a starosta obowiązany jest nie dłużéj zatrzymywać fant jak przez tydzień w zimie, zaś przez dwa tygodnie w lecie. Mieszczanina lub kupca, niechcącego przyjmować drobnéj monety, ma starosta lub dzierżawca osadzić w więzieniu i trzymać go tamże przez trzy dni, poczem za opłatą kary w ilości czterech groszy ma byc wypuszczony. Kmieć, wykraczający przeciwko uchwale przymusowego kursu, ma być również przez trzy dni więzieniem karany i wypuszczony po odsiedzeniu, za złożeniem dwóch groszy kary.

Wszelkie podatki królewskie uiszczane być mają w pospolitéj i drobnéj monecie a nie innéj, to samo odnosi się do myt króla i szlachty, zarówno duchownych jak i świeckich. Sędziowie ziemscy z tytułu rekognicyi i pamiętnego tudzież przysądu, notaryusze za noty, jakotéż akta, wszyscy oficyaliści sądowi za swe przynależności, starostowie za kary i rezygnacye nie powinni brać innéj monety jak tylko drobną.

Jeżeliby u kogo w grzywnie dwa grosze fałszywe znaleziono, traci ją *ipso facto*. Posiadający zapisy i skrypta dłużne, zapisane w półgroszach, mają w pełni używać swego prawa; strona zapisująca ma dotrzymać i wykonać to, do czego się zobowiązała. Żupy królewskie w przyjmowaniu pieniędzy, trzymać się mają zwyczajów starodawnych i brzmienia aktów sprzedaży.

Przymusowy kurs złéj monety, to zapewne środek paliatywny i bardzo wątpić należy, aby zdołał polepszyć stosunki handlowe Polski z zagranicą. Uderza wreszcie brak uchwały skierowanéj przeciwko fałszerzom monety, tudzież rozporządzenia, co do ustawicznego czuwania nad dobrą wagą i próbą monety. Co gorsza, srogie prawo utraty grzywny, skoroby w niéj znaleziono dwa falszywe grosze, dotknąć musiało przedewszystkiém kmiotków nieumiejących rozpoznać złéj monety od dobréj, jak to słusznie przewidywał Oleśnicki. Bądź-co-bądź, usiłowania, aby bez trudności i przeszkód przyjmowano pospolitą i drobną monetę, poparte surowém prawem, zniweczyły w zupełności pomysły Oleśnickiego, dążącego jak wiadomo do zaprzestania bicia denarów.

W dalszym ciągu uchwał spotykamy się z rozporządzeniem, mającém na celu tanie nabywanie soli przez szlachtę. Dla soli ruskiéj, spuszczanéj Wisłą do Kujaw i Dobrzynia, oznaczono dawną pospolitą cenę: beczka soli (tunna) ma kosztować grzywnę, nie więcéj.

W polskiém tłómaczeniu z 1501 r. mamy jeszcze kilka uchwał, nieobjętych w kopii łacińskiéj. Są one bardzo ważne, lubo nie noszą na sobie znamienia dążeń mających na celu reformę. I tak brzmi uchwała:

„Item gdy szlachcicowi dadzą złodziejską winę, ma się szlachtą wywodzić nieobwinioną."

Inne trzy zmierzają przeciwko nadużyciom popełnianym ze strony króla:

„Item król nie ma rozdawać czci niektórych nikomu z innéj ziemi jedno ziemi przyrodzonemu.

„Item ustawiono, iż król nasz niema zawodzić (t. j oddawać w zastaw) grodów ani miast, mimo prawo królestwa naszego, ani pieniędzy przypisować (t. j. zapisywać), ani miast królewskich wiecznie (t.j. na wieczność) dawać, bo by to uczynił naprzeciwko uchwale.

„Item ustawiono: póki król mieszkać będzie w królestwie Węgierskiém, a dałby komu nacz jakiekoly listy, tych nizacz nie mamy z radą naszych prełatów."

Już poprzednio przytaczając uchwały dotyczące spraw zewnętrznych, dostrzegliśmy, że zjazd daje przepisy królowi, stawia się na stanowisko reprezentantów i zastępców korony, i krytyków działań,

i zamiarów królewskich. A i w tych końcowych uchwałach dostrzedz można głębokiego poczucia wad, zakorzeniających się przez nadużycie władzy królewskiéj, i potrzeby zaradzenia złemu. Jeżeli zaś zważymy, że właśnie z tych zastawów, z zapisów na wieczność i z listów donacyjnych, korzystali przeważnie panowie możnowładcy, to przypuścić należy, że wnioski przeciwko nim samym zmierzające, nie wyszły z ich obozu, lecz z obozu przeciwnego, a zatém od drobniejszéj szlachty. Czy miała ostatnia głos w Piotrkowie na zjeździe walnym i wogóle reprezentacyą i jaką ona była? Wszakżeż Długosz (1) wyraźnie podnosi, że „consiliarii" tylko zasiadali na tym zjeździe.

Już z analogicznego zestawienia innych znanych faktów wnosić można, że na tak doniosłego znaczenia zjeździe, jakim był niezawodnie zjazd Piotrkowski, nie mogli brać udziału wyłącznie panowie rady, że więc miala tam i szlachta swoich reprezentantów.

I tak wiemy, że dokumenta przywilejów, jak ów Piotrkowski Jagielly z 1388 r. rozdawane były reprezentantom herbów; znamy bowiem oryginał tegoż dokumentu w Metryce Litewskiéj z dopiskiem „*datum geneaologie Trąba dicte*", co dowodzi, że podówczas na tym zjeździe walnym miały pewne rody herbowe swoich reprezentantów.

Wiemy daléj, że w 1404 r. gdy szło o zakupno Dobrzyńskiéj ziemi, zwoływano delegowanych z „*communitates*" pospolitéj szlachty, celem uzyskania od nich przyzwolenia na pobór podatków. Ale nietylko gdy szło o pieniądze, zwoływano bowiem delegowanych z każdego herbu i w innych sprawach, jak w 1423 r. gdy postanowiono wydać prawa skierowane przeciwko husytom. Spisano tedy na zjeździe w Korczynie projekt konfederacyi anti-husyckiéj, poczém wysłano dwóch panów Małopolskich do Wielkopolski celem zasiągnięcia ich opinii o projekcie. „Po dowiedzeniu się zdania i zapatrywania Wielkopolan, mają ci panowie (ze zjazdu korczyńskiego) wspólnie *z dwoma delegowanymi* z *każdego herbu* zjechać się w Wiślicy i tamże ostatecznie załatwić sprawę uchwal anti-husyckich." (2). Wiemy daléj, że owa *communitas* (*prelati*, *barones et populus regni Polonie;* król w odpowiedzi swéj mówi: *vulgus*) delegowani szlachty na zjeździe Sieradzkim w początkach 1425 r. wzywają króla do cofnięcia pewnych rozporządzeń, dotyczących aresztu włożonego na dobra duchownych i że król w odpowiedzi na tę odezwę wyznacza im termin stawienia się przed jego majestatem mówiąc: „*nullus metus, nullus successus, nulla comminacio nos ab hoc pignore aresti reduceret, nisi illud plena solucio absolvat*" (3).

(1) Księga XI, p. 712.—(2) Liber Cancellariæ I, p. 36—7. —(3) Cod. ep. Vit. p. 654.

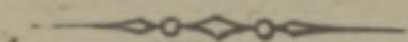
Także i w dokumentach hołdowniczych, wydawanych przez szlachtę pojedyńczych ziem królowi Jagielle z zapewnieniem obioru jego syna jako następcy na tron polski, spotykamy obok najwyższych urzędników po dwóch reprezentantów każdego herbu.

Wiemy w końcu, że i w konfederacyi Spytka z Melsztyna, zawiązanéj na zjeździe walnym w Korczynie 1439 r., wzięli udział bardzo liczni reprezentanci szlachty ziemi Krakowskiéj, Sandomierskiéj, Lubelskiéj i Ruskiéj, przedstawiający kilkadziesiąt rodzin herbowych. (Oryginał téjże konfederacyi znajduje się tudzież w Metryce Litewskiéj). Wreszcie w adresie naszego zjazdu z 1444 r. czytamy, że brali w nim udział prałaci, panowie i *szlachta* wszystkich ziem królestwa (*in qua omnium terrarum regni vestri aderat in prelatis, baronibus et nobilibus magnus numerus*).

Z treści omówionych uchwał zjazdu walnego Piotrkowskiego, okazuje się, że brali w nim udział reprezentanci pospólstwa szlachty, (*communitatis*), gdyż uchwały te w ostatniéj części zmierzają przeciwko przewadze oligarchów i mogą być uważane jako wyraz skarg wygłoszonych przez szlachtę przeciwko panom radzie koronnéj w ciągu całego XV wieku. Czy byli to reprezentanci rodów tj. klejnotów herbowych, czy wprost delegowani ziemscy po kilku z każdéj ziemi, to prawdopodobnie pytanie pozostanie tak długo nierozwiązane, dopókąd nie znajdą się jakieś inne źródła archiwalne, które rzucą jaśniejsze światło na kwestyą dziś niejasną.

Zamykając rzecz w uchwałach zjazdu, podnieść należy, że dają one szerokie pojęcie o dojrzałości politycznéj obradujących; sejmujący zaradzają złemu w sposób energiczny, dowodzący gorącéj miłości dobra pospolitego, co świadczy o wysokim stopniu miłości ojczyzny i zrozumienia interesów Korony. Z drugiéj znowu strony wykazują one ścieranie się dwóch prądów, możnowładczego ze szlacheckim, w pośród którego to ścierania się cierpi powaga królewskiego majestatu, narażona na zarzuty ze strony zupełnie niezadowolnionéj z kierunku polityki zagranicznéj, jaką nakreślił potężny duch Oleśnickiego królowi-młodzieńcowi.

Antoni Prochaska.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Białoruski rękopis z XVI wieku w bibliotece Raczyńskich w Poznaniu.

Mało znany w szerszych kołach naszéj inteligencyi, ale wysoko uzdolniony pracownik na polu badań językowych i historyi literatury polskiéj, prof. berliński A. Brückner pomieścił w „Archiv für slavische philologie" (3 zeszyt, IX tom) ciekawe sprawozdanie o rozpatrzonym przez niego rękopisie białoruskim biblioteki Raczyńskich. Z pracy téj podajemy ważniejsze szczegóły. — Pierwszą wiadomość o rękopisie tym, stanowiącym na początku obecnego stulecia własność biblioteki uniwersytetu wileńskiego, podał Niemcewicz w „Zbiorze pamiętników o dawnéj Polsce" (T. I, 392). W 1842 r. rozpatrywał go już w Poznaniu rosyjski uczony Bodianskij. Na podstawie kopii zdjętéj dla biblioteki Ossolińskich we Lwowie, pomieścił Szaraniewicz opis rękopisu w „Rozprawach i Sprawozd. wydziału filol. histor. Akademii umiejęt. w Krakowie" (T. XV, 1882 r.). Obecnie rosyjski uczony Wiesiołowski ogłosić ma staraniem akademii nauk Petersburskiéj białoruski tekst tego zabytku.

Rękopis sam obejmuje 344 stron i mieści naprzód przekład romansu „O Tristanie i Ancelocie" (1 do 127 str.), daléj przekład powieści o Bowie (129 — 171), Historyą Atylli (173 — 224), Kronikę litewską do 1549 r. sięgającą (225 - 291), wreszcie notatki, rodowody i dokumenty rodzinne dawnych posiadaczy rękopisu.

Zabytek ten stanowi ciekawe świadectwo o życiu umysłowém i języku szlachty białoruskiéj w XVI w. Pomieszczone w końcu notatki dają nam wiadomość o rodzinie, śród któréj zapewne powstał i przechowywał się powyższy rękopis. Jest-to rodzina Uniechowskich (znana dopiéro Niesieckiemu), zamieszkująca okolice Stwoło-

wicz, Słonima i Nowogródka i spokrewniona z Tryznami, których rodowe rozgałęzienie przedstawione na trzech stronach rękopisu p. t. „Urodzenie Panów Tryznów“ (333—335). Notatki odnoszące się do Uniechowskich, wpisane są po białorusku. Zaczyna je wiadomość o śmierci Pawła Jakowowicza Uniechowskiego zmarłego 1593 roku w 79 roku życia. Ożenił się on w 33 roku z Katarzyną, córką Zachara Tryzny, mającą 16 lat. Żona umarła w 1571 roku po przybyciu na świat bliźniąt. Podający te szczegóły syn Hrehory (ur. 1549) ożenił się z Zofią Michałówną Ulatowską, wdową po Karpie Tyszkiewiczu. Syn Hrehorego, Jan, wpisał wiadomość o śmierci ojca w 1606 r. „z woli i prezrenia Pana Boga wsiemohuszczoho pan otiec dobrodiej moj pan Hrehoryj Pawłowicz Uniechowskij zapłatił dołg smierti.... żył na tem swietie mizernym ot urożenia swojego lat 57.“ Jest-to ostatnia notatka białoruska. Wpisujący ją Jan ginie w 43 r. życia (1615 r.) w Nowogródku, zabity przez pijanego pachołka Jana Olszewskiego, który w dziesięć dni po zbrodni ponosi karę śmierci. Szczegóły te, po polsku już, wpisuje brat zabitego Paweł Hrehorowicz Uniechowski (ur. 1584 † 1651), który w 63 r. życia żeni się po raz trzeci, w dwa lata potém śpiesząc konno po pomoc dla chorej małżonki, upada z koniem, łamie kilka kości i mimo to przychodzi do zdrowia i w 1650 r. żeni się po raz czwarty w 66 roku. Rękopis z kolei przechodzi na syna Hieronima (ur. 1612 r.), który ślady swéj pilnéj lektury zaznaczył polskimi dopiskami na marginesach powieści o Tristanie i notatki rodzinnych wydarzeń prowadził do 1672 r., w którym wydał za mąż córkę.

Polonizacya Uniechowskich odbywała się nie w szkołach, których zapewne nie przebywali, nie pod wpływem kościoła, bo brak śladu oddziaływania idei religijnych, ale w obozach, w życiu publicznem na sądach, sejmikach. Samuel Maszkiewicz, którego pamiętniki stanowią ciekawe tak świadectwo o stanie obyczajowym i procesie polonizacyjnym śród szlachty białoruskiéj, zna Uniechowskich i kilkakrotnie o nich wspomina. Wracając w 1614 r. po rozwiązaniu konfederacyi wojskowéj z Przemyśla na Litwę spotyka się pod Lublinem z Grzegorzem Sienkiewiczem, Sielanką (Sielawą?), Drodzimskim i Grzegorzem Unichowskim (1). W dwa tygodnie potém bawi już w Nowogrodzkiém, u pana Rafała Rosa z panem Unichowskim. Współcześnie brat Maszkiewicza wraca z Wielkopolski, gdzie bawi także i Grzegorz Sienkiewicz. Pod 1615 r. opowiada p. Samuel

(1) Szczegół ten, odnoszący się do 1614 roku, stoi w sprzeczności z datą śmierci Grzegorza (1606 r.), podaną przez p. Brücknera na podstawie rękopismu. P. Br. nie zaglądał do Maszkiewicza i ztąd nie wié o téj sprzeczności dwóch wiarogodnych świadectw.

szczegółowo o zabiciu Jana Unichowskiego w Nowogródku. Przytém podaje, że zabitego pochowano w Unichowie. W 1616 r. bawi jako gość na weselu Jana Onichimowicza Unichowskiego z panią Wołodkowiczową w Mińsku i następnie (na przenosinach widocznie) w Unichowie (1).

Ze szczegółów tych przekonywamy się, że rodzina Unichowskich odgrywała dość wydatną rolę śród szlachty nowogrodzkiéj; takie butne, rycerskie i zawadyackie zapewne postacie, jak ów Paweł, jednały jéj wpływ i popularność śród sąsiadów. Wobec tego znaczenie rękopisu, który stanowił jeśli nie cały księgozbiór domowy, to w każdym razie ulubioną lekturę kilku pokoleń, przedstawi się nam w jaśniejszém o wiele świetle. Dwa romanse, zajmujące połowę rękopismu, są podobno przekładem serbskiego tłómaczenia włoskiego tekstu tych pomników. Włoski pierwotwór był znowu przeróbką francuskich romansów średniowiecznych. Powieść o Bovie zostawiła liczne ślady w dawnéj literaturze rosyjskiéj. Oba te romanse dostały się na Białoruś ze wschodu. Jak widzieliśmy jeszcze w połowie XVII w. odczytuje je pilnie Hieronim Uniechowski.

Jeśli zwrócimy uwagę, że jeszcze przed 50 laty panował w wielu stronach kraju po dworkach szlacheckich zwyczaj przepisywania nietylko pojedynczych piosnek, poezyi, mów, odezw, ale i całych książek, to nie powinien nas dziwić fakt, że całym zapewne księgozbiorem Unichowskich (z dodatkiem kalendarza, statutu i modlitewnika) był jeden rękopis przekazywany dziedzicznie następującym po sobie pokoleniom. Zasób wiedzy książkowéj u szlachty na Białorusi jest nadzwyczaj ubogi. Kilka wyrażeń łacińskich (w rozmowie pochwyconych zapewne) i jedna cytacya z psalmu (słyszana w kościele) — oto cała literacka przymieszka w pamiętnikach Maszkiewicza. Wyrazem umysłowych usiłowań Unichowskich jest przekład z polskiego „Historyi Attyli“ i kopia kroniki litewskiéj.

Przy téj sposobności p. Br. prostuje mylnie podawany szczegół, jakoby Bazylik przełożył dziełko Kallimacha o Attyli, gdy tymczasem autorem oryginału jest Mikołaj Olahus, prymas węgierski, który opuściwszy kraj po klęsce pod Mohaczem, wydał w Brukselli w 1536 r. dziełko mieszczące w pierwszéj księdze opis topograficzny Węgier, a w drugiéj historyą Attyli. Tę drugą księgę przedrukował Antonius Bonfinius przy swéj historyi węgierskiéj (*Rerum ungaricarum decades quatuor... Basileae 1568*). Powyższe wydanie pracy Bonfiniusa ma znaczenie i dla literatury polskiéj, gdyż prócz oryginału Attyli, pomieszczonego w 7 księdze pierwszéj dekady, wydrukowano tu Attylę

(1) Wieś ta jest w początku XIX w. własnością i siedzibą Puttkamerów.

Kallimacha (856—865 str.), A. Łaskiego: *Exhortatio ad milites* z 1561 (921 str.), wiersze Trzycieskiego. Dodana tu jeszcze „*Chronologia de regibus Hungaricis*“ przez Abrahama Bakschay, węgra, sekretarza Olbrachta Łaskiego. Pobyt na dworze Łaskiego był niewątpliwie dla Bazylika pobudką do przekładu zarówno Skanderbega Barletiusa (1569 — dedyk. Łaskiemu) jak i Attyli. Przekład „Historyi Atyli“ wydany został w Krakowie, w drukarni Macieja Wirzbięty 1574. Jedyny egzemplarz posiada biblioteka kurnicka.

Białoruski przekład dokonany został przez jednego z Unichowskich, zdaniem p. Brücknera, przed 1594 r. Wnosić ztąd należy, iż znajomość polszczyzny nie była jeszcze dość rozpowszechnioną w téj rodzinie i śród sąsiadów, co stwierdzają także charakterystyczne dość błędy przekładu starannie zestawione w pracy p. Br.

Pomieszczona w rękopisie kronika „Liatopisiec wielikoho kniazstwa litowskoho i żomojtskoho“ jest kompilacyą z dawniejszych rusko-litewskich latopisców, do któréj w XVI w. dodano wstęp wyprowadzający, za powagą Długosza, litewskich książąt i szlachtę od rzymskich wychodźców w epoce cesarzów, a przytém uzupełniono szczegółową dość opowieścią wypadków z XVI w. doprowadzoną do małżeństwa Zygmunta Augusta z Barbarą.

Jeżeli dane powyższe zestawimy ze znanemi już szczegółami, świadczącemi o szybkiém szerzeniu się we wschodnich prowincyach rzeczypospolitéj, a za ich pośrednictwem aż do Moskwy druków krakowskich (Kronika świata Bielskiego, a według domysłu p. Brücknera i Psałterz Kochanowskiego), a témbardziéj książek, tłómaczeń przeważnie, przeznaczonych głównie dla Litwy i Rusi i drukowanych na ich obszarze lub pograniczu (Przekłady Pisma św., pisma religijne w Królewcu, Brześciu, Wilnie, Łosku); jeżeli zwrócimy uwagę, że dla tych prowincyi głównie wychodzi przekład dzieła Modrzewskiego w Łosku (1577), Żywoty świętych Skargi w Nieświeżu (1579) a wielka „Kronika litewsko ruska“ Stryjkowskiego w Królewcu (1582), będziemy mogli sobie zdać sprawę z czynników, jakimi życie umysłowe Małopolan, Wielkopolan i Mazurów wywierało wpływ na dalsze prowincye i właściwie ocenić fakt pojawienia się pierwszych płodów piśmiennych polskich u Rusinów litewskich ziemi nowogródzkiéj, w formie dyaryuszów i pamiętników, w których przekazują potomności koleje i przygody ruchliwego i burzliwego życia. Unichowscy zaczynają dyaryusz swój prowadzić w języku polskim prawie w tymże czasie (około 1620 r.), w którym ich dobry znajomy i współziemianin Samuel Maszkiewicz pisze tak poprawnym już językiem swój ciekawy pamiętnik. *Br. Chleb.*

O budowie zwrotek w poezyi polskiéj do J. Kochanowskiego — napisał W. A. Bruchnalski. Kraków, 1886.

O postępie w pracy nad dziejami literatury naszéj przekonywa, między innemi, coraz większa specyalizacya w badaniach. Nietylko pojedyncze postacie, nawet drugorzędne, bywają wybierane za przedmiot wyczerpujących poszukiwań, ale pojawia się coraz więcéj studyów nad drobnemi zabytkami językowemi i utworami. Studya te zajmując się biograficznemi, bibliograficznemi, lingwistycznemi szczegółami, wreszcie genezą i rozbiorem utworów, zaniedbują zwykle stronę formalną: styl i budowę wierszową. P. Bruchnalski chcąc wypełnić istniejącą dotąd lukę, podjął w świeżo ogłoszonéj pracy (1) rozpatrzenie form wierszowych, istniejących w poezyi polskiéj przed Kochanowskim. Zebrawszy ze znanych mu zabytków rozmaite postacie zwrotek, przedstawia je koleją, klasyfikując według ilości wierszy w zwrotce, liczby zgłosek w wierszu i równomierności lub nierównomierności wierszy składających zwrotkę (izometryczne i metaboliczne zwrotki). Zacząwszy od strofki dwuwierszowéj (5, 6 i więcéj zgłoskowéj) przechodzi kolejno trójwierszowe, czterowierszowe zwrotki i t. d., dochodząc w końcu do 12 wierszowéj trójdzielnéj zwrotki. Na każdy rodzaj i odmianę strofki przytacza przykłady z zabytków XV i XVI w. i wskazuje, tam, gdzie zdołał odszukać, odnośne pierwowzory w pieśniach łacińskich, niemieckich, czeskich. Prace Monego (*Lateinische Hymnen*), Wackernagla (*Das deutsche Kirchenlied*) i Feifalika (*Untersuchungen über altböhmische Vers und Reimskunst*) służą mu w tém za podstawę. W końcu pracy podaje p. B. spis znanych mu zabytków poezyi polskiéj aż po 1567 r.

Jakkolwiek sama ilość (68) odmian zwrotkowych form świadczy o bogactwie zebranego przez p. B. materyału, ów spis końcowy przekonywa o ważnych opuszczeniach, odbierających jego pracy prawo do miana wyczerpującego studyum. Przypuszczając, że uszły uwagi p. B. „Pieśni", wydane w 1559 roku przez Groickiego, dochowane w jedynym podobno egzemplarzu w Dzikowie, że nie mógł rozpatrzéć zbioru oddzielnie drukowanych pieśni, przechowanych w jednym téż egzemplarzu w Warszawie (około 60 pieśni), aleź dostępne mu były, mimo rzadkości, kancyonały Brzozowskiego, Seklucyana, Psałterz Lubelczyka. Wprawdzie w tych zbiorach mieszczą się po części pieśni, przytaczane przez p. Br. z dzieła Wiszniewskiego, ale te stanowią małą garstkę wobec pominiętych, których ilość, licząc w to 150 psalmów z psałterza Lubelczyka, wyniesie

(1) Jest-to odbitka z XIII tomu Rozpraw i Sprawozdań wydz. filolog. Akad. Um.

do 500. Nawet do tak dostępnego źródła jak „Obraz“ Jochera nie zajrzał p. Br. poprzestając na Juszyńskim, Wiszniewskim Maciejowskim i wydawnictwach Akademii umiejętności.

We wstępie do swéj pracy pan Br. ogranicza jéj zadanie do przedstawienia „całego zasobu form i kształtów zwrotkowych, jakiemi się posługiwała poezya polska od najdawniejszych czasów do Kochanowskiego,“ jednakże w dalszym ciągu pracy wdaje się i w dochodzenie początków form zwrotkowych, przypisując zwykle takowy naśladownictwu łacińskich lub niemieckich pierwowzorów, których przekładem były polskie pieśni. Przy takiém objaśnieniu genezy form zwrotkowych trzebaby przypisać tłomaczom świadomą dbałość o formę przekładu, co spotykamy zaledwie u kilku poetów dawniejszych, obeznanych gruntownie z literaturą starożytną lub włoską. Przypuszczać pracę nad formę wierszową u Reja, Lubelczyka, Oleśnickiéj, Bielskiego, niepozwala nam znajomość stopnia ich wykształcenia i pobudek twórczości literackiéj. Sama analogia w budowie zwrotek nie upoważnia do wniosku o koniecznéj zależności form polskich od podobnych łacińskich lub niemieckich. P. Br. w swéj pracy o „Żywocie Józefa“ wykazawszy podobieństwa utworu Reja z dramatem łacińskim Crocusa, przypuszcza iż źródłem tych podobieństw mogła być wspólna zależność obu utworów od jednego nieznanego nam pierwowzoru. Gdyby zechciał p. Br. poszukać źródła wspólnego dla form zwrotkowych w pieśniach polskich i podobnych im łacińskich i niemieckich lub czeskich, nie potrzebowałby opierać się na hipotezie ale znalazłby je tuż pod ręką niemal, w melodyi towarzyszącéj pieśni w jéj licznych przekładach i przeróbkach a często przyczepianéj do całego szeregu różnych treścią utworów. Poeta polski przekładając lub układając samoistnie pieśń pobożną nie troszczył się z pewnością o jéj formę, o budowę zwrotek ale tylko starał się przystosować swe strofki do melodyi przyjętéj dla tego rodzaju pieśni w śpiewnikach kościelnych. Jak w pieśniach ludowych budowa zwrotek zostaje w ścisłéj zależności od pewnego typu melodyjnego tak samo i w dawnéj poezyi związek formy wierszowéj z melodyą nadawał tej ostatniéj przeważny wpływ na budowę wiersza. Jak lud nie recytuje pieśni ale je śpiewa tak i poeci dawniejsi tworzyli przeważnie pieśni do śpiewu. Muzykalność Reja, o któréj daje tak ciekawe i ważne świadectwo Trzycieski, utorowała niewątpliwie drogę jego działalności poetyckiéj. Melodye kościelne a następnie melodye kancyonałów husyckiego, luterańskiego i kalwińskiego oddziaływały na formy zwrotek w pieśniach religijnych, którym miały towarzyszyć. Czy to pojedyńczo wydawanym pieśniom w XVI w. czy zbiorom (Groicki, Lubelczyk), towarzyszą zawsze czterogłosowe melo-

dye. Rybiński w przekładzie Psałterza, jak to sam oznajmia, stosował się do melodyi francuskiego kancyonału kalwińskiego. Że pieśni Kochanowskiego były przeznaczone do śpiewu, na to mamy liczne wskazówki zarówno w ich formie jak i późniejszych powoływaniach się na ich nutę. Nawet poematy łacińskie jak „*Epinicion*“ i „*Orpheus sarmaticus*“ były śpiewane przy towarzyszeniu lutni na weselu Zamojskiego. Nic więc dziwnego że Klonowicz na czele Flisa zaznacza, iż poemat ten można śpiewać na nutę: „Przeciwne chmury“ a więc według melodyi „Pieśni o potopie“ Kochanowskiego, która widocznie wpłynęła na formę zwrotki, jakiéj użył twórca Roksolanii. Nuta psalmu „Kto się w opiekę“, sięgająca prawdopodobnie XVI w., może nam dać przybliżone pojęcie o charakterze form melodyjnych w epoce Kochanowskiego.

Drugim ważnym czynnikiem w rozwoju form wierszowych jest stopień i natura uczucia jakie łączy się u poety z wypowiadanemi pojęciami. Rej tłómacząc pieśń łacińską „*Christe qui lux es et dies,*“ z pewnością nie rachował zgłosek pierwowzoru i nie myślał o formie zwrotki lecz szedł za melodyą pieśni i za rytmem własnego uczucia religijnego, które spotykało w myślach i obrazach téj pieśni wymowne i podniosłe odbicie (1).

Mógłby wprawdzie p. Br. na to odpowiedziéć, że ścisły związek między melodyą a budową zwrotek, pozwala posługiwać się w badaniach dowolnie jednym lub drugim czynnikiem, że czy odniesiemy początek form zwrotkowych polskich do pierwowzorów obcych czy téż do towarzyszącéj im melodyi, wyjdzie to na jedno, jednakże w istocie rzeczy różnica będzie doniosła. Forma wierszowa obcego wzoru mogłaby oddziaływać na czytelnika mającego już rozwinięte poczucia piękna formalnego, przez odpowiednie wykształcenie literackie, podczas gdy melodya uwydatniająca materyalnie stopień i nastrój uczuć przemawia silniéj daleko do każdéj wrażliwszéj na dźwięk organizacyi i ztąd stanowi tak ważny czynnik wytwarzaniu form poezyi ludowéj.

Czy to melodyjne połączenia dźwięków, czy też rytmiczne następstwo zgłosek, czy wreszcie połączenie obojga w śpiewie—zostają w ścisłéj zależności od stanów psychologicznych których są uzewnętrznieniem.

W pracy p. Br. nie spotykamy nigdzie wzmianki nawet o tych najważniejszych czynnikach w wytworzeniu form wierszowych i zwrotkowych. Pan Br. w pracy swéj zebrał materyał obfity choć daleki

(1) Por. ustęp o téj pieśni w „Wizerunku“ rozdz. I wiersz 81 i nast., wyd. Ptaszyckiego.

od możliwéj dziś zupełności, klasyfikacya jednak, jaką w nim przeprowadził, może być uważaną tylko za tymczasowe uporządkowanie, za mechaniczne zestawienie danych, mających posłużyć dla nowego ugrupowania, wiążącego organicznie i tłómaczącego zasadniczo całą rozmaitość form zwrotkowych w dawnéj poezyi polskiéj.

Br. Chleb.

= **Skarb archeologiczny.** — Jak bogata jest ziemia nadodrzańska w zabytki archeologiczne, szczególnie słowiańskie, na to dowodem bardzo liczne okazy, w muzeum szląskich starożytności we Wrocławiu się znajdujące, a pomnażające się rokrocznie nowemi, głównie z łona ziemi odsłanianemi nabytkami. I tak w najnowszym czasie, bo w drugiéj połowie kwietnia b. r. znaleziono w ziemi oleśnickiéj, na terytoryum gminy Zakrzewskiéj, obfite gniazdo cennych przedmiotów znacznéj artystyczno-historycznéj, a może daleko sięgającéj etnograficznéj cenności i doniosłości. Zakrzewski skarb już ugrupowano pod przewodem dwóch wrocławkich starożytników, radcy d-ra Gremplera i d-ra Luchsa w zwyż wspomnianém muzeum w sześciu działach: przedmiotów wypalanych (z *gliny*), z *bursztynu*, *bronzu*, *szkła*, *srebra i złota*. Pochodzą one głównie z czasów gminoruchów i noszą znamiona, choć nie wszystkie, wyrobów rzymskich. Może to ziemi powierzona zdobycz wojenna, a może téż w czasie wojennego najazdu jakiego zagrzebany dobytek zbytkowny. Do najcenniejszych odnośnych okazów należy rodzaj podstawy z bronzu, coś niby trójnóg pod miednicę może, a może pod kociołek, 1 metr wysoki, bardzo bogato płaskorzeźbą zdobny i nawet w szczegółach pięknie i umiejętnie wykonany. Inne przedmioty z bronzu są: sitko z dziurkami w deseń, tygiel — jedno i drugie z rękojeścią — i parę fragmentów bronzowych. Ze szkła: dobrze zachowana czara, małe kamyczki, częścią czarne, częścią białe — latrones, których starzy Rzymianie używali do gry na szachownicy. Ze srebra: dobrze zachowane nożyce z techniką, jaką znachodzimy u nożyc naszych, do strzyżenia owiec używanych; nóż, spinki z nieznanym dziś przyrządem, kociołek z „barbarzyńską“ ornamentyką obok szlachetnéj formy i szkatułka z metalu bardzo misternie wykonana, ale w kawałkach. Ze złota: naramnik prymitywnego kształtu, ciężki, znacznéj ztąd wartości kruszcowéj, a obok tego i archeologicznéj, jak się samo przez się rozumie; daléj naszyjnik z grubego drutu złotego na haczyki się zamykający, także bardzo cenny, nadto trzy w okrągłe płyty zdobne spinki i cztery podłużne z łusek składane klamry, ły-

żeczka, pinseta, dwie bardzo sztucznie wykonane agrafy, jakiemi wierzchnie szaty spinano, z nich jedna misternéj filigranowéj roboty. Z gliny: potężny garnek i różne fragmenta. Z bursztynu: duże facetowane ziarno w kształcie perły. Cały ten zbiór znajdował się, otoczony kamieniami, 2 metry pod powierzchnią ziemi; dokopano go się przypadkowo przy dobywaniu piasku z dołu. Grobem miejsce to nie było. *S. J.*

— **Elektrotechnika w zastosowaniu do inżynieryi** *przez H. Merczynga (po rosyjsku). Petersburg 1887.* — Jest-to zwięzły a treściwy wykład, odpowiedni dla czytelników, dla których został specyalnie przeznaczony, mianowicie inżynierów dróg komunikacyi. Główną jego zaletą jest jasność. Zeszyt 1, który mamy pod ręką, zawiera teoryą machin dynamo-elektrycznych oraz światła elektrycznego. Chętnie widzielibyśmy ukazanie się przynajmniéj tego zeszytu w polskim języku, przyczém wypadałoby usunąć niektóre drobne usterki, co prawda, właściwe wszystkim niemal książkom tego rodzaju. Dobrzeby było, aby w nowém wydaniu oparł się autor nie tylko na wymienionych przez siebie dziełach, ale i na najnowszym, a może i najpoważniejszym podręczniku Kittlera, którego przecież dwie części, zawierające całkowity wykład o dynamo-maszynach, wyszły już na początku zeszłego roku. Wypadałoby się téż uwolnić od właściwéj rosyjskim książkom wyłączności opisywania przyrządów Siemensa i Halskego. Prawda, że to jest pierwsza firma w świecie, że ma swą filię w Petersburgu, ależ sami Siemensowie doskonale umieją ocenić ważność takich wynalazków, jak machina Brush'a, lampa Krzyżyka, Piepera i t. d. Bez uwzględnienia tak ważnych szczegółów wykład robi wrażenie jakiegoś braku. *B. R.*

— **Andrzéj Ciesielski.** *Studyum z literatury politycznéj XVI wieku napisał Stanisław Krzyżanowski. Kraków 1886* (str. 54). — W głośnych dziejach walki parlamentarnéj w Polsce XVI wieku, któréj wyrazem była cała ówczesna literatura polityczna, brało udział bardzo wiele osób, o których dzisiaj nader szczupłe posiadamy wiadomości. Jedną z wybitniejszych téj kategoryi jest Andrzéj Ciesielski, któremu p. Krzyżanowski poświęca swe studyum. Ciesielski znany jest w literaturze naszéj z jednego tylko dziełka łacińskiego p. t. *„Ad equites legatos ad conventionem Varsaviensem designatos... etc. oratio“*, tudzież wiersza pochwalnego, zamieszczonego w wydaniu „Kroniki świata“ Bielskiego z r. 1564. Szczegółów biograficznych o nim prawie że nie mamy; ztąd téż rozbiór i ocena tego jedynego pozostałego po nim pomnika literackiego, służy autorowi za podstawę sądu o pisarzu i kierunku jego przekonań politycznych. Wśród walki religijno-politycznéj, dwa zasadnicze widnieją kierunki. Przedstawicielem je-

dnego z nich, katolickiego, jest Orzechowski, drugiego, protestanckiego—Modrzewski. Pierwszy skupia w sobie dążenia katolickiéj reakcyi i związku jéj z możnowładztwem, drugi formułuje programy obozu protestanckiego, zmierzające do kościoła narodowego i politycznéj reformy. Ciesielski, jak z mowy jego widać, jest zwolennikiem tego drugiego. Wystąpienie jego w chwili groźnéj niepewności przed sejmikiem warszawskim z roku 1572, gdy życie ostatniego z Jagiellonów dogasało a horyzont polityczny coraz bardziéj się zaciemniał, dowodzi, że doniosłość chwili czuł i rozumiał. Jako protestant, zaznacza Ciesielski silnie niechęć przeciw duchowieństwu, żądając pociągnięcia tegoż do ponoszenia ciężarów publicznych. Domaga się reformy wojskowéj, uregulowania podatków, ubezpieczenia granic od Prus i Tatarów, dotyka kwestyi miast, monety, żąda radykalnych reform sądownictwa, wreszcie w ostatnich dwóch rozdziałach mowy porusza najżywotniejszą kwestyą współczesną, t. j. sprawę bezkrólewia, elekcyi i następstwa tronu po dogasającym Zygmuncie Auguście. Z treści mowy i sposobu argumentacyi widocznym jest związek jéj z programem szlacheckiéj egzekucyi. W rozwinięciu swych poglądów okazuje Ciesielski wielką znajomość stosunków, prawa, i historyi polskiéj i jest widocznie człowiekiem na wzorach klasycznych wykształconym, o czém świadczy forma wykwintna mowy, naśladowana z Cycerona. Projekta Ciesielskiego są tylko powtórzeniem żądań stronnictwa szlacheckiego. Przebłyskują w nich tu i owdzie myśli nowe i śmiałe, znać bystrość i szeroki pogląd na stosunki polityczne, znać także, że prócz książek czerpał z życia, że je znał i rozumiał — systemu jego jednak za oryginalny trudno uważać. Modrzewski sformułował dążenia organizującego się stronnictwa w jego zawiązkach, Ciesielski po kilkunastu latach walk parlamentarnych daje je poznać takiemi, jakiemi się w praktyce przedstawiły. Z naciskiem podnosi p. Krzyżanowski znaczenia tego faktu sformułowania przez Ciesielskiego programu reformy w najstosowniejszéj do tego chwili, i z tego téż punktu ocenia jego stanowisko w literaturze. Praca p. Krzyżanowskiego ciekawym jest przyczynkiem do historyi politycznéj literatury polskiéj XVI wieku. Wartość jéj podnosi styl gładki i poprawny.

= **Alfons Huber. Geschichte Oesterreichs.** *I, Gotha 1885; II, 1886.* Pisać dzieje Austryi jest niewątpliwie jedném z najtrudniejszych zadań dla historyka. Ile różnorodnych źródeł, jak obszerną, w kilku językach pisaną literaturę należy uwzględnić, aby wyrobić sobie pojęcie o historyi państwa, które obejmuje w sobie kilka całkiém odrębnych krajów, z odmienną cywilizacyą, z odmiennemi interesami historycznemi, spojonych sztucznie jedynie tylko za pomocą

węzłów dynastycznych. To téż żaden z dotychczasowych historyków zadaniu swemu nie podołał. Dzieło Majlatha jest prawie bez wartości, a Kronesa główną zasługą jest raczéj ugrupowanie i spisanie materyału źródłowego, niż skreślenie wiernego dziejów Austryi obrazu. Historyografia austryacka jest odbiciem konstytucyjnych zmian tego państwa. Za rządów monarchicznych mało uwzględniano pojedyńcze narodowości, zajmowano się przedewszystkiém i prawie wyłącznie historyą dziedzicznych krajów niemieckich i dynastyi, inne kraje uważano niejako za podbite, i o tyle tylko je uwzględniano, o ile niezbędném to było do wytłómaczenia właściwych austryackich dziejów. Obecnie zmieniły się stosunki jak najzupełniéj. Już nie tylko historya Węgier ale wszystkich innych w skład monarchii wchodzących krajów, z wyjątkiem chyba Galicyi, obszernie jest traktowaną; najdawniejsze nawet okresy dziejów czeskich lub węgierskich z niemniejszą bywają dokładnością przedstawiane niż losy Babenbergów. Każdy z łatwością zrozumie, ile podobne pojmowanie rzeczy przysparza trudności zajmującym się historyą Austryi badaczom. Nie podołał zadaniu Krones, nad niezwykłością jego zastanawiał się Leger, uważający państwo austryackie za utwór anormalny, na rychłe skazany rozpadnięcie, ostatnim historykiem, który się ciężkiéj téj, a często niewdzięcznéj pracy nie uląkł, jest profesor w Insbruku p. Alfons Huber. Żaden inny nie jest równie dobrze do zadawalniającego jéj spełnienia przygotowany. W licznych drobniejszych i większych dziełach dał p. Huber dowody, że oryginalnie pracował nad węgierskiemi, czeskiemi i nad właściwemi austryackiemi dziejami. Rozprawy, które pomieszcza bądź w *Archiv für Oesterr. Gesch.*, bądź w *Mittheilungen des Instituts für Oester. Geschichtzforsch.*, należą do najlepszych w całéj austryackiéj literaturze historycznéj. Przypominam jego „*Studien aus der Ungarischen Gesch.*“, lub ciekawe bardzo i wiele nowych mieszczące spostrzeżeń: „Badania nad wiarogodnością wielkiéj rymowanéj kroniki austryackiéj Ottokara.“ Z dawniejszych jego prac najbardziéj są znane wydanie 4-go tomu *Fontes Rer. Germanic.*, których 3 pierwsze przygotowała do druku ręka Boehmera, jakotéż z wielkim pracy nakładem dokonane „Regesta cesarza Karola IV.“ Dwa tomy Dziejów Austryi, które p. Huber dotychczas ogłosił, nie zawiodły pokładanych w nim nadziei. Pierwszy sięga aż do r. 1278, do bitwy pod Dürnkrut i jest może jednóm z najlepszych przedstawień dziejów średniowiecznych środkowéj Europy w tym obszernym okresie. P. Huber nie kompiluje, ale wszędzie sięga do źródeł, choćby tak odległych jak bizantyńskie, umie nawet po Lorenzie i Palackym niemało nowych powiedzieć rzeczy, a starannie unika wszelkiego powtarzania i rozwlekłości. Uwagi

godnym jest rok, na którym kończy p. H. pierwszy tom swego dzieła. Dawniejszéj daty historyk austryacki skończyłby go na roku 1273, t. j. z chwilą pojawienia się na historycznéj arenie dynastyi Habsburgów. P. Huber bardzo słusznie przyznaje bitwie, w któréj utracił Ottokar II życie, daleko wybitniejsze dla dziejów Austryi znaczenie. Drugi tom sięga do r. 1437 i mniéj już nieco zadawalnia. Nie tyle to wina autora, ile raczéj literatury historycznéj, która do téj epoki obfitszą jest i barwniejszą. Trudno więc było być tak oryginalnym, jak w tomie pierwszym, a nie zawsze udało się powtarzania uniknąć. Nie chcemy ze zbytnią pewnością naprzód sąd nasz o dalszych tomach dzieła p. H. wypowiadać, ale wiele za tém przemawia, że nie będą one od drugiego lepszemi; pierwszy największego niezawodnie ze wszystkich dostąpi uznania, bo najwięcéj w nim znać umyślnie dla niego uskutecznionych poszukiwań źródłowych. Ma on i dla naszych, zwłaszcza dawniejszych dziejów niemałe znaczenie, uwzględniając bardzo dokładnie nieprzystępną nam zazwyczaj drobniejszą literaturę. *B.*

= **Codex Juris Municipalis Regni Bohemiae.** *Tomus I Privilegia ciuitatum Pragensium cd Dr. Jaromir Celakowsky.* — Zasoby średniowiecznych dyplomatów czeskich, choć bardzo znaczne, są już po większéj części ogłoszone. Z jednéj strony wielki, 10 tomów liczący „Kodeks dyplomatyczny Morawski“, pierwotnie przez Boczka, obecnie wydawany przez Brandla, a z drugiéj „Regesta“, które po Erbenie śpiesznie ogłasza archiwaryusz i profesor pragski Emler, obejmują już kilka tysięcy dokumentów, jest więc niepłonna nadzieja, że przy tak usilnéj pracy jak dotychczas, znajdzie niebawem uwzględnienie i wiek XV, w całéj pełni. Prócz tych wielkich ogólnych wydawnictw pojawiają się pojedyńcze mniejsze zbiory, jak np. ogłoszone w *Fontes Rer. Austr.* przez Pangerla, dyplomataryusze; a obecnie podjęta publikacya, przechodząca swym chronologicznym zakresem o wiele po za wieki średnie, pozwala wnosić, że znajdziemy w jéj łamach, prócz bardzo licznych niedrukowanych dotąd dokumentów z XIV i XV wieku, także kompletny, aż do najnowszych czasów sięgający materyał do historyi miast czeskich. W pierwszym tomie zawartych jest, oprócz obszernego wstępu w języku czeskim, 355 dokumentów od 1174 do 1850 roku. Z dawniejszéj epoki, aż mniéj więcéj do połowy w. XIV są to po większéj części staranne bardzo przedruki, potém płynie obficiéj po raz pierwszy ogłaszany materyał. Ale *Codex Juris Municip. Regni Boh.* nie same tylko zazawierać będzie dokumenty i przywileje miejskie. Plan wydawnictwa daleko szerzéj jest pojęty. Z 14 jego działów, tylko 4 pierwsze

zawierać będą właściwe dyplomy, dalsze obejmują statuta miejskie, wyroki sądów wyższych, ordynacye cechowe, księgi sądowe miejskie; ostatni dział poświęcony ma być rozmaitym aktom, nie mającym znaleść pomieszczenia w dziełach poprzednich. Wobec ofiarności, jaką odznaczają się tak municypalności czeskie, jak posiadacze rozległych bóbr fideikomisowych, możemy mieć nadzieję, że znakomite to wydawnictwo raźno będzie postępować. U nas zrobiono już wiele do historyi Krakowa, a raczéj zrobił prawie wszystko jeden człowiek, p. Piekosiński, ale wcale nie ma widoków, aby tak rychło ukazał się prospekt na „*Codex Juris Municipalis Poloniae.*“

B.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Treść życia i powszednie złudzenia.—Pochód reakcyi.—Papiestwo i jego wpływy.—Krytycyzm wolnomyślnych doktorów.—Przewaga organizacyi katolickiéj.—Poznańskie wobec zmienionéj taktyki kościoła.—Pierwszy krok „Banku Ziemskiego.“—Obowiązki. Czy obfitości rad wyrówna czynna ofiarność?—Zjazd Kółek Rolniczych.—Towarzystwa pomocy naukowéj i gospodarcze.—Ciężki żywot czytelni ludowych.—Przekupnie ziemi dziedzicznéj w Poznańskiém i gdzieindziéj.—Hrabiowie krakowscy przed trumną Kraszewskiego.—Zgon i narodziny w czasopiśmiennictwie.

Pomimo iż barometr polityczny „Kuryera Porannego“ największe zaniepokojenie okazał z powodu aresztowania przez Niemców francuskiego urzędnika, to jednak najważniejszym wypadkiem ubiegłego miesiąca w życiu Europy jest przymierze bismarkowsko-watykańskie. Ale w życiu narodów cywilizowanych to tak, jak w życiu powszedniego filistra, co głośniéj brzęczy, co jaskrawiéj błyszczy, to przykuwa uwagę i porywa wyobraźnię.

Wszyscy umiemy podniosłe i pełne prawdy maksymy o znikomości wdzięków ciała, o wielkiém i niespożytém szczęściu, płynącém z bogactwa duszy; a pomimo to panny o jarzących się oczkach i gładkiém obliczu mniéj są zagrożone utrapieniami tego stanu, który milszy jest Bogu, ale wcale nie budzi zapału wśród śmiertelnych córek, aniżeli ich siostry, upośledzone na urodzie, acz noszące milionowe posagi w serduszkach. Książka, ułożona z dźwięcznych aforyzmów, woniejąca kwiatami stylu, zawsze wywrze większe wrażenia, niż najgłębsza ewangielia nowych prawd, okryta szarą barwą powszednich słów i naturalnéj logiki.

Reakcya idzie, płynie, zalewa—i to reakcya najczystszéj krwi, najbardziéj typowa, najbardziéj klasyczna. Średnie wieki wracają na ziemię. Przepowiednie i marzenia najgorliwszego, a zarazem największego obrońcy katolicyzmu w nowszych czasach Józefa de Maistre'a ziszczać się zaczynają: Papież obejmuje moralny ster świata. Encyklikami swemi wytyka drogi narodom, godzi i sądzi zwaśnionych książąt. Kto by się mógł tego spodziewać!

Zdawało się, że dni potęgi katolickiéj skończone, że rok każdy znaczyć będzie coraz to większy upływ sił. Po głośnych słowach cynicznéj niemal w swym racyonalizmie rewolucyi francuskiéj, nikt nie potrzebował kryć się lub wstydzić obojętności dla religii i kościoła, zastępy wolnomyślne rosły w liczbę i potęgę, każdy nowy promyk światła wiedzy je wzmacniał. Wszystkie wywody objawienia gruchotała jedne za drugimi zwycięska, tryumfująca nauka. Pojęcia wymknęły się zupełnie zpod wpływu mądrości duchownéj. Życie płynęło również swoją drogą, nie radząc się Rzymu, niewiele sobie robiąc z jego przepisów i wyroków. Kiedy rozhukane w zeszłym wieku żywioły wtłoczono napowrót w dawne koryto, a dla czuwania nad porządkiem, nad karnością umysłów i uczuć powstało Święte Przymierze, kierownictwo jego spoczęło w rękach świeckich książąt, pod przewodem władcy, różnego religią od całéj Europy. Było to bardzo dotkliwe i stanowcze świadectwo niemocy, wystawione rządcom kościoła, przez osoby najbliższe interesami i najbardziéj potrzebujące pomocy duchowieństwa. Dwie najstarsze córy katolicyzmu, Francya i Włochy, gorszyły świat przeniewierstwem; jedna utworzyła bezwyznaniową republikę, druga targnęła się na całość papieskiego dziedzictwa, przekładając świeckie interesy narodu nad potrzeby władcy dusz i sumień. „Czasy Grzegorzów minęły,—wołał przedstawiciel trzeciego wielkiego narodu—dziś już do Kanosy nie pójdziemy.“ Nawet w wyobraźni prawowiernych następca Piotra św. przestał być owym dawnym majestatem, potężnym przez wpływy i zaufanie wśród milionów, przez łaskę i kierownictwo mistyczne; litowano się nad dolą męczennika i więźnia, któremu pomoc ześlą chyba niebiosa. Aż oto, gdy na stolicy apostolskiéj zasiadł Leon XIII, niezaprzeczenie mąż stanu wielkiéj mądrości i talentu, przygasający blask tiary wzmagać się zaczyna, we wszystkich krańcach Europy przymierze z Watykanem uważają za pożądane, a moralny wpływ papieża dąży do celów, które wielu już poprzedników jego traciło prawie z oczu. Ten sam kierownik zjednoczonéj Germanii, dyktator Europy, który głosił wojnę katolicyzmowi i natrząsał nad upadkiem następców Grzegorza VII, wzywa teraz pomocy papieża w sprawie zewnętrznéj i wewnętrznéj państwowéj, prosi go o udzielenie przestrogi krnąbrnym poddanym swego monarchy. Minister protestancki, mówiąc o znaczeniu i powadze głowy kościoła katolickiego, dochodzi do tych samych niemal wniosków co de Maistre.

Jaka przyczyna takiego zjawiska i jakie mogą być skutki jego? Nie myślimy wdawać się w rozstrzyganie tego pytania, zaznaczyliśmy jedynie fakt z obowiązku kronikarskiego. Niepodobna jednak nie zwrócić uwagi na to, że niezależna wiedza, pokruszywszy funda-

menty, na których opierała się nauka kościoła, wyparłszy wpływ jéj zupełnie niemal z dziedziny pojęć, nie kusiła się wcale o zadawalnianie innych duchowych potrzeb ludzkich, o które się religia troszczyć nie przestawała. Zmiana zapatrywań na przyczyny zjawisk kosmicznych nie zniosła wcale potrzeby moralnego kierownictwa ludzkością, nie usunęła konieczności wychowywania, rozwijania uczuć, nieustannego kierowania ich ku jednemu celowi. Ministrowie i doktorzy nowych pojęć nie myśleli nigdy prawie o tém, kościół przeto pozostawał nadal jedyną instytucyą, która, rozporządzając silną organizacyą, posiada zarazem dotąd ludzi, gotowych poświęcić życie i mienie dla systematycznego odziaływania na umysły w zakreślonym przez nią kierunku. Innéj takiéj, opartéj na nowych zasadach, instytucyi nie ma, nie ma nawet doktryny, obejmującéj wszystko, która by mogła ją powołać do życia. To téż osłabiona mocno i nazawsze bodaj organizacya katolicka, przez utratę dawniejszéj powagi, nie mając rywalki, wraca do swych praw przy pierwszéj sposobności, szczególniéj gdy po tyloletniem życiu duchowém bez wytkniętego celu, bez przewodnictwa, nastąpiło zmęczenie, gdy różne kłócące się z sobą pomysły straszyć ludzi nareszcie zaczęły. Dzisiaj, wśród wolnomyślnych stronnictw słyszeć się dają narzekania, złorzeczenia nawet na kościół i jego kierowników za przykrą niespodziankę. Sądzimy, że słuszniéj było uderzyć się w piersi i przejrzéć, że cała dotychczasowa działalność pod względem moralnym ograniczyła się na kruszeniu starych przesądów, a nie stworzyła nic. Kościół spełnił tylko gorliwie swój obowiązek. Chcąc uchronić ludzkość raz nazawsze od powrotu wstecznych prądów, trzeba samo istnienie przeżytych form uczynić zbytecznem.

Powrót panowania Watykanu może być tylko czasowym ze względu na tor, po jakim myśl ludzka postępuje; jednakże może trwać znacznie dłużéj niż wyobraża sobie wielu jego przeciwników. Papieże niejednokrotnie potrafili łagodzić surowość dogmatyczną istotnym interesom kościoła, uświęcali w nowéj religii zwyczaje i przesądy pogańskie, budowali z wytworzonego przez innych materyału, godzili się z faktami, których obalić sił nie mieli. Jeżeli dziś sternicy nawy katolickiéj pójdą tą drogą, to długo jeszcze cieszyć się będą mogli owocami obecnych tryumfów.

Nas zmienione stanowisko kościoła katolickiego obchodzi nietylko z punktu widzenia ogólnie dziejowego, lecz dotyka także ze względu na polityczne stosunki w Poznańskiém. Przywódcy tamtejsi sprawę narodową sprzymierzyli w parlamencie z opozycyą katolicką, mając w niéj od lat wielu niezmiennego sojusznika, którego teraz może w niejednéj sprawie zabraknąć.

Jak ostatecznie rzeczy staną, choćby w najbliższéj nawet przyszłości, trudno przewidzieć, to tylko pewna, że wskutek zmiany frontu w taktyce kościoła katolickiego w Prusach, znacznym muszą uledz modyfikacyom nasze sposoby i środki obrony. Jak dawniéj, nikt postronny o naszych sprawach narodowych skutecznie nie myślał, tak i nadal bezwątpienia nikt o nie kłopotać się nie będzie, zaradzać im nie zdoła; dzisiaj tak samo jak i wczoraj, troska o całość naszą naszym tylko jest obowiązkiem; ale wczoraj byliśmy jeszcze włączeni a poczęści i sami włączaliśmy się do większego ciała współprześladowanego, dziś jesteśmy, zdaje się, osamotnieni i bez wszelkich szańców i osłon wystawieni na sztych niechęci i zaborczych instynktów ks. kanclerza. O tém mocno pamiętać należy.

Wieści z Poznańskiego świadczą, że moralne i materyalne ciosy, nieprzerwanym potokiem spadające na nieszczęsną dzielnicę, nie złamały ducha obywateli. Wraz z pierwszymi pączkami na drzewach poczęły występować przejawy pracy społecznéj. Bank ziemski dał już pierwsze oznaki życia czynnego. Do zachwycenia powietrza pełnemi piersiami jeszcze daleko, wiele setek tysięcy wprzód trzeba zebrać, a tymczasem ledwie pojedyncze tysiące wpływają i to powoli. Pierwszym krokiem banku była parcelacya i ta zapewne stanowić będzie główny charakter działalności; stało się więc zadość tutejszym radom i żądaniom opinii, która rozdrabnianie majątków i przechodzenie ziemi w chłopskie ręce uważa za najbardziéj stanowczą i pożądaną drogę ratunku. Oto ustęp wyjaśnienia urzędowego w téj sprawie:

„Nie przypuszczając, żeby w opłakanych stosunkach naszych, większy kapitał rychło się zebrać mógł, otworzyliśmy bank z kapitałem minimalnym (50,000 marek) który z góry wypłacono, żeby umożebnić zarejestrowanie banku do sądu. Następnie rozpisano dopiero drugą emisyą 3 000,000 m., która się zwolna zbiera, a tymczasem bank *urzędowo* upoważnionym jest do *każdéj* czynności bankowéj, statutami dozwolonéj, jeżeli uważa, że kapitał jego rozporządzalny (a więc owe 50,000 m. zakładowych i drobne ofiary dotąd zebrane) przedsięwziąć je pozwala. A ponieważ czynności *pośredniczenia* w interesach parcelacyjnych nie wymagają wielkiego ryzyka; ponieważ czynności te odbywają się z góry na rachunek i koszt interesanta,— bank w dzisiejszym stadyum rozwoju swego może już społeczeństwu oddać niepomierne usługi, zanim samodzielnie wystąpi na arenę działania, wyposażony w fundusze, jakie się dla niego zbierają przez nową emisyą.“

Ciekawi jesteśmy, jakiego uczucia doznali, czytając tę wieść, ci publicyści i te pisma, które w chwili ogólnéj zgrozy i wobec pierw-

szego kroku obrony potrafili nie zstąpić z wyżyn doktryny, zdobyli się na dosyć zimnéj krwi i odwagi, aby bank ratunkowy przywitać uśmiechem szyderstwa i słowem potępienia, piętnując go mianem szlacheckiego, kastowego egoizmu. Wtedy powstrzymać się nie mogli od zakłócenia sykaniem jednomyślności pierwszego popędu, dzisiaj posiadają dosyć mocy nad sobą, ażeby nie wyznać, że zbłądzili i naprawić tego, co psuli, lub przynajmniéj psuć usiłowali, może bezwiednie. W swoim czasie płynęło z Warszawy nad Wartę wiele zachęt, pobudzań i rad co do sposobów i pośpiechu w urządzeniu banku; teraz musimy starać się, aby to nie pozostało zwyczajną, literacką gadaniną, aby zasiłki pieniężne popłynęły teraz w równéj obfitości, jak niegdyś gorące słowa. Nadszedł czas dowieść siły tych uczuć, które stanowić może będą o naszém istnieniu; w takiéj chwili niech wystąpi współzawodnictwo klas, stanów, stronnictw, jednostek. Niech z groszy biedaków złożą się krocie, niech setki i tysiące rubli możnych nie pozostaną w tyle. Na wszystko znajdzie się miejsce; gdzie o byt chodzi, tam samobójstwem opieszałość i skąpstwo!

W ostatnich dniach marca odbył się w Poznaniu zjazd delegatów kółek rolniczych, których w ziemiach pruskiéj i poznańskich jest w obecnéj chwili 150. Wobec nadziei, jakie naród dziś pokłada w stanie włościańskim, znaczenie kółek, będących tak potężną dźwignią dla podniesienia moralnego i materyalnego dobrobytu ludu, nabiera coraz większéj doniosłości. Powinny więc być one otaczane niesłabnącą pieczołowitością całego społeczeństwa; tymczasem, według dochodzących nas wieści, dostrzedz można pewne opuszczenie się w pracy na tém polu i niedawna jeszcze gorliwość ustępuje miejsca zaniedbaniu. Cóżkolwiek bądź, na zjazd stawili się prezesowie, niektórzy wice-prezesowie, jak również i zwyczajni członkowie kółek, tak, że liczba obecnych—w ogromnéj większości włościan—doszła do liczby 500. Duszą zebrania jak zwykle był nieustający w pracy p. M. Jackowski. On téż zagaił posiedzenie, dając zarys dotychczasowego rozwoju kółek i osiągniętych przez nie rezultatów. Z ogólnéj liczby stu pięćdziesięciu, 11 kółek było „ospałych“, 18-cie miernych, reszta działała wzorowo. Według zapewnienia p. Jackowskiego, poziom intelektualny i moralny uczestników kółek podniósł się znacznie, ożywiło się zamiłowanie do pracy i oszczędności, obudził się duch inicyatywy, zrodziła się silniejsza wola i większa pewność siebie niż u innych. W wielu kółkach są członkowie-chłopi zdolni do opracowania odczytów, które zwykle wywołują dopełniające je rozprawy ustne, prowadzone z zajęciem i ożywieniem. W 15 kółkach gospodarze są prezesami, wszyscy nadesłali sprawozdania roczne. Pod względem materyalnym rezultaty pracy kółek

są nie mniéj obfite, podniosła się kultura ziemi, mnożą się wśród członków ulepszone maszyny rolnicze, wzrosła wartość inwentarza i umiejętność obchodzenia się z nim. „Zdaje się — dodał szanowny „patron“ — że niewidzialna ręka wspiera ich pracę i mnoży owoce ich zabiegów.“

Porządek dzienny zgromadzenia był bardzo urozmaicony, między innemi odczytali rozprawy: Julian Brzeski „Rady na czasie dla gospodarzy“, i dwaj włościanie, Szyper „O hodowli bydła“, a Sobiech „Trzymajmy się roli.“

Nieco wcześniéj miało znowu miejsce walne zebranie „Towarzystwa pomocy naukowéj imienia d-ra Karola Marcinkowskiego.“ Dzieje téj tak spokojnéj i lojalnéj instytucyi w ciągu ostatnich lat — to szereg prześladowań dotkliwych, brutalnych, a niczém nieuzasadnionych. Dzięki takiéj szczególnéj opiece rządu pruskiego, wszyscy nauczyciele i urzędnicy państwowi zmuszeni byli wystąpić z Towarzystwa. To téż na zgromadzeniu ostatniém z 12 członków zarządu stawić się mogło 5-ciu tylko. Pomimo to działalność instytucyi nie osłabła wcale, a przytém po raz zdaje się pierwszy zyskała dowód zainteresowania się nią ze strony warstw ludowych. W 1886 r. Towarzystwo utrzymywało w różnych zakładach naukowych, od szkoły ludowéj poczynając aż do uniwersytetu, 192 wychowańców; dochód wynosił 56,000 marek.

W końcu marca odbyło się również zebranie centralnego Towarzystwa gospodarczego, mającego głównie na celu postępy agronomiczne kraju. Towarzystwo to posiada 10-ć filii w różnych okolicach prowincyi i podobno krząta się stosownie do swych środków.

Najwięcéj troski budzi Towarzystwo czytelni ludowych. W jednéj z poprzednich „Kronik“ zwracaliśmy uwagę na nie i na brak środków materyalnych, pomimo widocznych korzyści i owoców pracy. Naturalnie trudności pieniężne nie są jedynym kłopotem, bo władze administracyjne nie zaniedbują żadnéj sposobności, aby szkodzić usiłowaniom szerzenia wśrod ludu znajomości literatury ojczystéj i podtrzymania czystości języka. Co raz to większa ilość książeczek dostaje się na indeks policyjny; rewizye i pociągania do odpowiedzialności idą w ślad za tém. Zdaje się, że społeczeństwo nasze nie powinno wobec tego pozostawić bez pomocy ludzi, pracujących wśród tylu cierni, a tymczasem skargi na brak funduszów wciąż się powtarzają, a nie słychać wcale o rozbudzeniu się ofiarności w tym kierunku.

Jak przeszywający zgrzyt dyssonansu dochodzą nas z Wielkopolski wieści o coraz nowych i nowych sprzedażach ziemi przez Polaków, niemieckiéj komisyi kolonizacyjnéj. Świeżo znowu tą drogą utraciliśmy dobra: Wielkie Krzycko i Wielkie Zalesie. Pozby-

wanie się ziemi w naszém obecnem położeniu niczem naturalnie usprawiedliwić się nie da; mniejsze jednak oburzenie przejmuje, jeżeli to robi biedak, ratujący takim fatalnym sposobem byt rodziny, zagrożony nie z własnéj nieraz przytém winy; ale jaka musi być dziwna obojętność dla cierpień i usiłowań ogółu, jakie sobkostwo w człowieku, który nieprzyciśniony wcale biedą, lekceważy względy najwyższéj wagi! Taki właśnie widok przedstawia sprzedaż przez Radziwiłła majątku małoletnich, pozostających pod jego opieką. Tam chyba konieczności nie było!

Cóż zdoła złagodzić nasz smutek? — Ta chyba uwaga, że każda prawda, każde uczucie społeczne potrzebuje czasu, aby przeniknęło umysły i serca, aby stało się dogmatem, odstępstwo od którego dusza ze wstrętem odtrąca, a opinia publiczna nie odpuszcza nigdy. Może te klęski przepalą, wyżrą marny osad i pozostanie czysty, szlachetny kruszec. Wszak po sejmie grodzieńskim skakaliśmy i nieprędko nastąpiło poważne zastanowienie nad sobą, późniejsze tymczasem klęski bezpośrednio zaraz przywodziły nas do przytomności, okrywały żałobą. Jedynym czynnikiem skutecznym w tym razie jest czujność i surowość opinii. Ale baczne jéj oko powinno pilnować nie samego tylko Poznańskiego: i gdzieindziéj wypuszczają ojcowiznę ręce, do których ona wrócić już nie może i gdzieindziéj porzucane są stanowiska ważne, i gdzieindziéj znajdują się tacy, którzy sami szukają obcego na odziedziczoną po ojcach glebę nabywcy, a od hańby spełnionego czynu ta ich ratuje przypadkowa okoliczność, że nadmiernie wygórowanego szacunku nawet ów pożądliwy nabywca dać nie chce. Dla Poznańskiego może to i lepiéj, że opinia szczególnie okazuje się surową dla sprzedaży tam dokonywanych: chwasty przez to prędzéj wyrwane zostaną.

Pogrzeb Kraszewskiego odbył się z okazałością, odpowiadającą czci, przynależnéj zasługom zmarłego. Wszystkie ziemie, wszystkie stany stawiły się, aby zamanifestować hołd pamięci wielkiego pracownika... z wyjątkiem jednego stronnictwa, rezydującego w dodatku w Krakowie. Zdawało się, że wobec trumny, kryjącéj półwiekowe zasługi, nie znajdziemy rozdziału na partye i stronnictwa, że wszyscy przywdziejemy żałobę. Tymczasem stało się inaczéj. Miejscowi hrabiowie uznali, iż Kraszewski nie zasługuje nawet po śmierci na uznanie z ich strony. Jeżeli to wyniosłość dumnych panów, to nad grobem niewłaściwa; jeżeli pamięć o kilku gorzkich słowach, płynących ze szczerego przekonania, a wypowiedzianych głośno, to niegodna stronnictwa, mającego pretensyą do powagi i przodowania narodowi. Mówią, iż opozycya hrabiów nastąpiła wskutek obawy, aby pogrzeb nie przybrał rozmiarów manifestacyi i nie wzbudził niezadowolenia korony; że uniwersytet krakowski dla tego nie przyjął

udziału w uroczystości, iż rząd zabronił; ale też nie słyszeliśmy o staraniach, aby te zakazy usunięte zostały. W 1879 roku, kiedy cesarz obdarzył Kraszewskiego wysokim orderem, więc mile chyba widział zapał społeczeństwa, potentaci krakowscy również mieli świecić nieobecnością i dopiero w ostatniéj chwili raczyli połączyć się z ogółem. Jeżeli obecnie pobudką była obawa, aby ulica nie narobiła głupstw, to roztropniéj i polityczniéj chyba postąpili by statyści, gdyby widząc, iż swoim oporem nie zmienią nic, ujęli byli we własne ręce kierownictwo uroczystością. Gdy grozi niebezpieczeństwo, wtedy się nie opuszcza stanowiska, jak to uczynił wpływowy mąż polityczny, wyjeżdżając do Włoch. Zresztą przebieg obrzędu okazał, że obawiać się nie było czego.

Literatura peryodyczna pogrzebała jednego towarzysza i powitała narodziny drugiego. Z dniem pierwszym kwietnia zakończył suchotniczy żywot „Świt", doszedłszy do ostatecznegp wyczerpania sił, i do 60 prenumeratorów. Postępowe emancypantki okazały stanowczą obojętność dla swego organu; zdawało by się, iż to świadczy o upadku u nas radykalnych prądów wśród niewiast, wszelako jednocześnie ukazało się drugie wydanie: „Poddaństwa kobiet", Milla, które to dzieło w znacznéj części pobudziło i ośmieliło pretensye pięknéj połowy rodu ludzkiego do zmiany dotychczasowego położenia swego.

Pismem, które byt swój rozpoczęło jest „Wisła", miesięcznik geograficzno-etnograficzny. Z pierwszego numeru wyroku stanowczego o tém, czém nowy organ stanie się dla społeczeństwa, wydawać nie można. Na czele pomieszczono pracę p. Romana Zawilińskiego „O sposobie gromadzenia materyałów etnograficznych", która ma być nauką i wskazówką dla zbieraczów. Dalej znajdujemy rozprawki: „Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiéj" opracował Edward Czyński. „Czary i czarownice w polsce" J. Karlowicza. „Dramat gminny polski (kolęda)" napisał Karol Mátyás. „Wśród ludu krakowskiego" Stefanii Ulanowskiéj. „Przegląd Literacki" dra J. Bystronia. Uderzyło nas pewne zaniedbanie wydawnicze i korektorskie. Zapomniano wydrukować jakie są warunki prenumeraty! Na stronnicy 38 znajdujemy taki ustęp: „Mogło by więc zachodzić pytanie, czy narzecze frydeckie i ostrowskie należy uważać za czeskie, które uległy do pewnego stopnia wpływowi języka czeskiego, czy też odwrotnie za czeskie, pod wpływem języku czeskiego nieco zmienione". Spodziewamy się, że po usunięciu trudności, która pierwszym krokom każdego wydawnictwa towarzyszyć zwykły, „Wisła" równiejszém nadal popłynie korytem. *Ludwik Straszewicz.*

NEKROLOGIA.

† **Kazimierz Szulc** urodził się około r. 1830 w Poznaniu. Nauki uniwersyteckie pobierał we Wrocławiu, gdzie wydawał w r. 1851 i 1852 pismo zbiorowe młodzieży p. n. „Znicz“. W r. 1856 po napisaniu i obronie wobec kolegów swoich A. Mosbacha, J. Plebańskiego, N. Romanowskiego, J. Bukowieckiego rozprawy w języku łacińskim „o pochodzeniu i siedzibach Illiryjczyków“, otrzymał stopień doktora filozofii. W roku następnym z powodu prac Lelewela i Berwińskiego ogłosił rozprawkę „O głównych wyobrażeniach i uroczystościach bałwochwalczych naszego ludu“. Od roku 1862 do 7 marca 1863 wydawał w Poznaniu czasopismo naukowo-literakie p. t. „Tygodnik poznański“, odznaczające się licznemi rozbiorami pism nowowychodząch oraz ciekawemi artykułami, dotyczącemi naszéj przeszłości politycznéj i literackiéj. Za udział w wypadkach r. 1863 skazany przez sąd berliński na ciężką karę, wyjechał do Paryża; tu z początku był zecerem w drukarni cesarskiéj a potém bibliotekarzem u Czartoryskich. Wtedy ogłosił najprzód w Zurychu 1864, potém w Lipsku 1866 rozprawę po niemiecku: „Europa republikanisch- oder kosakisch?“ W r. 1870 pod pseudonimem Casimir de Samin wydał w Paryżu broszurę p. n. „Que faut-il faire pour sauver la France et l'Europe du pangermanisme envahissant de la Prusse.“ W roku 1871 w *Gazecie narodowéj* i osobno we Lwowie publikował rozprawę p. n. „Kwestya socyalna i sposób jéj załatwienia równie korzystny dla robotników jak właścicieli.“ Wróciwszy do Poznania wydawał tu w r. 1872 od 27 marca do 30 czerwca „Gazetę wielkopolską“, zajął się nanowo badaniami starożytniczemi, a rozprawą „O grobach pogańskich w Polsce“ zyskał sobie tytuł członka Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, a w Rocznikach tegoż pomieścił kilka prac, między innemi o „Autentyczności Kamieni mikorzyńskich“ (1879). Równocześnie zabierał głos w kwestyach społecznych („O spółkach produkcyjnych“ 1877) i politycznych („Stanowisko i dążność Austryi“). W r. 1880 ogłosił najobszerniejszą swą pracę: „Mityczna historya polska i mitologia słowiańska.“ W r. 1885 postanowiwszy zbadać Słowiańszczyznę południową, wyjechał i przez rok cały bawił w Sredcu. Owocem téj podróży były korespondencye do pism krajowych a potém osobna rozprawa „O Bulgaryi.“ Umarł w Poznaniu 27 marca r. b.

† **Józefa Prusiecka** córka Pawła i Kunegundy z Potrykowskich, ur. około r. 1815, wychowana w Warszawie pod kierunkiem Hofmanowéj, poczuwszy w sobie talent poetycki, zyskała około r. 1838 roz-

głos sympatyczny pełnemi uczucia utworami, które pojawiały się najprzód w różnych czasopismach a mianowicie w noworoczniku „Pierwiosnek“ wydawanym i pisanym przez same kobiety, a potém w r. 1841 wyszły p. n. „Poezye“ (str. 224). W r. 1843 wydała „Powieści moralne“, uczęstniczyła w wydawnictwie pisma dla młodzieży p. t. *Zorza*. W r. 1845 ogłosiła „Nowe powiastki dla dzieci“, które w r. 1861 doczekały się drugiego wydania. Osierocona przez rodziców, straciwszy następnie jedynego brata, musiała się oddać pracy nauczycielskiéj, którą pojmowała podniośle. Pomimo że zajęcie to wiele jéj zabierało czasu, nie zaniedbywała spółpracownictwa w pismach wydawanych dla młodzieży i rodzin. Dopiero po r. 1863 zamilkła. W rękopiśmie zostało podobno wiele jéj prac. Umarła w Warszawie 20 kwietnia r. b.

† **Ludwik de Pérthes**, z rodziny francuskiéj osiadłéj w Polsce za Stanisława Augusta, urodzony około r. 1820 na Ukrainie, był przed laty czterdziestu spółpracownikiem *Magazynu Mód* za redakcyi Widulińskiéj, *Tygodnika petersburskiego*, a potém *Kuryera wileńskiego*. Osobno ogłosił trzy oddziały swoich „Poezyi“ (Wilno 1842—1846). Umarł w połowie kwietnia r. b. w Białocerkwi.

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Marca i Kwietnia 1887 r.

---

1. *Michał Bałucki.* **Żydówka**. Powieść z ostatnich lat. Warsz. nakł. S. Lewentala, 8-o, str. 266. (Pisma Michała Bałuckiego, tom VI).
2. **Łukasza Górnickiego dzieła wszystkie**. Pierwsze wydanie zbiorowe przygotował do druku *Dr. Rafael Loewenfeld.* Tom III. Pisma oryginalne. Warsz. nakł. S. Lewentala. 1886, 8 o, str. 292 i XI.
3. *Adam Krechowiecki*: **Starosta Zygwulski**. Powieść historyczna. Lwów, nakł. księg. Gubrynowicza i Schmidta, 1887, 8-o, tom I, str. 169; t. II, str. 181.
4. **Elektrotiechnika** w prymienienii k inżeniernomu diełu. Sost. *G. Merczing* kandidat fiz.-mat. nauk, inżenier p. s., repetitor instituta i p. s. Wypusk I. Elektro-maszyny, elektriczeskoje oświeszczenje. Petersburg, 1887, 8-o, str. 75.
5. **Towarzystwo Kredytowe ziemskie** w Królestwie Polskiem i kredyt rolny. Napisał *J. Kirszrot-Prawnicki.* Warsz. nakł. S. Lewentala, 1887, 4-o, str. 340 i III.
6. **Liber fraternitatis Lubinensis** Saec XII—XIV. Z oryginału petersburskiego wydał *Dr. Fryderyk Papée.* Lwów, 1887.
7. **Georgische Dichter**, Verdeutscht von *Arthur Leist.* Leipzig, 1887, 8-o, str. X i 144.
8. **Trzy zabytki** dalekiego wschodu na naszych ziemiach przez *Maryana Sokołowskiego.* Kraków, 1887, wielkie 4-o, str. 24 (z 10 rysunkami w tekście).
9. **Fermentacya** jej przyczyny i zjawiska z wyszczególnieniem fermentacyi alkocholowej. Napisał *Jerzy Ryx.* Kraków, 1887, 8-o, str. 84+IV i trzy tablice litograf.
10. **Garbaty.** Powieść przez *Józefa Korzeniowskiego.* Warsz. nakł. S. Lewentala, 1887, 8-o, str. 391.
11. **Wykład popularny zasad podwójnego księgowania** w zastosowaniu do potrzeb handlu, przemysłu oraz rzemiosł i rolnictwa przez *Nikodema Krakowskiego.* Warsz. nakł. S: Lewentala, 1887, 8-o. Część teorytyczna, str. II, 130 i II. — Część II: Zastosowanie podwójnej rachunkowości do potrzeb interesu towarowego, str. 104.
12. Oddział Warsz. Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, Sekcya II. **Sprawozdanie meteorologiczne** za m. Listopad i Grudzień 1886 r. Warsz. 1886. str. 24.
13. **Wyrazy obce w sonetach krymskich** Mickiewicza opracował etymologicznie *Ludwik Radliński.* Warsz. 1887, 8-o, str. 29.
14. **Monografia Towarzystwa** wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, skreślona dla upamiętnienia 25-tej rocznicy powstania tego towarzystwa, przypadającej w dniu 1 Maja 1886 r. przez *Józefa Mrazka.* Kraków, 1886, 4-o, kart nlb. 4, str. 416 i tablic kolor. 4.
15. **Statystyka miasta Krakowa** zestawiona przez biuro statystyczne miejskie pod kierunkiem i redakcyą *D-ra Józefa Kleczyńskiego.* Krak., 1887, zeszyt I, 8-o, str. VIII i 122.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1887 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Włodzimierska, 16.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Марта 1887 г.